

**Harlan Coben**

# **Schronienie**

**Shelter**

**Przełożył Zbigniew A. Królicki**

*Dla Charlotte, Bena, Witta i Eve*

# 1

Szedłem do szkoły, uzalając się nad sobą — mój ojciec nie żył, matka była na odwyku, a dziewczyna zaginęła — kiedy po raz pierwszy ujrzałem Nietoperzycę.

Oczywiście słyszałem plotki. Podobno Nietoperzyca mieszkała samotnie w zaniedbanym domu na rogu Hobart Gap Road i Pine. Znaćie go. Teraz przed nim stałem. Wyblakła żółta farba oblażyła z niego jak sierść ze starego psa. Niegdyś solidny cementowy chodnik popękał na kawałki wielkości ćwierćdolarówek. Na niekoszonym trawniku rosły mleczki tak duże, że bez pytania wpuszczono by je do seksklubu.

Mówiono, że Nietoperzyca ma sto lat i wychodzi tylko w nocy, a jeśli jakiś biedny dzieciak nie zdążył wrócić do domu z randki albo treningu Małej Ligi i zaryzykował spacer, zamiast wezwać taksówkę, albo był tak szalony, że próbował skrótu przez jej podwórko, dopadała go.

Nie wiadomo, co miałyby robić swoim ofiarom. Od lat w miasteczku nie zaginął żaden dzieciak. Nastolatki, takie jak moja dziewczyna Ashley, jednego dnia były tu, trzymały cię za rękę, spoglądały głęboko w oczy, sprawiały, że serce zaczynało ci walić w piersi, a następnego dnia już ich nie było. Ale małe dzieci? Nie. One były bezpieczne, nie zagrażała im nawet Nietoperzyca.

Tak więc już miałem przejść na drugą stronę ulicy — bo nawet ja, dojrzały nastolatek rozpoczynający drugą klasę w nowej szkole, wołałem omijać ten upiorny dom — gdy zaskrzypiały otwierane drzwi.

Zamarłem.

Przez moment nic się nie działo. Drzwi były otwarte na oścież, ale nikt w nich nie stał. Zatrzymałem się i czekałem. Może zamrugalem. Nie jestem pewny.

Jednak kiedy znów popatrzyłem, Nietoperzyca tam była.

Mogła mieć sto lat. A może dwieście. Nie miałem pojęcia, dlaczego nazywano ją Nietoperzyca. Nie przypominała nietoperza. Włosy miała siwe i długie jak hipiska, rozpuszczone do pasa. Powiewały na wietrze, zasłaniając jej twarz. Ubrana była w podartą białą suknię przypominającą suknię ślubną ze starego horroru lub heavymetalowego wideoklipu. Jej plecy były wygięte jak znak zapytania.

Powoli podniosła rękę tak bładą, że bardziej niebieskawą od prześwitujących żył niż białą, po czym wycelowała we mnie drżący kościsty palec. Nic nie powiedziałem. Celowała we mnie palcem, aż upewniła się, że na nią patrzę. Kiedy stwierdziła, że ją widzę, na jej pomarszczonej twarzy pojawił się uśmiech, od którego przeszły mnie ciarki.

— Mickey?

Nie miałem pojęcia, skąd zna moje imię.

— Twój ojciec nie umarł — powiedziała Nietoperzyca. Te słowa wywołały wstrząs, pod którego wpływem cofnąłem się o krok.

— Jest jak najbardziej żywy — dodała.

Jednak stojąc tam i patrząc, jak znika w swojej zapuszczonej norze, wiedziałem, że to, co mi powiedziała, nie jest prawdą.

Ponieważ widziałem, jak mój ojciec umarł.

\* \* \*

No dobrze, to było upiorne.

Stałem przed domem Nietoperzycy i czekałem, aż znów wyjdzie. Nie doczekałem się. Podeszedłem do drzwi i poszukałem dzwonka. Nie było go, więc zacząłem w nie walić.

Trzęsły się od uderzeń. Drzewo było szorstkie jak papier ścierny i podrapało mi knykcie. Kawalki farby osypywały się, jakby drzwi miały łupież.

Jednak Nietoperzyca się nie pojawiła.

I co teraz? Wyważyć drzwi kopniakiem... a potem? Znaleźć tę staruszkę w dziwacznej białej sukni i zażądać, żeby wyjaśniła swoją głupią gadaninę? Może weszła na piętro? Może Nietoperzyca szykuje się na kolejny zwariowany dzień, zdjęła białą suknię i bierze prysznic...

Fuj!

Czas iść. Przecież nie chciałem spóźnić się na pierwszą lekcję. Mój wychowawca, pan Hill, to maniak punktualności. Ponadto wciąż miałem nadzieję, że Ashley dziś się pojawi. Znikła bez śladu. Może teraz wróci równie niespodziewanie.

Poznałem ją trzy tygodnie temu na spotkaniu integracyjnym dla nowych uczniów (takich jak Ashley i ja) oraz rozpoczynających naukę, którzy i tak już się znali, ponieważ chodzili razem do szkoły podstawowej i gimnazjum. Z tego miasta chyba nikt nie wyjeżdża.

Spotkanie powinno ograniczać się do wizyty w klasie, zwiedzenia szkoły i ewentualnie poznania kilku kolegów. Jednak nie, to nie wystarczyło. Musieliśmy wziąć udział w tych idiotycznych, odczłowieczających i kompletnie szurniętych ćwiczeniach „tworzenia zespołu”.

W pierwszym chodziło o „budowanie zaufania”. Pani Owens, nauczycielka wychowania fizycznego, z uśmiechem wyglądającym jak wymalowany przez pijanego klauna, rozpoczęła je, próbując nas rozruszać.

— Dzień dobry wszystkim!

Kilka słabych jęków.

Wtedy — i nienawidzę, kiedy dorośli to robią — zaczęła pokrzykiwać.

— Wiem, że stać was na więcej, więc spróbujmy jeszcze raz! Dzień dobry wszystkim!

Tym razem uczniowie krzyknęli „dzień dobry!” głośniejsze po prostu dlatego, że chcieli, żeby przestała.

Zostaliśmy podzieleni na sześciuosobowe grupy. Moja składała się z trzech rozpoczynających naukę i trzech uczniów starszych klas, którzy właśnie przeprowadzili się do miasta.

— Jeden z was stanie teraz na podium z opaską na oczach! — wykrzyknęła pani Owens. Wszystko, co mówiła, kończyła wykrzyknikiem. — Reszta skrzyżuje ręce na piersi i będzie udawała, że podium stanęło w ogniu! Och nie! — Pani Owens przycisnęła dłonie do policzków jak ten dzieciak z filmu *Kevin sam w domu*. — Jest tak gorąco, że musicie się cofnąć!

Ktoś podniósł rękę.

— Dlaczego mamy stać ze skrzyżowanymi rękami, jeśli podium się pali?

Potwierdzające pomruki.

Namalowany uśmiech pani Owens nie zmienił się, ale miałem wrażenie, że zauważyłem nerwowo tik jej prawego oka.

— Macie związane ręce!

— Co takiego? Nie, skądże.

— Udawajcie, że tak jest!

— Jeśli mamy to udawać, to po co opaska na oczach? Nie można udawać, że się nie widzi?

— Albo zamknąć oczy?

Pani Owens powstrzymywała irytację.

— Podium jest tak gorące, że padacie na plecy.

— Padamy?

— Czy nie powinniśmy raczej zeskoczyć, pani Owens?

— Naprawdę, dlaczego mamy padać? No wie pani, jeśli jest takie gorące.

Pani Owens miała dość.

— Ponieważ ja tak mówię! Macie padać! A reszta grupy ma was łapać! Potem będziecie zamieniali się miejscami, aż wszyscy po kolei upadną.

Zrobiliśmy to, chociaż niektórzy z wahaniem. Mam metr dziewięćdziesiąt wzrostu i wagę dziewięćdziesiąt kilo. Moi koledzy skrzywili się, patrząc na mnie. Jedna z dziewcząt w mojej grupie, pierwszoroczna cała ubrana na czarno, była gruba. Wiem, że nie powinienem nazywać jej grubą, tylko znaleźć jakieś inne, bardziej poprawne politycznie słowo, ale nie wiem, jakie nie brzmiałoby zbyt protekcjonalnie. Sporej tuszy? Pulchna? Otyła? Używam tych słów, nie oceniając, tak samo jak powiedziałbym „mała”, „koścista” lub „chuda”.

Ta duża dziewczyna zawahała się, zanim weszła na podium. Ktoś z grupy się zaśmiał. Potem jeszcze ktoś.

Nie mam pojęcia, w czym to ćwiczenie miało komukolwiek pomóc, poza udowodnieniem tej dziewczynie, że naigrywania się nie skończą, kiedy zaczniesz naukę w szkole średniej.

— Dalej, Emo, złapiemy cię — powiedział z drwiącym uśmiechem jeden z pierwszoroczniaków, kiedy dziewczyna nie upadła od razu.

Ten głos nie dodał jej otuchy. Zsunęła opaskę z oczu i popatrzyła na nas. Napotkałem jej spojrzenie i skinąłem głową. W końcu rzuciła się z podium. Złapaliśmy ją — niektórzy dramatycznie postępując — ale Ema wcale nie wyglądała na bardziej ufną.

Potem była głupawa symulacja rozgrywki paintballu, w której dwie osoby zostają ranne, a następnie ćwiczenie pod nazwą — i chciałbym, żeby to był żart — „zatrute masło orzechowe”. W jego ramach należało przejść pięciometrowy pas zatrutego masła orzechowego, jednak, jak wyjaśniła pani Owens: „Tylko dwoje z was może nosić odporne na truciznę buty!”.

Krótko mówiąc, trzeba było przenieść pozostałych członków drużyny na plecach. Dziewczyny chichotały, kiedy je przenoszono. Był tam fotograf z gazety „Star Ledger” i robił zdjęcia. Reporter zadawał rozpromienionej pani Owens pytania, a jej odpowiedzi roily się od takich słów, jak „więź”, „powitanie” i „zaufanie”. Trudno mi było sobie wyobrazić, jaki artykuł można napisać o czymś takim, ale może rozpaczliwie szukali jakiegoś materiału o dramatycznym wydźwięku.

Stałem z Emą w kolejce do przeprawy przez zatrute masło orzechowe. Czarny tusz spływał jej po twarzy wraz z czymś, co mogło być łzami. Zastanawiałem się, czy fotograf to uwieczni.

Gdy nadeszła jej kolej do przeniesienia przez zatrute masło orzechowe, dosłownie czułem, jak trzęsie się ze strachu.

Pomyśl tylko.

To twój pierwszy dzień w nowej szkole i jesteś dziewczyną, która waży około stu kilogramów, a tu zmuszają cię do włożenia szortów i w ramach bezsensownych ćwiczeń twój nowi i mniejsi koledzy mają cię taszczyć jak beczkę piwa, podczas gdy ty masz ochotę zwinąć się w kłębek i umrzeć.

Czy ktoś uważa, że to dobry pomysł?

Pani Owens podeszła do naszej grupy.

— Gotowa, Emmo?!

Zatem Ema albo Emma. Teraz już nie wiedziałem, jak ma na imię. EmmazEma nic nie powiedziała.

— Dalej, dziewczyno! Przez pas zatrutego masła orzechowego! Możesz to zrobić!

— Pani Owens? — odezwałem się.

Przeniosła wzrok na mnie. Nie przestała się uśmiechać, ale lekko zmrużyła oczy.

— A ty jesteś...

— Nazywam się Mickey Bolitar. Jestem nowo przyjętym drugoklasistą. I zamierzam darować sobie to ćwiczenie, jeśli można.

Znów zobaczyłem ten lekki tik jej prawego oka.

— Przepraszam?

— Tak, naprawdę nie sędę, żebym chciał być noszony.

Pozostałe dzieciaki popatrzyły na mnie, jakbym miał trzecią rękę wyrastającą z czoła.

— Panie Bolitar, jest pan tu nowy. — Pani Owens po raz pierwszy powiedziała coś bez wykrzyknika. — Sędę, że chce pan uczestniczyć.

— Czy to obowiązkowe? — zapytałem.

— Przepraszam?

— Czy udział w tym szczególnym ćwiczeniu jest obowiązkowy?

— Cóż, nie, nie jest obo...

— Zatem daruję je sobie. — Popatrzyłem na EmęEmmę. — Zechciałabyś dotrzymać mi towarzystwa?

I odeszliśmy. Za plecami słyzałem głułą ciszę. Potem pani Owens dmuchnęła w gwizdek, kończąc ćwiczenia i ogłaszając przerwę na lunch.

— Oo — odezwała się EmazEmma, kiedy odeszliśmy kilka kroków.

— Co? Spojrzała mi w oczy.

— Uratowałeś grubaskę. Założę się, że jesteś z siebie dumny.

Potem pokręciła głową i odeszła.

Obejrzałem się. Pani Owens nas obserwowała. Wciąż się uśmiechała, lecz gniewny błysk w jej oczach dowodził, że już pierwszego dnia udało mi się zrobić sobie wroga.

Słońce prażyło. Stałem w jego blasku. Na moment zamknąłem oczy i myślałem o matce, która wkrótce wróci z odwyku. I o ojcu, martwym i pogrzebanym.

Czułem się bardzo samotny.

Szkolny bufet był zamknięty, bo do rozpoczęcia roku szkolnego było jeszcze kilka tygodni, więc musieliśmy przynieść swoje jedzenie. Kupiłem zapiekankę z kurczakiem w Wilkes Deli i usiadłem na trawiastym pagórku obok boiska. Już miałem zacząć jeść, kiedy ją zauważyłem.

Nie była w moim typie, chociaż właściwie nie mam ulubionego typu. Przez całe życie podróżowałem. Moi rodzice pracowali dla organizacji charytatywnej w takich miejscach, jak Laos, Peru czy Sierra Leone. Nie mam rodzeństwa. Wszystko to było ekscytujące i fajne, kiedy byłem mały, ale z czasem stało się męczące i trudne do zniesienia. Chciałem osiąść w jednym miejscu. Chciałem mieć przyjaciół i grać w drużynie koszykówki, spotykać się z dziewczynami i robić to, co robią nastolatki. A raczej trudno to robić, kiedy wędruje się z plecakiem po Nepalu.

Ta dziewczyna była bardzo ładna, na pewno, ale także schludna, sztywna i ubrana z dyskretną elegancją. Coś sugerowało, że jest wyniosła, chociaż nie potrafiłbym powiedzieć co. Miała jasnoblonde włosy porcelanowej lalki. Nosila prawdziwą spódnickę, nie jakąś tam supermini, oraz wywinięte skarpetki do kostek, i wyglądała, jakby zeszła z kartek katalogu Brooks Brothers moich dziadków.

Ugryzłem zapiekankę, a potem zauważyłem, że ona nie ma śniadania. Może była na diecie, ale z jakiego powodu wydawało mi się, że nie.

Nie wiem dlaczego, ale postanowiłem do niej podejść. Nie miałem ochoty rozmawiać ani poznawać kogoś. Jeszcze nie oswoiłem się z tymi wszystkimi osobami, które pojawiły się w moim życiu, i naprawdę nie chciałem dodawać nowych.

Może po prostu dlatego, że była taka ładna. Może jestem płytki jak każdy facet. A może dlatego, że samotny zawsze wyczuje samotnego. Może pociągało mnie w niej to, że tak jak ja wydawała się trzymać z boku.

Podszedłem ostrożnie. Kiedy znalazłem się blisko, uniosłem rękę.

— Cześć — powiedziałem. Zawsze rzucam takie superteksty.

Popatrzyła na mnie, osłaniając dłonią szmaragdowozielone oczy.

— Cześć.

Tak, była bardzo ładna.

Stałem tam, czując się jak oferma. Zaczerwieniłem się. Nagle miałem wrażenie, że moje ręce są za duże w stosunku do reszty ciała. Potem znowu się odezwałem:

— Mam na imię Mickey.

Ludzie, ale jestem wygadany, no nie? Co zdanie, to greps.

— Jestem Ashley Kent.

— Fajnie.

— Taa...

Gdzieś na świecie — może w Chinach, Indiach lub jakiejś odludnej części Afryki — zapewne żyje większy głupek ode mnie. Jednak nie postawiłbym na to nawet centa.

Wskazałem jej puste ręce.

— Przyniosłaś drugie śniadanie?

— Nie, zapomniałam.

— Ta zapiekanka jest ogromna. Chcesz pół? — spytałem.

— Och, nie mogłabym...

Jednak nalegałem, a ona zaprosiła mnie, żebym koło niej usiadł. Ashley też była drugoklasistką i również niedawno sprowadziła się do miasteczka. Powiedziała, że jej ojciec jest sławnym chirurgiem, a matka prawniczką.

Gdyby to był film, w tym momencie puściliby muzykę, jakąś ckliwą melodię, pokazując, jak jemy z Ashley drugie śniadanie, rozmawiamy, śmiejemy się, nieśmiało flirtujemy, trzymamy się za ręce — kończąc to niewinnym pierwszym pocałunkiem.

To było trzy tygodnie temu.

Dotarłem do klasy pana Hilla tuż przed dzwonkiem. Zaczął odczytywać listę obecności. Potem znów zadzwonił dzwonek na przerwę. Klasa Ashley znajdowała się po drugiej stronie korytarza. Czekałem tam i zobaczyłem, że Ashley znowu nie ma.

Wcześniej opisałem ją jako moją dziewczynę. Może przesadziłem. Nasza znajomość rozwija się powoli. Pocałowaliśmy się dwa razy, nic więcej. Tak naprawdę nie lubiłem nikogo w tej nowej szkole. A ją lubiłem. To nie była miłość. Na to jeszcze za wcześnie. Z drugiej strony takie uczucia zwykle wygasają. Taka jest prawda. Lubimy udawać, że wzmacniają się, w miarę jak zbliżamy się do siebie, jednak przeważnie jest wprost przeciwnie. Chłopak widzi taką cudowną dziewczynę i traci dla niej głowę, zapiera mu dech w piersi i robi się niecierpliwy, pragnąc jej tak bardzo, że w końcu wszystko psuje.

Jeśli uda mu się z nią przespać, niemal natychmiast traci zainteresowanie. W moim przypadku uczucie do Ashley naprawdę się rozwijało. To było trochę przerażające, ale w pozytywny sposób.

A potem pewnego dnia przyszedłem do szkoły, a Ashley nie było. Próbowałem dzwonić na jej komórkę, ale nie odbierała. Następnego dnia też nie przyszła. I następnego.

Nie wiedziałem, co robić. Nie znałem jej adresu. Sprawdziłem w internecie nazwisko Kent, ale widocznie mieli zastrzeżony numer. W rzeczy samej, w sieci nie znalazłem o niej żadnych informacji. Ashley po prostu znikła bez śladu.

Na trzeciej przerwie wpadłem na pewien pomysł.

Ashley i ja mieliśmy tylko jedno wspólne zajęcia — z historii Stanów Zjednoczonych, z panią Friedman, którą dotychczas lubiłem najbardziej ze wszystkich nauczycieli. Była egzaltowana i pełna entuzjazmu. Dzisiaj mówiła o tym, jak wszechstronne były niektóre postacie historyczne, namawiając nas, żebyśmy stali się „ludźmi renesansu”.

Jeszcze z nią nie rozmawiałem. Nie rozmawiałem z żadnym z moich nauczycieli poza klasą. Trzymałem się z boku. Taki już byłem. Wiem, że przyglądano mi się jako „temu nowemu”. Pewnego dnia grupka dziewczyn chichotała, patrząc na mnie, a jedna podeszła i zapytała:

— Może... no... mogłabym dostać twój numer telefonu? Zaskoczony podałem go jej.

Pięć minut później usłyszałem chichot i mój telefon zaczął wibrować. Dostałem wiadomość tekstową: Moja przyjaciółka uważa, że jesteś przystojny. Nie odpowiedziałem.

Po lekcji podeszedłem do pani Friedman.

— Ach, pan Bolitar — powiedziała z uśmiechem, który rozpromienił jej twarz. — Cieszę się, że chodzi pan na moje zajęcia.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, więc ograniczyłem się do chrząknięcia i „dziękuję”.

— Nie uczyłam pańskiego ojca — ciągnęła — ale pana wujek był jednym z moich ulubionych uczniów. Jest pan do niego podobny.

Mój wujek. Wielki Myron Bolitar: Nie lubiłem go i męczyło mnie wysłuchiwanie, jaki to jest wspaniały. Mój ojciec i wujek byli sobie bardzo bliscy, kiedy dorastali, ale potem ich drogi się rozeszły. Przez ostatnie piętnaście lat — czyli w zasadzie od chwili mojego poczęcia do śmierci ojca — bracia ze sobą nie rozmawiali. Pewnie powinienem wybaczyć wujkowi Myronowi, ale jakoś nie miałem ochoty.

— Co mogę dla pana zrobić, panie Bolitar?

Gdy niektórzy nauczyciele zwracają się do ciebie per pan lub pani, brzmi to protekcjonalnie lub zbyt oficjalnie. Pani Friedman jednak mówiła to we właściwy sposób.

— Jak pani zapewne wie — zacząłem powoli — Ashley Kent jest nieobecna.

— Owszem. — Pani Friedman była niska, więc z pewnym trudem spoglądała mi w oczy. — Wy dwoje jesteście sobie bliscy?

— Jesteśmy przyjaciółmi.

— Niech pan da spokój, panie Bolitar. Może jestem stara, ale widzę, jak pan na nią patrzy. Nawet panna Caldwell jest zła, że nie zwraca pan na nią uwagi.

Poczerwieniałem, kiedy to powiedziała. Rachel Caldwell była zapewne najgorętszą laską w szkole.

— W każdym razie — kontynuowałem, przeciągając słowa — pomyślałem, że może mógłbym jej pomóc uzupełnić zaległości.

— W jaki sposób?

— Myślałem, że zapisałbym temat jej pracy domowej i... no cóż... zaniósł jej.

Pani Friedman ścierała tablicę. Większość nauczycieli używa tablic interaktywnych, ale pani Friedman lubiła żartować, że „ona należy do starej szkoły — dosłownie”. Przestała wycierać i spojrzała na mnie.

— Czy Ashley prosiła pana o przyniesienie jej tematu pracy domowej?

— No, nie.

— Zatem sam pan się tego podjął?

To był głupi pomysł. Nawet gdyby podała mi ten temat, dokąd miałbym z nim pójść? Nie wiedziałem, gdzie Ashley mieszka.

— Nieważne — powiedziałem. — Mimo to dziękuję.



Odłożyła gąbkę.  
— Panie Bolitar? Odwróciłem się do niej.  
— Czy pan wie, dlaczego Ashley Kent jest nieobecna?  
Moje serce zaczęło bić mocniej.  
— Nie, proszę pani.  
— Jednak się pan niepokoi.  
Nie wiedziałem, po co miałbym ją okłamywać.  
— Tak, proszę pani.  
— Nie dzwoniła do pana?  
— Nie dzwoniła.  
— Dziwne. — Pani Friedman ściągnęła brwi. — Mogę tylko powiedzieć, że dostałam wiadomość, iż nie powinnam oczekiwać powrotu Ashley.  
— Nie jestem pewny, czy rozumiem.  
— To wszystko, co wiem — odrzekła pani Friedman. — Sądzę, że się przeprowadziła.  
Jednak...  
Umilkła.  
— Jednak co?  
— Nieważne, panie Bolitar. — Znów zaczęła wycierać tablicę. — Po prostu... niech pan będzie ostrożny.

\* \* \*

Podczas przerwy śniadaniowej stanąłem w kolejce do bufetu.  
Zawsze sądziłem, że bufet w szkole średniej będzie bardziej tętnił życiem. Owszem, były tu różne paczki. Tutejszych sportowców nazywano Lax Bros (od braci lacrosse). Wszyscy mieli długie włosy, wielkie muskuły i zaczynali każde zdanie od słowa „taa”. Był stół miłośników anime — białych dzieciaków uważających się za Azjatów. Ci uwielbiali komiksy i gry wideo w stylu mangi. Ich dziewczyny były nie tyle ładne, ile chude, i nosiły zbyt wysokie szpilki oraz drogie ciuchy. Przesiadawali tam również hipstersi, skejci, ćpuny, maniacy komputerowi i kinomani.  
Nie było żadnych ostrych tarć. Te dzieciaki znały się tak długo, że nie zwracały uwagi na różnice. Tak zwani outsiderzy, którzy siedzieli sami, byli sami od tylu lat, że nie było to okrucieństwo, ale przyzwyczajenie. Nie miałem pewności, czy tak jest lepiej, czy gorzej.  
Jakiś dzieciak zdecydowanie wyglądający na komputerowca podszedł do mnie z tacą w rękę. Nogawki spodni miał obcięte, jakby w jego piwnicy stała woda. Nosił idealnie białe sportowe buty bez żadnego znaku firmowego. Poprawił okulary Harry’ego Pottera i pokazał mi swoją tacę.  
— Hej, chcesz moją łyżeczkę? — zapytał. — Prawie jej nie używałem.  
Spojrzałem na tacę.  
— Prawie?  
— Tak.  
Podniósł tacę nieco wyżej, żebym mógł zobaczyć. Łyżeczka tkwiła w kubku z owocami w syropie.  
— Nie — odparłem. — Nic mi nie trzeba.  
— Na pewno?  
— Zabrakło im łyżeczek czy co?  
— Nieee, mają ich mnóstwo.  
No dobrze.  
— Więc nie, dziękuję, nie potrzebuję jej.  
Wzruszył ramionami.

— Jak chcesz.

Kiedy kupiłem lunch, Łyżka — bo tak nazwałem go w myślach — czekał na mnie.

— Gdzie zamierzasz usiąść? — zapytał.

Od kiedy Ashley znikła, jadałem sam. na dworze.

— Jeszcze nie wiem.

Łyżka poszedł za mną.

— Jesteś duży i trzymasz się z boku.

Jak Shrek. Co na to można powiedzieć?

— Mógłbym być twoim Osłem, wiesz? No, dobrze. Gdybym wyszedł na dwór, ruszyłby za mną, więc rozejrzałem się za jakimś bezpiecznym miejscem w środku.

— Albo twoim Robinem. Jak Batman i Robin. Albo Sancho Pansą. Czytałeś *Don Kichota*? Jak też nie, ale widziałem musical *Człowiek z La Manchy*. Uwielbiam musicale. Mój ojciec też, ale mama nie bardzo. Ona lubi walki w klatkach w stylu mieszanym. Połączenie różnych sztuk walki. My z ojcem raz w miesiącu chodzimy na musicale. A ty lubisz musicale?

— Pewnie — mruknąłem, rozglądając się po bufecie za jakimś bezpiecznym schronieniem.

— Mój ojciec jest super. Zabiera mnie na musicale i inne spektakle. Trzy razy byliśmy na *Mamma mia*. Jest niesamowity. Film już nie jest taki dobry. No wiesz, Pierce Brosnan śpiewa, jakby ktoś przeszył mu gardło strzałą z łuku. Ojciec dostaje ulgowe bilety, ponieważ pracuje w szkole. Jest tu woźnym. Jednak nie proś go, żeby wpuścił cię do damskiej szatni, dobrze? Ponieważ ja prosiłem, a on powiedział, że nie ma mowy. Ojciec potrafi być stanowczy, wiesz?

— Taak... Wiem.

W tak zwanym kąciku outsiderów zobaczyłem prawie pusty stolik. Jedyłą siedzącą przy nim osobą była moja niewdzięczna dama w opałach, Ema lub Emma. Nadal nie poznałem jej imienia.

— I co ty na to, żebyś był twoim Osłem?

— Wróć do ciebie — powiedziałem do Łyżki. Pospieszyłem w kąt i postawiłem moją tacę obok tacy Emy. Znów miała gruby czarny makijaż, włosy czarne jak pasta do butów, czarne ubranie i buty, bladą skórę. Była gotem, emo, czy jak tam teraz nazywa się taki styl. Miała tatuaże na przedramionach, a jeden wyłaniał się z koszuli i wił po karku. Spojrzała na mnie z miną, która nie byłaby bardziej ponura, gdybym ją uderzył.

— Och, świetnie — wymamrotała. — Siad łaski.

— Siad łaski?

— Pomyśl.

Zrobiłem to. Nigdy nie słyszałem tego wyrażenia.

— Och, rozumiem. Niby że lituję się, bo siedzisz sama, więc siadam koło ciebie?

Przewróciła oczami.

— A ja miałam cię za głupiego mięśniaka.

— Staram się być człowiekiem renesansu.

— Widzę, że też masz zajęcia z panią Friedman. — Zerknęła na prawo i na lewo. — Gdzie twoja wyelegantowana dziewczyna?

— Nie wiem.

— Od przesiadywania ze ślicznotką do siedzenia ze mną. — EmazEmma pokręciła głową. — Co za upadek.

Męczyło mnie myślenie o niej jako o EmieEmmie.

— Jak masz na imię?

— A dlaczego chcesz to wiedzieć?

— Słyszałem, jak ktoś nazwał cię Emą. Potem pani Owens nazwała cię Emmą.

Podniosła widelec i zaczęła grzebać w jedzeniu. Dopiero teraz zauważyłem, że ma przekłute brwi. O rany.

- Na imię mam Emma. Jednak wszyscy nazywają mnie Ema.
- Dlaczego? Chciałbym po prostu wiedzieć, jak mam cię nazywać.
- Ema — powiedziała niechętnie.
- Dobrze. Ema.

Znów zaczęła grzebać w jedzeniu.

- Więc czym się zajmujesz? No wiesz, kiedy nie ratujesz grubych dziewczyn.
- Trochę przesadzasz z tym udawaniem zgorzkniałej.
- Tak uważasz?
- Powinnaś wyluzować.

Wzruszyła ramionami.

- Może masz rację. Jesteś tu nowy, zgadza się?
- Zgadza.
- Skąd jesteś?
- Dużo podróżowaliśmy — odparłem. — A ty?

Skrzywiła się.

- Ja przez całe życie mieszkam w tym miasteczku.
- To chyba nic takie złe.
- Nie widzę, żebyś ty się dopasował.
- Nie chcę się dopasować.

Ta odpowiedź spodobała się Emie. Popatrzyłem na moją tacę. Wziąłem łyżeczkę i pomyślałem, no cóż, o Łyżce. Pokręciłem głową i się uśmiechnąłem.

- Co? — spytała Ema.
- Nic.

Dziwnie było o tym myśleć, ale kiedy mój ojciec był w tym samym wieku, co ja teraz, siadywał tu i jadł lunch. Był młody i miał przed sobą całe życie. Rozglądałem się i zastanawiałem, gdzie siadał, z kim rozmawiał i czy śmiał się równie chętnie jak wtedy, gdy go znałem.

Te myśli były jak gigantyczna dłoń ściskająca moją pierś. Zamrugałem i odłożyłem łyżeczkę.

- Hej, wszystko w porządku? — zapytała Ema.
- Tak.

Myślałem o Nietoperzycy i o tym, co mi powiedziała. Wyleciała z domu jak oszalały nietoperz. Może od tego wzięło się to przezwisko? Nie dostaje się takiej ksywy bez powodu, tylko za szalone czyny. Takie jak mówienie chłopcu, który widział, jak jego ojciec zginął w wypadku samochodowym, że ten człowiek, którego tak mu brakuje, wciąż żyje.

Wróciłem myślami do dnia sprzed ośmiu miesięcy, kiedy wylądowaliśmy w Los Angeles — mój ojciec, matka i ja. Rodzice chcieli znaleźć miejsce, gdzie mógłbym chodzić do szkoły, grać w prawdziwej drużynie koszykarskiej i może pójść na studia.

Piękne plany, prawda?

Teraz ojciec nie żyje, a matka się załamała.

— Emo? — odezwałem się.

Spojrzała na mnie czujnie.

— Czy wiesz coś o Nietoperzycy?

Ściągnęła brwi. Kiedy to zrobiła, tusz na jej powiekach się pofałdował, a potem rozchylił jak wachlarz.

— Teraz jarzę.

— Co?

— Dlaczego tu usiadłeś. Pomyślałeś sobie, że zwariowana dziewczucha wie pewnie wszystko o zwariowanej starej babie.

— Co takiego? Nie.

Ema wstała, zabierając tacę.

— Zostaw mnie w spokoju, dobrze?

— Nie, zaczekaj, nie rozumiesz...

— Wszystko rozumiem. Już spełniłeś dobry uczynek.

— Przystaniesz wreszcie? Emo?

Pospiesznie odeszła. Ruszyłem za nią i zatrzymałem się. Dwaj mięśniacy w sportowych kurtkach z emblematem drużyny futbolowej uśmiechali się szyderczo. Jeden stał po mojej prawej, a drugi po lewej. Ten po prawej — z wytłoczonym na piersi napisem *BUCK* — zbyt mocno klepnął mnie w ramię.

— Wygląda na to, że cię olała, co?

Drugi mięśniak — z wytłoczonym imieniem *TROY* — roześmiał się.

— Tak — powiedział. — Olany. Przez grubą laskę.

Znowu Buck:

— Grubą i brzydką.

Troy:

— I mimo to cię olała.

Buck i Troy przybili piątkę. Potem odwrócili się i podnieśli ręce, żebym i ja to zrobił.

— Przybij — powiedział Buck.

Ściągnąłem brwi.

— Nie musicie czasem sprawdzić, czy nie zapchały się wam strzykawki ze sterydami?

Obaj otworzyli usta ze zdziwienia. Przepchnąłem się między nimi.

— Jeszcze nie skończyliśmy, trupie! — krzyknął Buck.

— Tak! — dodał Troy. — Trupie!

— Zimny jak gład.

— Trupie!

Ludzie, miałem nadzieję, że ta ksywa do mnie nie przylgnie. Kiedy ruszyłem za Emą, pani Owens, która miała dyżur w bufecie, szybko zastąpiła mi drogę. Miała błysk w oku. Nie wybaczyła mi fiaska, jakim okazały się ćwiczenia tworzące więź. Wciąż ze zbolałym uśmiechem, tuż przed moim nosem dmuchnęła w gwizdek.

— Nie biegamy w bufecie — powiedziała — albo dostajemy tydzień siedzenia w kozie. Czy wyrażam się jasno?

Rozejrzałem się. Buck wycelował we mnie palec jak lufę i udał, że odciąga kciukiem kurek. Ema zostawiła tacę i wyszła z bufetu. Pani Owens uśmiechnęła się, prowokując mnie, żebym za nią pobiegł. Nie zrobiłem tego.

Tak, szybko zdobywałem przyjaciół.

### 3

Moja kłódka na zamek szyfrowy nigdy nie otwiera się za pierwszym razem. Nie wiem dlaczego.

Właśnie wprowadziłem liczby: 14, powrót do 7, potem 28... Nic, nie otworzyła się. Już miałem spróbować jeszcze raz, gdy usłyszałem znajomy głos:

— Zbieram figurki ruszające głowami.

Odwrociłem się i zobaczyłem Łyżkę.

— Dobrze wiedzieć — mruknąłem.

Łyżka dał mi znak, żebym się odsunął. Wyjął pęk kluczy, wybrał jeden z nich i wetknął go w zamek, a ten natychmiast się otworzył.

— Jaki jest twój szyfr? — spytał.

— Hm, a powinienem ci powiedzieć?

— Hej. — Łyżka pomachał mi kluczami przed nosem. — Myślisz, że potrzebny mi twój szyfr, żeby się włamać?

— Słuszna uwaga. — Podałem mu liczby. Pogmerał przy kłódce i mi ją oddał. — Teraz powinna działać bez problemów.

Zamierzał odejść.

— Zaczekaj, Łyżka.

Odwrocił się do mnie.

— Jak mnie nazwałeś?

— Przepraszam, nie wiem, jak masz na imię.

— Łyżka — powiedział, podnosząc głowę i uśmiechając się, jakby po raz pierwszy słyszał to słowo. — Podoba mi się. Łyżka. Taak. Nazywaj mnie Łyżka, dobrze?

— Jasne...

Popatrzył na mnie wyczekująco.

— Hm, Łyżka. — Rozpromienił się. Nie wiedziałem, jak o to poprosić, ale pomyślałem, a co tam, do licha. — Masz tu mnóstwo kluczy.

— Tylko nie nazywaj mnie Klucz, dobrze? Wolę być Łyżką.

— Tak, oczywiście, jesteś Łyżka. Mówiłeś wcześniej, że twój ojciec jest tutaj woźnym, prawda?

— Prawda. A przy okazji, ta Biała Czarownica w Narni... uważam, że jest superseksowna.

— Owszem, ja też tak myślę — powiedziałem, usiłując naprowadzić go z powrotem na interesujący mnie temat. — Czy twój ojciec naprawdę może wpuścić cię do różnych zamkniętych pomieszczeń szkoły?

Łyżka się uśmiechnął.

— Pewnie, ale tak naprawdę nie muszę prosić ojca. Mam tu klucze. — Potrząsnął nimi na wypadek, gdybym nie wiedział, co to są klucze. — Jednak nie możemy wejść do damskiej szatni. Prosiłem go...

— Dobrze, nie, nie do damskiej szatni. Jednak możesz się dostać do innych pomieszczeń?

Łyżka poprawił okulary.

— Dlaczego pytasz? Co ci chodzi po głowie?

— Cóż, zastanawiałem się, czy moglibyśmy dostać się do sekretariatu i sprawdzić akta jednej uczennicy.

— Jakiej uczennicy? — zapytał.

— Nazywa się Ashley Kent.

\* \* \*

Zajęcia w szkole kończą się o piętnastej, ale Łyżka powiedział mi, że horyzont będzie czysty dopiero po dziewiętnastej. Tak więc miałem cztery godziny do zabicia. Było za wcześnie na odwiedzin u mamy — pozwalano mi tylko na nocne wizyty, ponieważ w ciągu dnia mama powinna mieć zabiegi rehabilitacyjne — więc skierowałem się znowu do domu Nietoperzycy.

Kiedy wyszedłem ze szkoły, zauważyłem, że mam wiadomość głosową. Domyślałem się, że jest od dorosłej osoby. Dzieciaki przysyłają SMS-y, a dorośli zostawiają wiadomości głosowe, co jest męczące, ponieważ trzeba zadzwonić, przejść przez system menu, odsłuchać wiadomość, a potem ją skasować. Tak, miałem rację. Wiadomość była od wujka Myrona.

— Zarezerwowałem bilety na samolot do Los Angeles z samego rana w sobotę — powiedział swoim najbardziej ponurym tonem. — Polecimy i wrócimy następnego dnia.

Los Angeles. Mieliśmy tam polecieć, żeby zobaczyć grób mojego ojca. Myron nigdy nie widział miejsca ostatniego spoczynku brata, a moi dziadkowie, którzy mieli się tam z nami spotkać, nigdy nie widzieli miejsca pochówku swojego syna.

— Oczywiście mam bilet dla twojej matki — ciągnął wujek Myron. — Nie można zostawiać jej samej. Wiem, że wy dwoje chcecie jutro być sami, ale może powinienem być przy tym, no wiesz, na wszelki wypadek.

Ściągnąłem brwi. Nie ma mowy.

— W każdym razie mam nadzieję, że u ciebie wszystko w porządku. Będę wieczorem w domu, jeśli masz ochotę na pizzę albo coś.

Nie miałem ochoty dzwonić, więc wysłałem SMS: Nie będę w domu na kolacji. Myślę, że dla mamy będzie mniej stresujące, jeśli nie będzie cię w pobliżu.

Myronowi to się nie spodoba, ale co tam. Nie jest moim prawnym opiekunem. To część naszej umowy. Kiedy odkrył, że mój ojciec nie żyje, a matka ma problemy, zagroził, że złoży wniosek o przyznanie opieki. Ja odparowałem, że jeśli to zrobi, ucieknę — nadal mam kontakty za oceanem — albo wniosem pozew o przyznanie samodzielności.

Moja matka ma problemy, ale nadal jest moją matką.

To nie był przyjemny spór, ale w końcu wypracowaliśmy jeśli nie ugode, to przynajmniej zawieszenie broni. Ja zgodziłem się zamieszkać w jego domu w Kasselton w New Jersey. To był ten sam dom, w którym dorastali Myron i mój tata. Tak, to niesamowite. Zająłem pokój w piwnicy, który kiedyś należał do Myrona, i robiłem, co mogłem, żeby nie wchodzić do pokoju na górze, w którym spędził dzieciństwo mój ojciec. Mimo to było to trochę dziwaczne.

W każdym razie w zamian za to, że zgodziłem się mieszkać w tym domu, Myron zgodził się, by matka pozostała moim jedynym opiekunem i, no cóż, zostawić mnie w spokoju. Dotrzymanie tej ostatniej części umowy przychodziło mu z trudem.

Kiedy teraz popatrzyłem na dom Nietoperzycy, zadrzałem. Wiatr się wzmógł, gnąc nagie drzewa na podwórku. Widywałem różne rodzaje przesądów we wszystkich czterech stronach świata. Większość wydawała się bezdennie głupia, chociaż rodzice zawsze mówili mi, że powinienem mieć otwarty umysł. Nie wierzę w nawiedzone domy. Nie wierzę w zjawy, duchy ani stwory straszące po nocy.

Jednak gdybym wierzył, ludzie, w tym domu było ich mnóstwo.

Był tak zaniedbany, że wydawało się, iż się przechyla, jakby mocne pchnięcie mogło go przewrócić. Niektóre deski były obłuzowane. W kilku oknach brakowało szyb i zastąpiono je deskami. Pozostałe były tak zmętniałe, jakby dom właśnie wziął gorący prysznic, co — sądząc po grubej warstwie brudu — było niemożliwe.

Gdybym nie widział tej starej na własne oczy, przysięgłbym, że dom jest niezamieszany od lat.

Znów podszedłem i zapukałem do drzwi. Żadnej reakcji. Przysunąłem ucho do desek — niezbyt blisko, ponieważ nie chciałem wbić sobie drzazgi — i nasłuchiwałem. Nic. Żadnego dźwięku. Jeszcze raz zastukałem. Wciąż żadnej odpowiedzi.

I co teraz?

A co właściwie mogłem zrobić? Coś. Cokolwiek. Postanowiłem spróbować tylnych drzwi. Przeszedłem po lewej, ponieważ, jak już mówiłem, dom był przechylony i nie chciałem, żeby mnie przygniótł, gdyby nagle runął.

Spojrzałem w górę. Na piętrze był balkonik i przez moment wyobraziłem sobie, że Nietoperzyca siedzi tam na bujaku, wciąż ubrana na biało, i na mnie patrzy.

Przyspieszyłem kroku, zastanawiając się, co znajdę na tyłach.

Nic.

Tuż za domem był las. To dziwne. Jakby dom zbudowano w połowie na otwartej przestrzeni, a w połowie w lesie, żeby wyląniał się spomiędzy drzew. Z ulicy wyglądało to tak, jakby drzewa rosły na podwórzu za domem. Jednak tam były tylko drzewa. Wydawało się, że ich korzenie są zrosnięte z fundamentami. Grube paskudne pędy pięły się po tylnych ścianach. Nie wiem, czy dom został zbudowany w lesie, a potem wycięto drzewa od frontu, czy dopiero później las zaczął się podkładać do domu i go pochłaniać. Ten dom pasował do Nietoperzycy.

— Co ty robisz?

Powstrzymałem krzyk, ale podskoczyłem tak, jakbym wkładał piłkę do kosza. Głos rozległ się za moimi plecami. Odwróciłem się i cofnąłem dwa kroki, wpadając na drzewo.

To była Ema.

— Przestraszyłaś mnie, co? — Zaśmiała się i rozłożyła ręce jak skrzydła. — Myślałeś, że to Nietoperzyca przychodzi cię porwać?

— Daj spokój — szepnąłem.

— Wielki twardziel.

— A co ty tu robisz? — chciałem wiedzieć.

Wzruszyła ramionami.

— Czekaj, śledziłaś mnie?

— Naprawdę, Mickey? — Wzięła się pod boki. — Nie jesteś zbyt zarozumiała?

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

— Ja po prostu... — Ema westchnęła. — Wspomniałeś o Nietoperzycy. No i przecież ratowałeś mnie, a potem chyba byłam ciekawa.

— I dlatego przyszedłaś tu za mną?

Ema nie odpowiedziała. Rozglądała się, jakby dopiero teraz uświadomiła sobie, że jesteśmy prawie w lesie, oparci plecami o dom Nietoperzycy.

— A ty po co tu przyszedłeś? Nie powiodło ci się z grubą laską, więc postanowiłeś spróbować ze starą?

Tylko na nią popatrzyłem.

— Słyszałam, co mówili Buck i Troy. Czepiają się mnie od tak dawna, że trudno mi sobie przypomnieć, kiedy tego nie robili. — Odwróciła głowę, przygryzła dolną wargę, a potem znów na mnie spojrzała. — Słyszałam też, jak ci grozili za to, że mnie bronisz.

Zbyłem to wzruszeniem ramion.

— Więc co tutaj robisz?

Zastanawiałem się, jak to wytłumaczyć, a potem ograniczyłem się do krótkiego:

— Chcę porozmawiać z Nietoperzycą.

Ema się uśmiechnęła.

— Nie, poważnie.

— Jestem poważny.

— Nie, nie jesteś. Ponieważ... no wiesz... ona nie istnieje. To tylko mit, którym duże dzieciaki straszą małe dzieci. Chcę powiedzieć, że nie znam nikogo, kto by ją widział.

— Ja ją widziałem.

— Kiedy?

— Dziś rano. — A potem dodałem: — Oznajmiła mi, że mój ojciec żyje.

Ema miała zdziwioną minę.

— Zginął w wypadku samochodowym na początku tego roku — wyjaśniłem.

— Oo... — Ema zrobiła wielkie oczy. — Nie wiem, co powiedzieć.

— Ja tylko chcę z nią porozmawiać.

— W porządku, załapałam. Widziałam, jak pukalesz do drzwi. A jaki masz teraz plan?

— Spróbuję zapukać do tylnych drzwi.

— To chyba ma sens — uznała Ema. Spojrzała na las i zmrużyła oczy. — Spójrz na to.

Wskazała las i zrobiła kilka kroków. Ja nie widziałem niczego oprócz drzew:

— Tam jest droga — powiedziała Ema. — I może jakiś budynek.

Wciąż niczego nie widziałem. Poszła w tym kierunku. Ja za nią. Po przejściu kilku kroków zobaczyłem, że miała rację. Około dwudziestu metrów za domem Nietoperzycy znajdowało się coś, co mogło być garażem, pomalowanym na brązowozielony kolor będący kamuflażem. Prowadziła do niego żwirowa droga wychodząca z lasu. Jedno i drugie nie było widoczne z ulicy. Do licha, nie było tego widać nawet, gdy się stało przy tylnych drzwiach.

Ema pochylała się i dotknęła żwiru.

— Ślady opon jakiegoś samochodu — stwierdziła jak tropicielka ze starego westernu. — Widocznie tędy przyjeżdża i odjeżdża Nietoperzyca, tą żwirową drogą. Może tu zaparkować za domem i nikt jej nie zobaczy.

— Nietoperzyca jeździ samochodem?

— A co, uważasz, że lata?

Przeszedł mnie dreszcz. Garaż był w lepszym stanie niż dom, ale tylko trochę lepszym. Spróbowałem otworzyć drzwi. Również zamknięte. Nie było okien, więc nie mogłem sprawdzić, czy w środku jest samochód.

Nie wiedziałem, co o tym wszystkim myśleć. Zapewne nic. Mieszka tu ekscentryczna starsza pani. Lubi wjeżdżać i wyjeżdżać prywatną drogą. Wielkie rzeczy. Nie miałem powodu, żeby tutaj być.

Poza tym oczywiście, że znała moje imię. No i twierdziła, że mój ojciec żyje...

Kto mówi coś takiego? „Twój ojciec nie umarł”. Kto tak robi?

Dość tego. Obróciłem się na pięcie i ruszyłem do tylnych drzwi. Zapukałem. Żadnej odpowiedzi. Zastukałem mocniej. Drzwi miały brudne szybki. Osłoniłem rękami oczy, żeby zajrzeć do środka, i kiedy to zrobiłem, poczułem, że drzwi ustępują pod naciskiem. Spojrzałem na klamkę. Futryna była nadgryziona zębem czasu. Sięgnąłem do kieszeni i wyjąłem portfel. Ema stała teraz obok mnie. Wyciągnąłem kartę kredytową, zasłaniając palcem nazwisko.

— Oo — powiedziała — umiesz się włamywać do domów?

— Nie, ale widziałem to w telewizji. Trzeba tylko wsunąć kartę w szparę.

Ściągnęła brwi.

— I sądzisz, że to działa?

— Zwykle nie. Jednak spójrz, jaki stary jest ten zamek. Wydaje się, że puściłby, gdybym mocniej na niego dmuchnął.

— W porządku, ale najpierw to przemyśl.

— Hę?

— Załóżmy, że te drzwi się otworzą, co wtedy?

Nie wybiegałem myślami tak daleko. Włożyłem kartę kredytową w szczelinę i przesunąłem w dół. Napotkałem opór. Wepchnąłem ją mocniej. Nic. Już miałem zrezygnować, gdy drzwi powoli się otworzyły, ze skrzypnięciem tak głośnym, że odbiło się echem w lesie.

— Oo — sapnęła Ema.



Pchnąłem drzwi, otwierając je na oścież. Zaskrzypiały jeszcze głośniejsze, płosząc ptaki. Ema położyła rękę na moim przedramieniu. Spojrzałem i zobaczyłem, że jej paznokcie są pomalowane na czarno. Na każdym palcu miała srebrny pierścionek. Jeden w formie czaszki i skrzyżowanych piszczeli.

— To jest włamanie i wtargnięcie — zauważyła.

— Zamierzasz wezwać gliny? — spytałem.

— Żartujesz? — Jej oczy rozblęły. Teraz wydawała się młodsza, ładniejsza, prawie jak mała dziewczynka. Kiedy zobaczyłem cień uśmiechu, uniosłem brew i zapewne to go spłoszyło. Znow zrobiła ponurą minę. — A co tam — powiedziała, udając, że jest jej wszystko jedno. — Jest fajnie.

Nie, wcale nie było fajnie. Wiedziałem, że to nie jest najmądrzejsze, ale potrzeba zrobienia czegoś, czegokolwiek, przeważyła nad obawami. Ponadto, tak naprawdę, czym ryzykuję? Stara baba wykrzykiwała do mnie rano jakieś dziwne rzeczy. Przyszedłem sprawdzić, o co jej chodziło. Kiedy nie otwierała, postanowiłem się upewnić, że nic jej nie jest. Tak bym zeznawał. I co, zamknęliby mnie za to?

— Możesz pójść do domu — powiedziałem Emie.

— Śnij dalej.

— Cóż, chyba przydałby mi się ktoś na czatach.

— Wolałabym wejść do środka.

Pokręciłem głową.

Ema westchnęła. — No dobra, stanę na czatach. — Wyjęła komórkę. — Jaki jest twój numer?

Podąłem go jej.

— Stanę tam. Jeśli zobaczę, jak nadlatuje, wyślę ci SMS. A przy okazji, co zrobisz, jeżeli ona jest w środku i czeka w ciemnościach, żeby się na ciebie rzucić?

Nie trudziłem się odpowiedzią, chociaż, prawdę mówiąc, nie pomyślałem o tym. A jeśli Nietoperzyca czeka ta m na mnie i... I co? Co miałyby zrobić, skoczyć mi na plecy? Mam metr dziewięćdziesiąt i jestem nastolatkiem. A ona drobną staruszką. Dośpiewajcie sobie resztę.

Wszedłem do kuchni, ale nie zamknąłem za sobą drzwi. Chciałem mieć otwartą drogę ucieczki, w razie gdyby... no, w razie czegoś.

Kuchnia była z innej epoki. Pamiętam, że kiedyś oglądałem z ojcem powtórkę czarno-białego serialu *Honeymooners*. Wcale nie uważałem, że jest śmieszny. Mnóstwo żartów opartych na kierowanych przez Ralpa do żony, Alice, groźbach użycia przemocy fizycznej. Ralph i Alice mieli właśnie taką lodówkę — jeśli to była lodówka — jak ta tutaj. Linoleum na podłodze Nietoperzycy było brudnożółte jak zęby palacza. Zegar z kukułką stanął i wskazywał niewłaściwą godzinę, a ptak wyglądał ze swojego brązowego domku i sprawiał wrażenie zziębniętego.

— Halo! — zawołałem. — Jest ktoś w domu?

Cisza.

Powinienem wyjść. Naprawdę. Czego tu szukam?

„Twój ojciec nie umarł. Jest jak najbardziej żywy”.

A przecież ja wiedziałem najlepiej. Byłem w tym samochodzie razem z nim. Widziałem, jak umarł. Z drugiej strony... nie mówisz czegoś takiego synowi, nie spodziewając się, że zażąda wyjaśnień.

Przeszedłem na palcach po odłączających płytkach posadzki. Minąłem kraciasty obrus z rodzaju tych, jakie widuje się w pizzeriach. Przywarły do niego pieprzniczka i solniczka ze skamieniałą zawartością. Wyszedłem z kuchni i stanąłem przed spiralnymi schodami wiodącymi na piętro.

Gdzie niewątpliwie znajdowała się sypialnia Nietoperzycy.

— Halo!

Brak odpowiedzi.

Postawiłem nogę na pierwszym stopniu. Nagle przed oczami przemknęły mi obrazy Nietoperzycy przebiegającej się lub biorącej prysznic. Zdjąłem nogę ze stopnia. O nie. Nie zamierzam wchodzić na górę. Przynajmniej nie od razu.

Wszedłem do salonu. Był ciemny. Dominujący kolor — brązowy. Przez brudne szyby i zasłaniające okna drzewa do środka wpadało niewiele światła. Był tam wysoki zegar podłogowy, również niechodzący. Zauważyłem staromodny szafkowy zestaw stereo. Zdaje się, że nazywano to hi-fi. Na samej górze znajdował się gramofon, z boku leżał stos winylowych płyt. Zobaczyłem *Pet Sounds* Beach Boysów, Beatlesów idących po Abbey Road oraz *My Generation* Who.

Próbowałem sobie wyobrazić Nietoperzycę puszczającą klasycznego rocka w tym ciemnym pokoju. Ten obraz był po prostu zbyt upiorny.

Przystanąłem i znów zacząłem nasłuchiwać. Nic. W drugim końcu pokoju zobaczyłem olbrzymi kominek. Na półce nad nim stało tylko jedno zdjęcie. Ruszyłem w tym kierunku, ale coś sprawiło, że przystanąłem.

Na talerzu gramofonu leżała płyta.

Spojrzałem jeszcze raz. Dobrze znałem ten album. Płyta, najwyraźniej ostatnia puszczana przez Nietoperzycę, nazywała się *Aspect of Juno* i została nagrana przez zespół HorsePower. Moi rodzice często go słuchali. Przed laty, kiedy mama i tata się poznali, mama przyjaźniła się z Gabrielem Wire'em i Lexem Ryderem, dwoma facetami, którzy stworzyli HorsePower. Czasem, gdy tata był w podróży, zastawałem mamę słuchającą samotnie tej muzyki i płaczącą.

Przelknąłem ślinę. Przypadek?

Oczywiście, że tak. HorsePower to wciąż popularny zespół. Mnóstwo ludzi ma ich płyty. Jedna z nich akurat leży w gramofonie Nietoperzycy. Czy to ważne?

Tylko że to było ważne. Po prostu nie wiedziałem jeszcze dlaczego.

Ruszaj się, pomyślałem.

Znów poszedłem w stronę kominka i fotografii. Na palenisku było pełno sadzy i nadpalonych pożółkłych gazet. Ostrożnie zdjąłem fotografię z półki, obawiając się, że może się rozsypać. Nic takiego. Szkło było pokryte tak grubą warstwą kurzu, że musiałem go zdmuchnąć.

Głupi pomysł. Kurz dostał mi się do oczu i nosa. Kichnąłem, łzy stanęły mi w oczach. Kiedy przestały płynąć, zamrugałem i popatrzyłem na zdjęcie, które trzymałem w ręku.

Hipisi.

Było ich pięcioro: trzy kobiety i dwaj mężczyźni stojący pomiędzy nimi. Wszyscy mieli długie włosy, dzinsy dzwony i koraliki. Wszystkie kobiety miały kwiaty we włosach, a mężczyźni brody, wąsy i baki. Zdjęcie było stare — moim zdaniem zrobione w latach sześćdziesiątych — i ta piątka zapewne była studentami albo w takim wieku. To zdjęcie przypominało mi jedno z tych, jakie widziałem w dokumentalnym filmie o Woodstock.

Kolory fotografii wyblakły ze starości, ale kiedyś z pewnością były żywe. Te pięć osób stało przed jakimś budynkiem z cegły i uśmiechało się szeroko. Wszyscy mieli takie same farbowane koszulki z dziwnym emblematem na piersi. Z początku myślałem, że to jakiś pokojowy symbol. Jednak nie. Przyjrzałem mu się, ale nie zdołałem go rozpoznać. Ten symbol wyglądał jak... sam nie wiem, może jak poturbowany motyl? Kiedyś czytałem o testach Rorschacha, w których różni ludzie dostrzegają różne rzeczy w tych samych dziwnych obrazach. Ten symbol trochę je przypominał, chociaż w testach były to czarne plamy, a ten wzór był kolorowy. Tak, wyraźnie widziałem motyla. Na dole końce skrzydeł, a tam dwoje okrągłych... chyba oczu. A może ślepi? Wydawały się jarzyć.

Naprawdę upiorne.

Mój wzrok znów przyciągnęła dziewczyna stojąca w środku. Wyszła nieco do przodu, jakby była ich przywódczynią. Miała jasne włosy, sięgające do pasa i przytrzymane purpurową opaską. Jej koszulka, była... hm, dość obcisła, jeśli mnie rozumiecie — ciasno opinała jej krągłości. Pomyślałem, że ta hipiska to niezła laska, i w tym momencie uświadomiłem sobie coś okropnego.

To była Nietoperzyca.

Uff!

Podskoczyłem, gdy zawibrował mój telefon. Szybko wyjąłem go z kieszeni i odczytałem wiadomość. Od Emy. Tekst krzyczał wielkimi literami: JEDZIE SAMOCHÓD! UCIEKAJ!

Odstawiłem fotografię na półkę nad kominkiem i ruszyłem do kuchni. Skuliłem się jak komandos, przemykając po brudnym linoleum. Gdy dotarłem do ściany, wyprostowałem się powoli i zerknąłem przez okno na podwórze. W lesie opadała chmura kurzu.

Zobaczyłem samochód.

Był czarny jak noc i miał przyciemnione szyby. Limuzyna albo coś w tym rodzaju. Zatrzymał się przed garażem Nietoperzycy. Czekałem, nie wiedząc, co robić. Potem otworzyły się drzwi od strony pasażera.

Przez moment nic się nie działo. Zerknąłem w lewo, potem w prawo, szukając Emy. Była tam, próbując schować się za drzewem. Wskazała na prawo. Co? Odpowiedziałem pytającym wzruszeniem ramion. Nadal coś mi pokazywała, jeszcze energiczniej. Spojrzałem w tamtym kierunku.

Kuchenne drzwi były otwarte! Zapomniałem je zamknąć.

Przykucnąłem i wyciągnąłem nogę. Zamknąłem je kopniakiem, ale zamek nie trzymał. Znów się otworzyły, skrzypiąc. Spróbowałem ponownie, ale mechanizm się zaciął. Drzwi nie dały się zamknąć. Popchnąłem je nogą lak, że były tylko lekko uchylone.

Zaryzykowałem kolejne spojrzenie przez okno. Ema popatrzyła na mnie gniewnie i zaczęła stukać w klawisze komórki. Zabrzęczała przychodząca wiadomość: czego nie rozumiałeś? JEDZIE SAMOCHÓD! UCIEKAJ! SZYBKO, GŁĄBIE!

Nie ruszyłem się z miejsca. Jeszcze nie. Po pierwsze, nie wiedziałem, dokąd uciekać. Nie mogłem wyjść tyłem — ten, kto siedział w czarnym samochodzie, zobaczyłby mnie. Mogłem wybiec frontowymi drzwiami, ale to też mogło zwrócić uwagę. Dlatego na razie się nie ruszałem. Patrzyłem na samochód. I czekałem.

Przednie drzwi po stronie pasażera otworzyły się szerzej. Ukucnąłem, zerkając znad parapetu. Zobaczyłem, jak na żwirze staje jeden but, potem drugi. Były czarne. Męskie. Chwilę później z samochodu ktoś wysiadł. Taak, mężczyzna. Miał gładko ogoloną głowę, nosił czarny garnitur, ciemne okulary i wyglądał, jakby wracał z pogrzebu albo był agentem Secret Service.

Kto to taki, do licha?

Stał sztywno wyprostowany i rozglądał się, poruszając głową jak robot. Zatrzymał wzrok na drzewie, za którym Ema daremnie próbowała się ukryć. Zrobił krok w jej kierunku. Ema zamknęła oczy, jakby chciała teleportować się siłą woli. Mężczyzna z ogoloną głową zrobił kolejny krok.

Nie było wątpliwości. Zobaczył ją.

Zastanawiałem się, co robić, ale niezbyt długo. Musiałem działać szybko, żeby odwrócić jego uwagę. Postanowiłem wybiec przez tylne drzwi. Już miałem to zrobić, gdy Ema otworzyła oczy. Wyskoczyła zza drzewa, cała w tych swoich czarnych gotyckich barwach, a facet stanął jak wryty.

— Hej, zechciałby pan wspomóc skautki i kupić kilka ciasteczek?

Mężczyzna w ciemnych okularach patrzył na nią jak urzeczony.

— Weszłaś na prywatny teren — powiedział głuchym i beznamiętnym głosem.

— Racja, przepraszam. Widzi pan, chodziłam po domach i już miałam zapukać do pana frontowych drzwi, kiedy usłyszałam samochód, więc pomyślałam, do licha, bodzie szybciej, jeśli podejść.

Uśmiechnęła się do niego. Nie wyglądał na zadowolonego. Ema gadała:

— No, nasze najbardziej lubiane ciasteczka to wafle miętowe, ale ostatnio opracowałyśmy nowy specjał, toffi, chociaż sędzę, że te są trochę za słodkie i jeśli uważa się na ilość kalorii... Wiem, że ja nie wyglądam, jakbym uważała, prawda? Może pan spróbować naszych nowych bezcukrowych chipsów czekoladowych. — Facet tylko się na nią gapił. — Sprzedajemy również kokosanki, markizy z masłem orzechowym, kruche ciasteczka i babeczki. Nie chcę nalegać, ale wszyscy pańscy sąsiedzi złożyli zamówienia. Asseltowie z sąsiedztwa? Kupili trzydzieści pudełek i przy odrobinie szczęścia mogą zająć pierwsze miejsce w mojej drużynie i zdobyć studolarowy bon do sklepu American Girl...

— Odejdź.

— Przepraszam, czy powiedział pan...

— Odejdź — powtórzył stanowczo. — Już.

— Dobrze, w porządku.

Ema podniosła ręce w żartobliwym geście poddania i szybko znikła mu z oczu. Przez moment czułem ulgę. I byłem pod wrażeniem. To się nazywa refleks. Ema jest bezpieczna. Teraz moja kolej. Znów spojrzałem przez okno. Mężczyzna stał przy drzwiach garażu. Otworzył go i ten ktoś, kto siedział za kierownicą, wprowadził wóz do środka. Łysy wciąż poruszał głową, jakby była kamerą, a potem nagle odwrócił ją w lewo i spojrzał prosto na mnie.

Przypadłem do podłogi.

Czy mnie zauważył? Wydawało się to możliwe, ponieważ tak nagle zwrócił wzrok w moją stronę, ale przez te ciemne okulary nie było widać, na co patrzył. Na czworakach przeszedłem do pokoju i zająłem pozycję, z której widziałem tylne drzwi.

W rękę trzymałem komórkę. Pospiesznie wysłałem Emie SMS: OK?

Po dwóch sekundach otrzymałem odpowiedź: tak. UCIEKAJ!

Miała rację. Nisko pochylony przemknąłem przez kuchnię. Znowu minąłem spiralne schody. Pomyślałem o tym, co może być na piętrze, i się wzdrygnąłem.

Kim jest ten czubek z ogoloną głową i w czarnym garniturze?

Może wyjaśnienie jest proste, pomyślałem. Może In krewny Nietoperzycy. Cały ubrany na czarno — jej bratanek albo ktoś taki. Może to Krewniak Nietoperzycy?

Byłem już prawie przy frontowych drzwiach. Jeszcze nikt nie wszedł do domu. Doskonale. Wyprostowałem się i jeszcze raz spojrzałem na zdjęcie z lat sześćdziesiątych, na dziwny symbol na ich koszulkach. Wpatrywałem się w ich twarze, chcąc utrwalić je w pamięci, żeby później je sobie przypomnieć. Namacałem klamkę.

I wtedy za moimi plecami zapaliło się światło.

Zamarłem.

Światło było słabe, lecz w tych ciemnościach... Powoli odwróciłem głowę.

Sączyło się przez szparę pod drzwiami do piwnicy. Ktoś tam był — ktoś, kto w tym momencie zapalił na dole światło.

Tuzin myśli przebiegło mi przez głowę. Dominowała jedna: uciekać. Oglądałem horrory, w których niedorozwinięty umysłowo bohater wchodzi samotnie do jakiegoś domu, skradając się tak... no cóż, tak jak ja, a potem kończy z siekierą wbitą między oczy. Siedząc w bezpiecznym kinowym fotelu, krzywiłem się pogardliwie na tak idiotyczne postępowanie, a teraz byłem tutaj, w legowisku Nietoperzycy, i ktoś czał się w piwnicy.

Dlaczego tu przyszedłem?

To naprawdę proste. Nietoperzyca zwróciła się do mnie po imieniu. Powiedziała, że mój ojciec żyje. I chociaż wiedziałem, że to nie może być prawdą, byłem gotowy zaryzykować

wszystko, narazić się na każde niebezpieczeństwo, jeśli istniał choć cień szansy, że w jej słowach tkwiła odrobina prawdy.

Tak bardzo brakowało mi ojca.

Drzwi piwnicy się jarzyły. Wiedziałem, że ta poświata to wytwór mojej wyobraźni lub złudzenie optyczne wywołane tym, że światło sączące się przez szparę pod drzwiami było tak jasne, a resztę domu spowijał mrok. Jednak to wcale mnie nie uspokajało.

Wciąż patrzyłem i nasłuchiwałem. Usłyszałem, że na dole ktoś chodzi. Przynąłem się do drzwi. Głosy. Dwóch osób. Mężczyzn.

Mój telefon znów zahuczał. Ema: UCIEKAJ!

Miałem ochotę zostać. Miałem ochotę otworzyć drzwi do piwnicy i zaryzykować. Jednak inna część mojego umysłu — być może ta, która miała milion lat, ta pierwotna cząstka, nadal polegająca na instynkcie samozachowawczym — przejęła kontrolę. Pierwotna istota spojrzała na drzwi do piwnicy i wyczuła za nimi niebezpieczeństwo.

Poważne zagrożenie.

Wróciłem do frontowych drzwi, nacisnąłem klamkę, otworzyłem je i uciekłem.

Trzy przecznice dalej spotkałem Emę.

— To było niesamowite — powiedziała, uśmiechając się po raz pierwszy, od kiedy ją poznałem.

— Tak — przyznałem. — Chyba.

— Gdzie teraz chcesz się włamać?

— Ale śmieszne.

Jednak mimo woli się uśmiechnąłem.

— No co? — spytała.

Zacząłem się śmiać.

— Co cię tak śmieszy?

— Ty — wykrztusiłem. — Sprzedająca ciasteczka skautka.

Ona też się roześmiała. To był melodyjny śmiech.

— A co, twoim zdaniem nie wyglądam na skautkę?

Popatrzyłem na nią — czarne ciuchy, czarny lakier do paznokci i srebrne ówiewki w brwi.

— Tak, fajny mundurek.

— Może jestem gotycką skautką. — Pokazała mi swój telefon komórkowy. — Och, wpisałam tu numer rejestracyjny tego czarnego samochodu. Nie wiem, czy to do czegoś ci się przyda, ale pomyślałam, że nie zaszkodzi.

Coś mi już przyszło do głowy.

— Możesz przesłać go na moją komórkę?

Ema kiwnęła głową, postukała w klawisze i nacisnęła wysyłanie.

— I co zamierzasz teraz zrobić? — zapytała.

Wzruszyłem ramionami. Co mam zrobić? Nie mogę zadzwonić na policję. Co bym im powiedział? Jakiś mężczyzna w czarnym garniturze wszedł do garażu? Równie dobrze mógł tutaj mieszkać. A przede wszystkim jak wyjaśniłbym policji moją obecność w tym domu?

Opowiedziałem Emie o fotografii, symbolu na koszulkach i o świetle w piwnicy.

— Oo — powiedziała Ema, kiedy skończyłem.

— Często to mówisz.

— Co takiego?

— Oo.

— Właściwie nie. Jednak przy tobie... no cóż... wydaje się to jak najbardziej na miejscu.

Sprawdziłem godzinę na komórce. Czas spotkać się z Łyżką i włamać do sekretariatu. Jeśli przeżyję ten dzień i nie wyląduję w więzieniu, to będzie cud.

— Muszę iść — powiedziałem.

— Dzięki za przygodę.

— Dzięki za stanie na czatach.

— Mickey?

Odwróciłem się i spojrzałem na Emę.

— Co zamierzasz zrobić z Nietoperzycą?

— Nie wiem. A co mogę zrobić?

— Powiedziała ci, że twój tata żyje.

— Owszem, i co?

— Nie możemy jej tego darować.

— My?

Ema zamrugła i odwróciła głowę. Miała łzy w oczach.

— Co ci jest? — spytałem.

— To, że tak ci powiedziała. To takie okrutne. Powinniśmy obrzucić jej dom zepsutymi jajami. Tylko że po tym wyglądałby i pachniałby ładniej. — Otarła twarz wytatuowanym przedramieniem. — Lepiej już pójde.

I zaczęła się oddalać.

— Zaczekaj, gdzie mieszkasz? Chcesz, żebym cię odprowadził?

Ściągnęła brwi.

— Ty tak poważnie? Odprowadzić mnie do domu? Taak, pewnie.

Przyspieszyła kroku i znikła za rogiem. Zastanawiałem się, czy za nią pobiec, ale znów zaczęłaby mi docinać, że chcę bronić grubą dziewczuchę, a nie miałem na to czasu. Czekał na mnie Łyżka.

Potruchiałem do szkoły i zastałem go samego na parkingu. Odeгнаłem wszystkie obrazy Nietoperzycy i jej domu. Wciąż niosła mnie fala adrenaliny, więc równie dobrze mogłem zobaczyć, dokąd mnie zanieś. Łyżka siedział na masce samochodu.

— Cześć, Łyżka.

— Wiesz co? — Zeskoczył z maski. — Ulubionym kosmetykiem Beyonce jest tusz, ale ma alergię na perfumy.

Czekał na moją odpowiedź.

— Hm, to interesujące — odrzekłem.

— Prawda?

Powiniem przezwąć go Chaos zamiast Łyżka.

Poprowadził mnie do bocznego wejścia. Kartę, którą trzymał w ręku, włożył do czytnika magnetycznego. Drzwi otworzyły się z cichym kliknięciem. Weszliśmy.

Nie ma bardziej pustego i cichszego miejsca niż szkoła w nocy. Ten budynek jest stworzony do życia, nieustannego ruchu, uczniów pędzących tam i z powrotem, niektórych pewnych siebie, ale przeważnie przestraszonych, usiłujących znaleźć swoje miejsce w świecie. Bez tego przypomina ciało pozbawione ostatniej kropli krwi. Nasze kroki odbijały się tak głośnym echem na pustych korytarzach, że miałem wrażenie, iż mamy buty podłączone do wzmacniacza. Bez słowa skierowaliśmy się do sekretariatu. Gdy dotarliśmy do szklanych drzwi, Łyżka miał już przygotowany klucz.

— Jeśli mój ojciec się dowie — szepnął — no cóż, to nie będzie jak w filmie *Faceci i laleczki*.

Popatrzył na mnie. Chyba powiniem mu powiedzieć, że wejdę tam sam. Jednak tego nie zrobiłem. Może dlatego, że byłem zdesperowany. A może, ponieważ nie lubię filmu *Faceci i laleczki*. Przekręcił klucz i weszliśmy do sekretariatu. Kontuar był tak wysoki, że można się było o niego oprzeć. W dzień siedziały za nim trzy szkolne sekretarki. Wchodzenie za tę barierkę było oczywiście surowo wzbronione i przyznaję, że poczułem przyjemny dreszczyk, kiedy to zrobiliśmy.

Łyżka wyjął latarkę.

— Dalej jest jeszcze ciemniej. A nie możemy zapalić światła, no nie?

Kiwnąłem głową.

Przeszliśmy przez drzwi z napisem „Poradnia”. To określenie zawsze wydawało mi się niejasne. Słownikowa definicja tego słowa to „miejsce udzielania rad lub informacji w celu rozwiązania jakiegoś problemu”. Krótko mówiąc, prób pomocy. Jednak dla nas, uczniów, to słowo — i ten gabinet — jest znacznie bardziej przerażające. Kojarzy się z pójściem na studia, starzeniem się i rozpoczęciem pracy, czyli z naszą przyszłością.

Poradnia wydawała się synonimem rzucania na głęboką wodę.

Łyżka odszukał następny klucz i otworzył te drzwi. Wiedziałem, że w szkole pracuje dwunastu doradców. Każdy z nich miał w tym dużym biurze mały gabinet. Większość drzwi nie była zamknięta. Weszliśmy do pierwszego gabinetu. Należał do młodej doradczynie,

niejakiej pani Korty. Jak niemal każdy, zostawiła włączony komputer, przełączając go tylko na tryb gotowości.

Łyżka wręczył mi latarkę i ruchem głowy pokazał, żebym zaczynał. Usiadłem przy biurku i zacząłem stukać w klawiaturę. Gdy tylko dotknąłem klawiszy, na ekranie pojawił się napis:

NAZWA UŻYTKOWNIKA:

HASŁO:

Do licha! Kilkakrotnie wcisnąłem klawisz „enter”. Nic. Westchnąłem i popatrzyłem na Łyżkę.

— Masz jakiś pomysł?

— Nazwa użytkownika jest łatwa — odparł Łyżka. — Taka sama jak adres e-mailowy. Janice Korty, więc Jkorty[małpa]school.edu.

— A hasło?

Łyżka poprawił okulary.

— Z tym będzie problem.

Próbowałem coś wymyślić.

— A co z papierowymi aktami?

— Trzymają je gdzie indziej. I jeśli Ashley jest nową uczennicą, to pewnie jeszcze nie ma swojej teczki.

Okląłem pokonany. Potem pomyślałem o Ashley i się odprężyłem. Przypomniałem sobie, jak nerwowo skubała sterczącą nitkę sweterka, że pachniała jak polne kwiaty, a kiedy ją pocałowałem, jej usta miały smak leśnych owoców. Wiem, że to brzmi ckliwie, ale mógłbym całować ją cały dzień i wcale by mi się to nie znudziło. Mdli was? Myślałem o tym, jak czasem na mnie patrzyła, jakbym był jedyną osobą we wszechświecie, a potem o tym, że ta dziewczyna, która patrzyła na mnie w taki sposób, właśnie znikła bez pożegnania.

To nie miało sensu.

Musiałem coś wymyślić. Pani Korty była młoda — najmłodsza z pedagogów. To nasunęło mi pewien pomysł. Odwróciłem się do Łyżki.

— Którzy z pedagogów są najstarsi?

— Najstarsi? Wiekami?

— Tak.

— Dlaczego pytasz?

— Odpowiedz.

— Pan Betz — bez namysłu powiedział Łyżka. — Jest tak stary, że prowadzi zajęcia z Szekspira, ponieważ znał go osobiście.

Widziałem pana Betza na korytarzu. Podpierał się laseczką i nosił muszkę. Pomyślałem, że to na pewno mój człowiek.

— Który gabinet jest jego?

— Dlaczego pytasz?

— Po prostu mi pokaż, dobrze?

Kiedy wróciliśmy na korytarz, Łyżka wskazał gabinet na samym końcu. Kiedy tam szliśmy, zerkaliśmy do każdego mijanego pokoju, szukając karteczek przyklejonych do monitorów. Nie poszczęściło mi się. Na biurku pana Betza stały stare podpórki na książki w kształcie globusów oraz dopasowany do nich kubek na ołówki z wygrawerowanym nazwiskiem „Betz”. Był tam również czerwony zszywacz i kilka zatopionych w plastiku ozdóbek.

Usiadłem przy biurku i włączyłem komputer. Pojawił się ten sam napis:

NAZWA UŻYTKOWNIKA:



HASŁO:

Łyżka spojrział na mnie i wzruszył ramionami.

— A czego się spodziewałeś?

Właśnie tego. Otworzyłem szufladę po prawej. Długopisy, ołówki, spinacze, pudełko zapalek, fajka. Otworzyłem środkową szufladę. Zajrzałem do niej i się uśmiechnąłem.

— Trafiony — powiedziałem.

— He?

Chociaż nie można generalizować, ludzie niezbyt dobrze radzący sobie z komputerem często polegają na tradycyjnych papierowych notatkach, żeby nie zapomnieć takich rzeczy jak nazwa użytkownika i hasło. Na typowej kartce wyrwanej z zeszytu pan Betz napisał, co następuje:

TEATR GLOBE 1599

Jeśli to nie hasło...

— Teatr Globe Szekspira został zbudowany w tysiąc pięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym roku. Pożar zniszczył go dwudziestego dziewiątego czerwca tysiąc sześćset trzynastego roku, w tysiąc sześćset czternastym został odbudowany, a w tysiąc sześćset czterdziestym drugim zamknięty. Jego współczesną rekonstrukcję otwarto w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym siódmym roku.

Niesamowite. Pan Betz miał na imię Richard. W polu użytkownika wpisałem Rbetz, a jako hasło wprowadziłem TEATR GLOBE 1599. Nacisnąłem „enter” i czekałem. Przez minutę na ekranie obracała się mała klepsydra, zanim pojawiły się słowa powitania:

WITAJ, RICHARDZIE!

Łyżka uśmiechnął się i podniósł rękę. Przybiłem mu piątkę. Wybrałem link do akt uczniów i wystukałem nazwisko: Ashley Kent. Kiedy pojawiło się jej zdjęcie — jedno z tych, które zrobiliśmy sobie do legitymacji pierwszego dnia w szkole — poczułem, że ściska mi się serce.

— Człowieku, nic dziwnego, że chcesz ją znaleźć — westchnął Łyżka.

Gdyby ktoś tworzył wielki ilustrowany słownik językowy i potrzebował definicji skromności, mógłby użyć tego jej zdjęcia. Wyglądała na nim ślicznie, a nawet pięknie, ule czuło się, że jest cicha, nieśmiała i trochę skrępowana pozowaniem. Ta fotografia — a właściwie sama Ashley — była ujmująca.

Plik nie zawierał zbyt dużo danych. Jej rodzicami byli Patrick i Catherine Kent. Był tam ich domowy telefon i adres przy Carmenta Terrace. Wyjąłem długopis z kubka pana Betza i znalazłem kawałek papieru.

— Odciski palców — ostrzegł Łyżka, wskazując długopis. — A skoro o nich mowa, to zostawiłeś je również na klawiaturze.

Skrzywiłem się.

— Sądzisz, że zdejmą odciski palców?

— Możliwe.

— Zaryzykuję.

Zapisałem adres i telefon. Przejrzałem resztę danych. Na dole widniał napis: TRANSKRYPCJA W TOKU. Domyśliłem się, że to oznacza, iż jeszcze nie otrzymali danych z jej poprzedniej szkoły. Był tam wykaz jej zajęć, ale już go znałem. Reszta ekranu była pusta. Korciło mnie, żeby sprawdzić swoje dane — chyba z czystej ciekawości — ale Łyżka popędził mnie wymownym spojrzeniem. Starannie odłożyłem długopis na miejsce, udałem, że wycieram odciski palców, i wyszedłem za Łyżką.

Gdy znaleźliśmy się na dworze, sprawdziłem telefon. Kolejna wiadomość głosowa od wujka Myrona. Zignorowałem ją. Już zapadł zmrok. Spojrzałem na gwiazdy na ciemnym niebie. Noc była jasna.

— Czy wiesz, gdzie jest Carmenta Terrace? — zapytałem Łyżkę.

— Jasne. To po drodze do mojego domu. Chcesz, żebym cię tam zabrał?

Powiedziałem, że chcę. I pojechaliśmy.

\* \* \*

Łyżka szedł po mojej prawej, znacznie niższy ode mnie. Idąc, patrzył pod nogi.

— Rano robię wafle — poinformował.

Uśmiechnąłem się.

— Znam to — powiedziałem.

— Naprawdę?

— Osioł do Shreka.

— Grasz w kosza — mruknął Łyżka. Nie wiedziałem, czy to pytanie, czy stwierdzenie. Skinąłem głową. Kiedy masz metr dziewięćdziesiąt, jesteś przyzwyczajony, że cię o to pytają.

— Nazywasz się Mickey Bolitar.

— Hm.

— Dyplomy Myrona Bolitara wiszą w sali gimnastycznej. Pobił prawie wszystkie rekordy szkoły w koszykówce. Najwięcej punktów, najwięcej przejęć, najwięcej zwycięstw.

Wiedziałem o tym aż za dobrze.

— To twój ojciec? — chciał wiedzieć Łyżka.

— Wujek.

— Och. — Szliśmy dalej. — W zeszłym roku nasza drużyna koszykówki nieźle sobie radziła. Przegrali w finałach stanowych. Sześciu najlepszych zawodników wraca po wakacjach. W tym roku będą seniorami.

Wiedziałem o tym. Był to jeden z powodów, że ja, zaledwie drugoklasista, na razie nie pokazywałem, co umiem. Jeszcze nie grałem w mieście, woląc robić to w Newark, gdzie znajdowałem bardziej wymagających przeciwników.

Minęliśmy boisko, na którym trening piłkarski odbywały około dziesięcioletnie dzieciaki. Trenerzy wrzeszczeli, jakby to były rozgrywki pierwszej ligi. W tym miasteczku stawiano na sport. Kiedy zacząłem chodzić do nowej szkoły, zapytałem kogoś, ilu wyszło z niej zawodowych sportowców. Odpowiedź brzmiała: jeden. Mój wujek. Choć tak naprawdę, nigdy nie grał zawodowo w koszykówkę. Został powołany w pierwszym zaciągu, ale przed sezonem rozwałił sobie kolano. Bach i po karierze. Wujek Myron nigdy nie zagrał w drużynie Boston Celtics. Myślałem czasem, jak musiał się wtedy czuć, i zastanawiałem się, czy to było przyczyną napiętych stosunków z moim ojcem.

Jednak i tak to była wina Myrona — to, co zaszło między nim i moim ojcem. Dlatego nie widziałem powodu, żeby wybacząć.

— To tam — powiedział Łyżka.

Kamienny obelisk przed wyglądającym na nowe osiedlem głosił, że są to POSIADŁOŚCI PREMA. Otoczenie cuchnęło nowobogackimi. Ulice były jasno oświetlone. Trawniki nie byłyby zieleńsze, nawet gdyby pomalowano je sprejem. Wszystko za bardzo wygładzone, jak przedstawienie po zbyt wielu próbach. Okazałe rezydencje zcegieł i kamieni usiłowały udawać stare, ale im to nie wychodziło.

Kiedy dotarliśmy na Carmenta Terrace, popatrzyłem na dom Kentów i zamarłem.

Stały przed nim cztery policyjne radiowozy, wszystkie z włączonymi kogutami. Gorzej, bo na podjeździe stał również ambulans. Zacząłem biec. Chociaż znacznie niższy, Łyżka z łatwością dotrzymywał mi kroku. Na trawniku stali policjanci. Jeden rozmawiał z kimś, kogo

uznałem za sąsiada. Policjant robił notatki. Frontowe drzwi domu Kentów były otwarte. Widziałem hol, wielki żyrandol i policjanta na straży.

Kiedy dobiegliśmy do chodnika, Łyżka się zatrzymał. Ja nie. Pobiegłem do drzwi. Stojący przy nich policjant odwrócił się zaskoczony.

— Stać! — krzyknął.

Posłuchałem.

— Co się stało? — zapytałem.

Łyżka stanął przy mnie. Policjant ściągnął brwi, okazując dezaprobatę. Nie tylko wyrazem twarzy. Całym sobą. Miał zrośnięte brwi i niskie czoło kromaniończyka. Wszystko to marszczyło się groźnie. Gniewnie spojrzał na Łyżkę, a potem na mnie.

— A ty jesteś...

— Jestem przyjacielem Ashley — powiedziałem.

Skrzyżował ręce na piersi, która mogłaby pełnić funkcję niedużego boiska.

— Czy pytałem o spis twoich przyjaciół? — rzucił z głośnym westchnieniem. — Czy raczej o to, kim jesteś?

O rany.

— Nazywam się Mickey Bolitar.

Jego brwi uniosły się wysoko.

— Chwila. Jesteś synem Myrona?

Wypowiedział to imię, jakby wypluwał coś niesmacznego.

— Nie, bratankiem. Gdyby mógł mi pan powiedzieć...

— Czy ja wyglądam na bibliotekarza? — warknął.

— Przepraszam?

— Słyszałeś: bibliotekarza. Myślisz, że jestem tutaj, żeby odpowiadać na twoje pytania? Jak bibliotekarz?

Zerknąłem na Łyżkę. Ten wzruszył ramionami.

— Nie, nie uważam pana za bibliotekarza — powiedziałem.

— Cwaniakujesz?

— Ja? Nie.

Pokręcił głową.

— Wygadany. Tak samo jak wujek.

Miałem ochotę powiedzieć, że ja też nie lubię mojego wujka. Pewnie dzięki temu nawiązałbym z nim kontakt, jakbym wyjął cierń z jego łapska, ale niezależnie od mojego stosunku do wujka nie zamierzałem zdradzać rodziny, żeby przypodobać się panu Kromaniończykowi.

— Panie władzo? — odezwał się Łyżka.

Policjant gwałtownie odwrócił się do niego.

— Co?

— Jest pan nieuprzejmy.

O rany.

— Co do mnie powiedziałeś?

— Jest pan pracownikiem państwowym i jest pan nieuprzejmy.

Kromaniończyk wypiął pierś tak, że znalazła się tuż przy twarzy Łyżki. Ten się nie cofnął. Kromaniończyk przeszył go wzrokiem, a potem zmrużył oczy.

— Czekał. Znam cię. Zgarnęliśmy cię w zeszłym roku, no nie? Dwa razy.

— I musieliście wypuścić — uzupełnił Łyżka. — Dwa razy.

— Tak, pamiętam. Twój ojciec chciał nas zaskarżyć o bezpodstawne aresztowanie czy jakieś inne bzdury. Jesteś synem tego starego woźnego, zgadza się?

— Jestem.

— Zatem — z szyderczym uśmiechem powiedział Kromaniończyk — twój ojciec zarabia na życie czyszczeniem toalet?

— Jasne, to jego praca. — Łyżka poprawił okulary. — Toalet, zlewów, podłóg, wszystkiego, co trzeba wyczyścić.

Ta spokojna odpowiedź zbiła gliniarza z tropu.

— Nie zamierzamy sprawiać żadnych kłopotów — zapewniłem pospiesznie. — Chcę się tylko upewnić, że mojej przyjaciółce nic się nie stało.

— Wielki bohater — prychnął policjant, odwracając się do mnie. Teraz zobaczyłem, że nosił identyfikator z nazwiskiem TAYLOR. — Jak twój wujek. — Taylor teatralnym gestem wziął się pod boki. — Dziwne, że wy dwaj kręcicie się po nocy.

Miałem ochotę pokazać mu język.

— Jest dopiero dwudziesta.

— Znowu cwaniakujesz?

Musiałem jakoś ominąć tego faceta.

— Może wy dwaj powinniście pójść ze mną.

— Dokąd? — zapytałem.

Taylor przysunął swoją twarz do mojej tak blisko, że mógłbym odgryźć mu nos.

— Może do celi w areszcie, co? Podoba wam się ten pomysł?

— Nie — powiedział Łyżka.

— Tam właśnie wylądujecie, jeśli nie zaczniecie odpowiadać na moje pytania. Jest w Newark taki, która chyba będzie dla was idealny. Umieszczę was w osobnych celach. Z dorosłymi. Mamy tam akurat faceta, który ma ponad dwa metry i naprawdę długie paznokcie, ponieważ lubi drapać.

Wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Łyżka przełknął ślinę.

— Nie może pan tego zrobić — powiedział.

— Bo co, będziesz płakał?

— Jesteśmy nieletni — odparł Łyżka. — Jeśli nas pan aresztuje, musi pan zawiadomić naszych rodziców lub opiekunów.

— Nie mogę — z drwiącym grymasem odrzekł Taylor. — Twój ojciec jest zbyt zajęty czyszczeniem toalet szczotką.

— On nie używa szczotki. Robi to twarzą twojej matki.

O rany.

W oczach Taylora coś jakby eksplodowało. Poczzerwieniał jak burak. Myślałem, że dostanie zawału. Zacisnął pięści. Łyżka stał spokojnie. Poprawił okulary. Już myślałem, że Taylor go uderzy. Może zrobiłby to, ale ktoś zawołał:

— Z drogi, zróbcie przejście!

Jechały na nas nosze. Rozstąpiliśmy się. Na noszach leżał jakiś mężczyzna. Miał posiniaczoną twarz, ale był przytomny. Na kołnierzyku eleganckiej białej koszuli widniało kilka plamek krwi. Jego wiek oceniłem na ponad czterdzieści lat. Ojciec Ashley? Za noszami szła kobieta w podobnym wieku. Była blada jak kreda. Ścisnęła torebkę, jakby to dodawało jej otuchy.

Przystanęła oszołomiona.

— Kim są ci dwaj? — zapytała Taylora.

— My... hm... znaleźliśmy ich kręcących się w pobliżu — odrzekł Taylor. — Pomyśleliśmy, że to mogli być oni.

Przez moment pani Kent patrzyła na nas, jakbyśmy byli fragmentami układanki, których nie mogła dopasować.

— To chłopcy — stwierdziła.

— Tak, wiem, ale...

— Mówiłam wam, że to był mężczyzna. I że miał tatuaż na twarzy. Widzi pan tatuaż na twarzy któregoś z nich?

— Ja tylko chciałem wykluczyć...

Jednak ona już odeszła, doganiając nosze. Taylor znów posłał nam gniewne spojrzenie. Łyżka pokazał mu podniesiony w górę kciuk, jakby gratulując dobrze wykonanej roboty. I znów zrobił to z tak nieprzeniknioną miną, że nic można było wyczuć, czy drwi z niego, czy nie. Pamiętając tekst o mamusi, założyłem, że to pierwsze.

— Wynoście się stąd — warknął Taylor.

Poszliśmy ceglanym chodnikiem. Mężczyznę, którego wziąłem za ojca Ashley, ładowano do ambulansu. Jakiś policjant rozmawiał z panią Kent. Dwaj inni policjanci wymieniali uwagi niedaleko nas. Usłyszałem „wtargnięcie” i ścisnęło mnie w piersi. Teraz albo nigdy. Podbiegłem, zanim ktoś zdołał mnie zatrzymać.

— Pani Kent?

Przystanęła i ściągnęła brwi.

— Kim jesteś?

— Nazywam się Mickey Bolitar, jestem przyjacielem Ashley.

Przez moment nic nie mówiła. Zerknęła w bok, a potem znowu na mnie.

— Czego chcesz?

— Chcę się tylko upewnić, że Ashley nic się nie stało.

Kiedy pokręciła głową, ugięły się pode mną nogi. Zaraz jednak powiedziała coś, czego się nie spodziewałem.

— Komu?

— Ashley — powtórzyłem. — Pani córce.

— Ja nie mam córki. I nie znam żadnej Ashley.

Jej słowa mnie sparaliżowały.

Pani Kent wsiadła do karetki. Policjanci nas przegonili. Kiedy opuściliśmy teren posiadłości Prema, rozdzieliliśmy się z Łyżką i wróciliśmy do domów. Po drodze zadzwoniłem do ośrodka rehabilitacyjnego Coddington, ale powiedzieli mi, że matka ma akurat sesję i jest za późno na rozmowę lub wizytę. No, dobrze. I tak jutro rano wraca do domu.

Samochód wujka Myrona, Ford Taurus, stał na podjeździe.

— Mickey?! — zawołał Myron, kiedy otworzyłem drzwi.

— Muszę odrobić lekcje. — Zbiegłem do mojego pokoju w piwnicy, żeby uniknąć spotkania. Przez wiele lat, w tym przez całą szkołę średnią, to był pokój Myrona. Od tamtego czasu nic się tu nie zmieniło. Drewniane panele były cienkie i przyklejone dwustronną taśmą klejącą. Z fotela wypadały kuleczki wyściółki. Wyblakłe plakaty koszykarzy z lat siedemdziesiątych, takich jak John „Hondo” Havlicek i Walt „Clyde” Frazier, zdobiły ściany. Wyznam, że uwielbiałem te plakaty. Większość tego pokoju wyglądała obciachowo. Jednak nie Hondo i Clyde.

Odrobiłem zadanie domowe z matematyki. Nawet lubię matematykę, ale czy jest coś nudniejszego od zadań domowych z tego przedmiotu? Poczytałem tekst Oscara Wilde’a zadany z angielskiego i nauczyłem się słówek z francuskiego. Kiedy skończyłem, zrobiłem sobie cheeseburgera w opiekaczu.

Czy pani Kent mnie okłamała? I dlaczego miałyby to robić?

Nie widziałem powodu, co natychmiast prowadziło do następnego pytania: Czy Ashley okłamała mnie? I dlaczego miałyby to robić?

Próbowałem znaleźć jakieś wytłumaczenie, ale żadne nic miało sensu. Po kolacji wziąłem piłkę, zapaliłem światła przed domem i zacząłem rzucać. Gram codziennie. Najlepiej mi się myśli, kiedy gram w kosza.

Boisko jest moją ucieczką i rajem.

Kocham koszykówkę. Uwielbiam zmęczenie, pot i bieganie z dziewięcioma innymi facetami, i — ryzykując, że zabrzmi to jak wypowiedź maniaka zen — to, że jestem przy tym tak cudownie sam. Na boisku niczym się nie przejmuję. Widzę wydarzenia, zanim się wydarzą. Uwielbiam przewidywać manewr kolegi z drużyny i podawać mu piłkę pomiędzy dwoma obrońcami. Uwielbiam zbierać, odskakować, przewidywać kąty i ustawiać się tak, żeby piłka wpadła mi w ręce. Lubię dryblować, nie patrząc w dół, i uczucie pewności siebie i panowania nad piłką, jakby była uwiązana. Lubię przechwytywać podanie, przywierać wzrokiem do obręczy, czuć pod palcami rowki na piłce, podnosić ją nad głowę i wyginać przegub, zaczynając wyskok. Uwielbiam to uczucie, gdy rzucam, znalazłszy się w górze, to, jak moje palce do ostatniej chwili dotykają skóry, to, jak powoli opadam na parkiet, to, jak piłka leci łukiem do kosza, to, jak siatka tańczy, gdy piłka przechodzi przez nią ze świstem.

Teraz uwijałem się po asfalcie, rzucając, zbierając własne odbicia, zmieniając pozycje. Ćwiczyłem wymyślone uniki, udając, że przechodzę przez LeBrona, Kobego, a nawet Clyde’a i Hondo. Rzucałem do kosza, w myślach słysząc, jak komentator oznajmia, że ja, Mickey Bolitar, mam wykonać dwa rzuty osobiste, a moja drużyna przegrywa jednym punktem, czas już się skończył i jest to decydujący mecz finałów NBA.

Dałem się ponieść upojeniu.

Rzucałem od godziny, gdy otworzyły się tylne drzwi. Wszedł wujek Myron. Nie odezwał się słowem. Stał pod koszem, po czym zaczął zbierać odbite piłki i mi je odrzucać. Wykonywałem rzuty z każdego dystansu, zaczynając w prawym rogu i przechodząc w lewo, rzucając co pół metra i kończąc w przeciwległym rogu.

Myron tylko odrzucał piłkę. Najwyraźniej też czuł potrzebę milczenia. W pewnym sensie to był nasz kościół. Rozumieliśmy, na czym polega szacunek. Tak więc na jakiś czas odpuścił. Odezwał się dopiero wtedy, gdy dałem mu znak, że chcę zrobić sobie przerwę.

— Twój ojciec robił to dla mnie — powiedział. — Ja rzucałem, on odrzucał.

Mój ojciec też to dla mnie robił, ale nie miałem ochoty dzielić się tą informacją.

Myron miał łzy w oczach. Często mu się to zdarzało. Był zbyt uczuciowy. Wciąż próbował nawiązać ze mną rozmowę o ojcu. Przejeżdżaliśmy obok chińskiej restauracji, a on mówił: „Twój ojciec lubił ich smażoną wieprzowinę”, albo gdy mijaliśmy boisko Małej Ligi, wspominał: „Pamiętam, jak twój ojciec, mając dziewięć lat, zdobył dwie bazy i zapewnił swojej drużynie zwycięstwo, uderzając tak, że piłka odbiła się od ziemi i poszła w trybuny”. Nigdy nie reagowałem.

— Pewnej nocy — ciągnął Myron — graliśmy z twoim ojcem w Horse przez trzy godziny. Tylko pomyśl. W końcu zgodziliśmy się, że wynik jest remisowy, kiedy obaj przez całe pół godziny nie mogliśmy dobrać ostatniej litery. Przez pół godziny. Powinieneś to zobaczyć.

— Brzmi ciekawie — mruknąłem najobojętniej, jak mogłem.

Myron się roześmiał.

— Boże, ale z ciebie mędrak.

— Nie, nie, mówię o tym układaniu. Musieliście być rozrywkowymi facetami.

Myron roześmiał się jeszcze głośniejsze i obaj zamilkliśmy.

— Mickey? — odezwał się, kiedy ruszyłem do drzwi.

Odwrociłem się do niego.

— Jutro rano przywiozę cię i twoją matkę. Potem zostawię was samych.

Podziękowałem skinieniem głowy.

Myron złapał piłkę i zaczął rzucać. To była i jego ucieczka. Niedawno znalazłem na YouTube stary klip pokazujący, jak został kontuzjowany. Myron miał na sobie koszulkę Boston Celtics i te okropne krótkie spodenki, jakie wtedy noszono. Robił obrót na prawej nodze, gdy Burt Wesson, osiłek z Washington Bullets, wpadł na niego z impetem. Noga Myrona wygięła się pod nienaturalnym kątem. Nawet na tym starym klipie słysząc było trzask.

Patrzyłem na niego przez moment i zauważyłem zaskakujące podobieństwo naszych rzutów z wyskoku, znów ruszyłem do domu, ale przystanąłem, ponieważ coś przyszło mi do głowy. Po kontuzji Myron został agentem sportowym. W ten sposób poznali się moi rodzice — Myron miał reprezentować nastoletnią gwiazdę tenisa Kitty Hammer, czyli moją matkę. Z czasem zaczął reprezentować nie tylko sportowców, ale też artystów, aktorów i muzyków. Był nawet agentem gwiazdy rocka, Lexa Rydera, będącego połową duetu HorsePower.

Mama знаła obu muzyków z tego zespołu. Tata również. Myron reprezentował ich interesy. A u Nietoperzycy widziałem ich pierwszy album, który teraz miał ponad trzydzieści lat.

Odwrociłem się do Myrona. Przestał rzucać i popatrzył na mnie.

— Co się stało?

— Czy wiesz coś o Nietoperzycy? — zapytałem.

Ściągnął brwi.

— Z tego starego domu na rogu Pine i Hobart Gap?

— Tak.

— Oo, Nietoperzyca. Chyba od dawna nie żyje.

— Dlaczego tak twierdzisz?

— Nie wiem. Nie mogę uwierzyć, że dzieciaki wciąż wymyślają o niej opowieści.

— Jakie opowieści?

— Była miejscowym straszylem. Miała porywać dzieci. Ludzie twierdzili, że widzieli, jak późną nocą wprowadzała je do swojego domu i tym podobne rzeczy.

— Widziałeś ją kiedyś?

— Ja? Nie. — Myron zakręcił piłką na palcu, wpatrując się w nią odrobinę zbyt intensywnie. — Myślę jednak, że widział ją twój ojciec.

Zastanawiałem się, czy to kolejna próba rozpoczęcia rozmowy o moim ojcu, ale nie, to nie w stylu Myrona. Można mu było wiele zarzucić, ale nie kłamał.

— Możesz mi o tym opowiedzieć?

Widziałem, że chciał zapytać dlaczego, ale nie zamierzał psuć nastroju. Niewiele z nim rozmawiałem, a nigdy o ojcu. Nie chciał ryzykować, że znów zamknę się w sobie.

— Niech pomyślę — rzekł, drapiąc się po brodzie. — Twój ojciec miał chyba dwanaście lub trzynaście lat, nie pamiętam dokładnie. W każdym razie przez całe nasze życie przechodziliśmy obok tego domu. Ty już znasz historie, jakie o nim opowiadają, a mieszkasz tu dopiero kilka tygodni. Możesz więc to sobie wyobrazić. Pewnego razu twój ojciec i ja, a byliśmy wtedy mali, on chyba mml siedem lat, a ja dwanaście, poszliśmy na horror do kina Colony i postanowiliśmy wrócić do domu pieszo, zapadł zmrok i zaczęło padać, i spotkaliśmy kilku starszych chłopaków. Gonili nas i krzyczeli, że dopadnie nas Nietoperzyca. Twój ojciec był tak przestraszony, że zaczął płakać. — Myron urwał i popatrzył w bok. Znów powstrzymywał łzy. — Po tamtej nocy twój ojciec zawsze bał się domu Nietoperzycy. No wiesz, jak powiedziałem, wszyscy się go baliśmy, ale twój ojciec nie chciał nawet koło niego przechodzić. Miał o nim koszmarne sny. Pamiętam, jak poszedł kiedyś nocować u kolegów i obudził się w nocy, krzycząc, że Nietoperzyca chce go dopaść. Dzieciaki potem mu dokuczały. Wiesz, jak to jest.

Kiwnąłem głową, że wiem.

— Tak więc pewnego piątkowego wieczoru Brad wyszedł z kolegami. Tak się wtedy robiło. Po prostu włóczyliśmy się wieczorami. W każdym razie zapadł zmrok, a oni się nudzili, i tak od jednego do drugiego koledzy zaczęli namawiać Brada, żeby zapukał do drzwi Nietoperzycy. Twój ojciec nie chciał tego zrobić, ale nie był z tych, którzy tracą twarz.

— I co się stało?

— Podszedł do domu Nietoperzycy. Było ciemno. Nie paliły się żadne światła. Jego koledzy zostali po drugiej stronie ulicy. Myśleli, że zapuka i ucieknie. Cóż, zapukał, ale nie uciekł. Jego koledzy czekali, chcąc zobaczyć, czy Nietoperzyca otworzy drzwi. Jednak tak się nie stało. Zamiast tego zobaczyli, jak twój ojciec naciska klamkę i wchodzi do środka. O mało nie jęknąłem.

— Zupełnie sam?

— Taak. Znikł w środku, a jego koledzy czekali, aż wyjdzie. Czekali długo, jednak on się nie pojawił. Po pewnym czasie doszli do wniosku, że Brad zrobił im kawał. No wiesz, w domu nie było nikogo, więc Brad po prostu wymknął się tyłem, próbując ich przestraszyć tym, że nie wychodzi.

Zrobiłem krok w stronę Myrona.

— A co się naprawdę stało?

— Jeden ze starych przyjaciół twojego ojca, Alan Bender, cóż, nie uwierzył w to. I był przerażony, kiedy twój tata nie wychodził przez dwie godziny. Przybiegł do naszego domu po pomoc, a przynajmniej, żeby kogoś zawiadomić. Pamiętam, że był zdyszany i wytrzeszczał oczy. Ja byłem za domem i rzucałem, tak jak dzisiaj. Alan powiedział mi, że widział, jak Brad wszedł do domu Nietoperzycy i nie wyszedł.

— Dziadek i babcia byli w domu?

— Nie, poszli na kolację. To był piątkowy wieczór.

— Wtedy nie było telefonów komórkowych, więc pobiegłem tam z Alanem. Zacząłem dobijać się do drzwi Nietoperzycy, ale nikt nie otwierał. Alan powiedział, że widział, jak twój tata po prostu nacisnął klamkę i wszedł. Spróbowałem to zrobić, ale drzwi były zamknięte. Wydawało mi się, że słyszę w środku muzykę.



— Muzykę?

— Tak. To było upiorne. Zacząłem się bać. Próbowałem wyważyć drzwi, dasz wiarę, ale nie puściły. Kazałem Alanowi pobiec do sąsiedniego domu i zadzwonić po policję. Alan się odwrócił i w tej samej chwili drzwi się utworzyły i wyszedł z nich twój ojciec. Tak po prostu. Wyglądał kwitnąco. Zapytałem go, czy wszystko w porządku. Powiedział, że tak, jasne.

— Co jeszcze powiedział?

— To wszystko.

— Nie spytałeś go, co tam robił przez dwie godziny?

— Oczywiście, że pytałem.

— I?

— Nigdy mi nie powiedział.

Włosy na karku lekko mi się zjeżyły.

— Nigdy?

Myron pokręcił głową.

— Nigdy. Jednak coś się tam stało. Coś ważnego.

— Co masz na myśli?

— Od tamtego czasu twój ojciec był inny.

— Pod jakim względem?

— Nie wiem. Może rozsądniejszy. Dojrzałszy. Pomyślałem, że może dlatego, że stawiał czoło swoim lękom. Może jednak było w tym coś więcej. Kilka tygodni temu twój dziadek powiedział mi, że zawsze wiedział, że twój ojciec ucieknie, że było mu pisane życie wędrowca. Nigdy tak do końca mnie nie przekonał. Myślę jednak, że to przeczucie, że twój ojciec będzie włączył się po świecie, zrodziło się po jego wizycie w domu Nietoperzycy.

Tej nocy niełatwo mi było zasnąć.

Myślałem o Nietoperzycy. Myślałem o Ashley. Jednak głównie myślałem o tym, że rano moja matka wróci do domu. O siódmej rano Myron zawiózł mnie do ośrodka rehabilitacyjnego Coddington. Jazda trwała kilka minut, ale wydawała się dziesięć razy dłuższa. Kiedy tam dotarliśmy, wyskoczyłem z samochodu, zanim się zatrzymał. Myron zawołał do mnie, że zaczeka. Biegając, pomachałem mu w podziękowaniu.

Strażnik skinął głową i powitał mnie po imieniu, kiedy przebiegałem obok niego. Wszyscy tu mnie znali. Odwiedzałem matkę codziennie, chyba że nie pozwalał na to plan jej zabiegów.

Christine Shippee jest właścicielką tej placówki, ale lubi pracować w recepcji. Ma zawsze zgryźliwą minę i uważnie przygląda się każdemu zza pleksioglasowej szyby. Skinąłem jej głową i przemknąłem przez hol, przypominający wewnątrz ekskluzywnego hotelu. Zatrzymałem się przed drzwiami, żeby mogła je zdalnie otworzyć i mnie wpuścić. Nie zrobiła tego. Podszedłem do jej biurka.

Przyglądała mi się przez chwilę.

— Dzień dobry, Mickey.

— Dzień dobry, pani Shippee.

— Wielki dzień — powiedziała Christine.

— Tak.

— Mówiłam ci o zagrożeniach?

— Owszem.

— I mówiłam ci, że ryzyko nawrotu jest dość duże?

— Kilka razy.

— Doskonale. — Christine Shippee spojrzała na mnie znad okularów do czytania. — Więc nie muszę się powtarzać.

— Nie.

Ruchem głowy wskazała drzwi.

— Idź. Twoja matka czeka.

Powstrzymałem się i nie pomknąłem sprintem, tylko pogalopowałem korytarzem. Kiedy wszedłem do jej pokoju i ją zobaczyłem, uśmiechnąłem się. Wyglądała wspaniale. Przez sześć ostatnich tygodni była zamknięta w tym ośrodku, przechodząc odtruwanie, grupową i indywidualną terapię, odbywając spokojne spacerki, ćwicząc i właściwie się odżywiając.

Dzień przed tym, zanim przywiózł ją tutaj Myron, matka wyszła późnym wieczorem do podejrzanego buru po działkę. Posłużyłem się podrobionym dokumentem tożsamości — tak, mam taki, i to bardzo dobry — żeby wejść za nią. Znalazłem ją z jakimś brudasem. Oboje byli półprzytomni i wyglądali jak coś wyplutego przez kota.

Teraz w jej organizmie nie było trucizny. Wyglądała juk... no cóż, znów jak moja mama.

Kitty — ponieważ z jakiegoś powodu chciała, żebym tak się do niej zwracał, czego nigdy nie robiłem — uściskała mnie i ujęła moją twarz w obie dłonie.

— Tak bardzo cię kocham — powiedziała.

— Ja też cię kocham.

Puściła do mnie oko i wskazała drzwi.

— Wyośmy się stąd, zanim zmienią zdanie.

Moja matka to Kitty Hammer i jak już wspomniałem wcześniej, jeśli to nazwisko wydaje ci się znajome, to zapewne jesteś zagorzałym kibicem tenisa. Mając szesnaście lat, Kitty Hammer była pierwsza na krajowej liście rankingowej tenisistek junierek. Była na dobrej drodze, by zostać następną Venus, Billie Jean lub Steffi, tylko coś zwichnęło jej karierę.

Zaszła w ciążę i urodziła niżej podpisanego.

Świat chyba nie był gotowy na związek moich rodziców, więc uciekli w nieznane. Wszyscy przepowiadali, że to małżeństwo nie przetrwa. I wszyscy się mylili. Mama i tata żyli jak w najbardziej płomiennym romansie, co bezgranicznie mnie krępowało, kiedy podrosłem. Był to taki rodzaj miłości, jaki budzi zazdrość innych. I denerwuje.

Kiedyś też chciałem tak się zakochać. Kto nie chce, prawda? Ale mi przeszło. Problem z wszechogarniającą miłością polega na tym, co się dzieje, kiedy ją utracisz. Miłość taka, jaka ich łączyła, zamienia dwoje w jedno, więc kiedy mój ojciec umarł, ta całość została rozerwana na pół, co zniszczyło moją matkę. Gdy pochowaliśmy ojca, widziałem, jak oklapła niczym kukielka, której poprzecinano sznurki, i nic nie mogłem na to poradzić.

Z tego wszystkiego wyciągnąłem jedną naukę: taka obsesyjna powieściowa miłość to nie dla mnie. Jej cena jest zbyt wysoka. Chociaż bardzo lubiłem Ashley, chociaż zależało mi na niej i było mi z nią dobrze, nigdy nie pozwoliłbym jej ani żadnej innej dziewczynie za bardzo się zbliżyć. Może to wyczuła? Może dlatego uciekła, nic mi nie mówiąc? Może dlatego powinienem przestać jej szukać?

Wujek Myron czekał na nas przy samochodzie. Podchodząc, byłem spięty. Stwierdzenie, że stosunki między moją mamą a Myronem nie były najlepsze, to ogromne niedopowiedzenie. Właściwie to się nienawidzili. Myron sześć tygodni temu zagroził, że mnie jej odbierze, jeśli mama nie zgodzi się przejść intensywnej kuracji.

Byłem zdziwiony, kiedy podeszła do niego i delikatnie pocałowała go w policzek.

— Dziękuję.

Skinął głową i nic nie powiedział.

Mama zawsze była ze mną przerażająco szczerą. Kiedy zaszła w ciążę, miała zaledwie siedemnaście lat, a ojciec dziewiętnaście. Myron uważał, że wrobiła mojego ojca. Wyzywał ją, a nawet powiedział tacie, że to dziecko — czyli ja — zapewne nie jest jego. Kulminacją była bójka między braćmi, która rozdzieliła ich tak, że już nigdy nie mieli się pogodzić.

Wiem o tym wszystkim, ponieważ opowiedziała mi to mama. Nigdy nie wybaczyła Myronowi tego, co o niej powiedział. Tymczasem była tu, prosto z odwyku, zapominając o przeszłości, zaskakując jego i mnie, i może to było najlepszą oznaką, że się pozbierała.

Zgodnie z obietnicą wujek Myron podwiózł nas i zostawił samych.

— Będę w biurze, gdybyście czegoś chcieli — powiedział. — Zapasowy samochód jest w garażu, jeśli będzie wam potrzebny.

— Dziękuję — powiedziała mama. — Dziękuję ci za wszystko.

Myron zamienił swój gabinet na parterze w sypialnię dla mamy. Ja miałem spać w pokoju w piwnicy, a on w sypialni na piętrze. Zanim wkroczyłem w jego życie, Myron przeważnie nocował w słynnym apartamentowcu na Manhattanie. Miałem nadzieję, że teraz, kiedy mama jest w domu, wróci do tego zwyczaju i da nam trochę prywatności, aż staniemy na nogi i znajdziemy sobie mieszkanie.

Mama praktycznie wpłynęła do tego pokoju. Kiedy zobaczyła rzeczy rozłożone na łóżku, odwróciła się do mnie z uśmiechem.

— Co to? — zapytała.

— Po prostu kupiłem ci kilka rzeczy.

To nie było nic takiego. Dżinsy i kilka bluzek z wyprzedaży. W sam raz na początek. Podeszła i mnie uściskała.

— Wiesz co? Będzie dobrze — powiedziała. Wróciłem myślami do czasu, gdy miałem dwanaście lat i razem z mamą i tatą spędziłem trzy miesiące w Ghanie. Pracowali tam charytatywnie w Schronisku Abeona zajmującym się opieką nad biednymi i zagrożonymi dziećmi. Ojciec często zostawiał nas na kilka dni, udając się na jeszcze bardziej odległe tereny. Pewnej nocy, kiedy go nie było, obudziłem się, mając dreszcze i wysoką temperaturę. Czuję się tak okropnie, że myślałem, iż umrę. Mama natychmiast zawiozła mnie do szpitala. Okazało się, że mam malarię. Byłem słaby, oszołomiony i pewny, że nie przeżyję. Przez trzy

dni mama nie odchodziła od mojego łóżka. Trzymała mnie za rękę i powtarzała, że wszystko będzie dobrze, i ton jej głosu pozwalał mi w to uwierzyć. Teraz słyszałem ten ton.

— Tak mi przykro — powiedziała.

— W porządku — odparłem.

— Za to, co robiłam. Kim się stałam...

— To już za nami.

Ona tego nie rozumiała: opiekowała się mną przez całe moje życie. Teraz ja mogę przez chwilę opiekować sienią. Zaczęła się rozpakowywać, nucąc pod nosem. Wypytywała mnie o szkołę i koszykówkę. Podałem jej tylko podstawowe fakty. Nie chciałem jej niepokoić, więc nie powiedziałem o Ashley, a szczególnie o Nietoperzycy i o jej stwierdzeniu, że tata żyje. Nie zrozumcie mnie źle. Chciałem się tym wszystkim z nią podzielić. Jak już mówiłem, moja mama była wprost zabawnie otwarta, jednak nie mówi się o takich sprawach komuś w dniu, w którym właśnie zakończył odwyk. To mogło poczekać. Zahuczał mój telefon. Spojrzałem na wyświetlacz. Dzwonił Łyżka, po raz trzeci tego ranka.

— Dlaczego nie odbierzesz? — spytała matka.

— To tylko ktoś ze szkoły.

To ją ucieszyło.

— Nowy przyjaciel?

— Chyba.

— Nie bądź nieuprzejmy, Mickey. Odbierz.

Zrobiłem to, wychodząc na korytarz.

— Halo?

— Tylko indory gulgoczą — oznajmił Łyżka. — Indyczki wydają bardziej melodyjne dźwięki.

I dzwonił trzy razy, żeby mi to powiedzieć? O rany.

— To świetnie, Łyżka, ale jestem trochę zajęty.

— Zapomnieliśmy o szafce Ashley.

Przełożyłem komórkę do drugiej ręki.

— Co mówisz?

— Ona miała tu swoją szafkę, prawda?

— Prawda.

— Może jest w niej jakaś wskazówka.

Geniusz, pomyślałem. Nie chciałem jednak zostawić mamy samej.

— Oddzwonię do ciebie — rzuciłem i się rozłączyłem.

— O co chodziło? — zapytała mama, kiedy wróciłem do pokoju.

— To tylko takie szkolne sprawy.

— Jakie?

— Nic ważnego.

Spojrzała na zegarek. Ósma trzydzieści.

— Spóźnisz się.

— Pomyślałem, że zostanę dziś z tobą — powiedziałem.

Mama uniosła brwi.

— I opuścisz zajęcia? Och, nie sądzę. Nie martw się. Mam mnóstwo do zrobienia. Chcę dokupić sobie kilka rzeczy, pójść na zakupy, żeby ugotować nam obiad. Po południu muszę wrócić do Coddington na zajęcia terapeutyczne dla pacjentów z zewnątrz. Chodź, odwiozę cię.

Nic miałem powodu protestować, więc wziąłem plecak. Mama włączyła jakąś stację nadającą pop i nuciła w rytm muzyki. Zwykle przewracałem oczami, słysząc, jak śpiewu, z entuzjazmem fałszując. Nie dziś. Siedziałem obok niej, zaniknąłem oczy i tylko słuchałem.

Po raz pierwszy od dawna pozwoliłem sobie na odrobinę nadziei. Ta kobieta odwożąca mnie do szkoły to moja mama. Już nie ćpunka, którą zawieźliśmy na terapię przed sześcioma tygodniami. Tego wam nie mówią. Narkotyki nie tylko ją zmieniały. One ją kradły, robiąc z niej kogoś, kim nie była.

Zatrzymaliśmy się przed szkołą. Nie chciałem zostawiać jej samej. Znów powiedziała, żebym się nie martwił.

— Od razu pojedę do supermarketu. A potem ugotuję nam najlepszy obiad w historii świata.

Mama była wspaniałą kucharką. Podczas wielu lat spędzonych w egzotycznych krajach nauczyła się przygotowywać różne potrawy.

— Co zrobisz?

— Spaghetti i klopsiki — szepnęła mi konspiracyjnie do ucha.

O rany, to brzmiało wspaniale. Idealny wybór. Mama dobrze wiedziała, że jej spaghetti z klopsikami to moje ulubione danie. Czysta rozkosz dla podniebienia. Wzięła moją twarz w dłonie. Zawsze to robiła: ujmowała moją twarz w obie dłonie.

— Tak bardzo cię kocham, Mickey.

O mało się nie rozpląkałem.

— Ja też cię kocham, mamó.

Zacząłem wysiadać z samochodu, ale położyła rękę na moim przedramieniu.

— Zaczekaj. — Szukała czegoś w torebce. — Potrzebne ci usprawiedliwienie, prawda?

Napisała mi je. Kiedy wysiadłem z samochodu, odjechała, uśmiechając się i machając. Każdy patrzący na to pomyślałby, że to kolejna matka podrzucająca dzieciaka do szkoły.

Znalazłem Łyżkę tuż przed lunchem.

— Spójrz na to — powiedział.

Podał mi artykuł skopiowany z gazety. Myślałem, że będzie o odgłosach indyków albo o Beyonce, ale nie — była to krótka wzmianka o „próbie rabunku” w domu Kentów. Według policji sprawca włamał się i zaczął przetrząsać dom, kiedy zdał sobie sprawę, że pan Kent jest w środku. Intruz napadł na niego, ale uciekł, kiedy przybyła pani Kent. Pan Kent odniósł lekkie obrażenia. Już wyszedł ze szpitala. Prowadzono śledztwo.

Wciąż nie mogłem tego zrozumieć. Czy Kentowie mają córkę, czy nie? Może warto jeszcze raz złożyć im wizytę?

— Którędy do jej szafki? — zapytał Łyżka.

Pokazałem mu. Kiedy szliśmy, Łyżka wyjmował z kieszeni klucz.

— Będę musiał zrobić to szybko. Ty mnie zasłonisz. Nie chcę, żeby ktoś zobaczył, że potrafisz otwierać szafki.

Skinąłem głową. Kiedy jednak minęliśmy załom korytarza i podeszliśmy do szafki Ashley, od razu zauważyłem, że coś jest nie tak. Łyżka zatrzymał się i popatrzył na mnie.

Kłódka szafki Ashley była zerwana.

Nie wiedziałem, co robić. Uczniowie mijali nas, nie zwracając uwagi, spiesząc na lunch lub na następne zajęcia. Wyciągnąłem rękę, żeby otworzyć szafkę i popatrzeć, co jest w środku, gdy poczułem na sobie czyjś wzrok. Odwróciłem się i trafiło mnie jej spojrzenie.

To była Rachel Caldwell.

Co nie wydaje się takim wstrząsającym odkryciem, ale chłopcy głupieją przy takich naprawdę wystrzałowych dziewczynach. Rachel mogła opowiadać kiepskie żarty, ale jej adoratorzy tarzali się ze śmiechu. Mogła obdarzyć kogoś nikłym uśmiechem, który wypełniał mu głowę marzeniami snutymi do późnej nocy. Chciałbym myśleć, że jestem ponad to. Z tego co wiedziałem, Rachel mogła mieć ptasi mózdzek. Jednak kiedy napotkałem jej spojrzenie, zaschło mi w gardle.

Podeszła do nas.

— Cześć — rzuciła.

Łyżka poślinił palce, przyglądał sterczący kosmyk włosów, i zmierzył Rachel wzrokiem.

— Czy wiesz, że ośmiornica nie zarazi cię wodowstrętem? — zapytał.

Rachel się uśmiechnęła.

— Jesteś słodki.

Łyżka nadął się tak, że o mało nie pękł.

Rachel odwróciła się i znów spojrzała mi w oczy.

— Co robicie?

Wzruszyłem ramionami i wypowiedziałem moje pierwsze słowa do Rachel Caldwell, Miss Szkoły:

— Hm, nic takiego.

Oto odpowiedź Pana Wygadanego.

Rachel znów popatrzyła na mnie, a potem na szafkę. Przez moment myślałem, że powie coś jeszcze, ale zamiast tego znów obrzuciła wzrokiem szafkę i odeszła korytarzem. Obserwowaliśmy ją. Było na co patrzeć.

— Przestańcie się ślinić.

Pojawiła się Ema.

— Cześć — powiedziałem.

— Mężczyźni — prychnęła Ema, kręcąc głową. — A raczej powinnam powiedzieć: chłopcy.

Łyżka odwrócił się i zapatrzył na nią. Ściągnęła brwi.

— Masz jakiś problem?

Łyżka znów poślinił palce, przyklepał sterczący kosmyk i zlustrował ją od stóp do głów.

— Czy wiesz, że ośmiornica nie zarazi cię wodowstrętem? — zapytał.

— Czubek.

Łyżka spojrział na mnie i wzruszył ramionami.

— Raz podziałało. Pomyślałem...

— Rozumiem — przerwałem mu.

— Co wy tu robicie? — zainteresowała się Emma.

Nie fatygowałem się, by odpowiedzieć. Zamiast tego otworzyłem szafkę. Żadnej niespodzianki. Pusta. Zadzwoił dzwonek, oficjalnie ogłaszając, że spóźniamy się na lunch. Pospieszylismy do bufetu. Stałem w kolejce. Łyżka się wymówił. Wziąłem dwa kawałki pizzy peperoni oraz zapiekankę z mięsa, chleba i — jeśli liczyć sos pomidorowy — warzyw. Podszedłem do stolika, przy którym siedziała samotnie Ema.

— Bolitar!

Popatrzyłem na drugi koniec sali, by sprawdzić, kto mnie woła. Oczywiście Buck i Troy. Spoglądali na mnie groźnie, uderzając pięściami o dłonie.

— Wiem — powiedziałem do nich. — Trup.

Postawiłem tacę obok tacy Emy. Dwa dni z rzędu. Ale będzie gadanie. Ema zdjęła folię z kanapki.

— O co chodziło z tą szafką? — spytała.

Już miałem odpowiedzieć, kiedy usłyszałem głośnie cmokanie. Odwróciłem się i zobaczyłem Bucka i Troya, wciąż mających na sobie grube sportowe kurtki. W bufecie było chyba ze trzydzieści stopni. Zastanawiałem się, czy w nich śpią.

— Ooo — powiedział Buck — czy to nie romantyczne?

— Taak — dodał Troy. — Papużki nierozłączki siedzą razem.

Znów zaczęli cmokać. Spojrzałem na Emę. Tylko wzruszyła ramionami.

— Zaczniecie się teraz całować? — zapytał Buck.

— Zaczniecie to robić w bufecie? — dodał Troy.

— Nie, zostawiam to wam dwóm — odpysknałem.

Buck i Troy się zaczerwienili. Ema stłumiła śmiech.

Buck otworzył usta, ale uprzedziłem go, podnosząc rękę.

— Wiem — powiedziałem. — Trup.

— Nic nie wiesz — prychnął Troy. — Myślisz, że jesteś taki super, co? No, nie jesteś.

— Dobrze wiedzieć.

Buck dołączył do kumpla.

— Jesteś tu nowy, więc musimy cię uświadomić. Siedzisz z ofiarą losu.

— Taak, z ofiarą losu — zawtórował mu Troy.

Ugryzłem kawałek pizzy.

Znowu włączył się Buck:

— Mówiła ci, skąd się wzięła jej ksywa?

Zerknąłem na Emę. Kiwnęła głową, żebym pozwolił mu mówić.

— Widzisz, pewnego dnia siedziała cała emo na lekcji hiszpańskiego, no i jest laską, brzydką jak cholera, ale zawsze laską...

Już miałem wstać, ale Ema pokręciła głową.

— ...właśnie, nie facetem, no więc jeden z nas, zdaje się, że to był Troy, prawda Troy, że to byłeś ty?

— Tak, racja, Buck. — Troy napęczniał z dumy. — To byłem ja.

Obaj chichotali.

— Więc Troy mówi, tak po prostu, bez namysłu, z głowy, przy całej klasie: „To brzydactwo to nie emo tylko Ema. Kapujesz?”.

— Kapuję — powiedziałem.

— Ponieważ to lekcja hiszpańskiego z tymi wszystkimi „a” i „o” na końcu, więc Troy wymyślił to imię tak po prostu, i bach, przyłgnęło. Widzisz?

Skinąłem głową.

— Jajcarze z was, chłopaki.

Pojawił się Łyżka. Postawił swoją tacę z drugiej strony. Buck i Troy nie mogli uwierzyć w swoje szczęście.

— Och, człowieku, ty też tu siedzisz? — ucieszył się Buck. Udał, że wbija flagę. — Nadaję temu stolikowi nazwę Ofermowo. Znów zachichotali.

— Ofermowo, USA — dodał Troy.

— USA — powtórzyłem. — Na wypadek, gdybyśmy nie wiedzieli, jaki to kraj?

Znów zamierzałem wstać, lecz Ema położyła rękę na moim przedramieniu.

— Hej, Buck, dlaczego nie opowiesz Mickeyowi, skąd się wziął twój przydomek Mokra Gacie? — zagadnęła.

— Co? Nigdy nie miałem takiego przydomka!

— Ależ miałeś. Troy, ty też pewnie o tym nie słyszałeś, ale to szczerą prawdą. Widzisz, kiedy Buck był w czwartej klasie i przyszedł do naszego domu na moje urodziny...

— Nigdy nie byłem w twoim domu! Nawet nie wiem, gdzie mieszkasz!

— Bucky miał mały wypadek...

— To nieprawda!

Rozbawiony Troy popatrzył na Bucka.

— Facet...

— Ona kłamie, Troy! Odwołaj to, ty głupia s...

Pojawiła się pani Owens.

— Macie jakiś problem?

Wszyscy zamilkli. Rozległy się chóralne zaprzeczenia i Buck z Troyem się zmyli. Popatrzyłem na Emę.

— Mokra Gacie?

Wzruszyła ramionami.

— Wymyśliłam to.

O rany, uwielbiam tę dziewczynę.

— Naprawdę? Więc te urodziny...

— Zmyślane. Wszystko.

Przybiłem jej żółwika.

— Chcielibyście poznać kilka zabawnych faktów na temat Troya? — zapytał Łyżka.

Ugryzłem kawałek pizzy.

— Pewnie.

— Troy chodzi do ostatniej klasy. Jest kapitanem drużyny koszykarskiej.

Wspaniale, pomyślałem.

— Jednak najbardziej interesujące jest jego nazwisko.

— Jakie?

Łyżka się uśmiechnął.

— Taylor.

Przestałem żuć.

— Taylor?

— Hm.

— Tak jak ten gliniarz, który nękał nas zeszłej nocy?

— To był jego ojciec. Jest tutaj szefem policji. Kieruje całym wydziałem.



Jeszcze lepiej.

Przez cały dzień martwiłem się o mamę.

Wymieniliśmy kilka krótkich SMS-ów. Sprawiała wrażenie ożywionej. Po dzwonku kończącym zajęcia znalazłem spokojne miejsce na dworze i zadzwoniłem na jej komórkę. Odebrała po trzecim sygnale.

— Cześć, Mickey.

Usłyszałem jej melodyjny głos i natychmiast się uspokoilem.

— Gdzie jesteś?

— Z powrotem w domu. Gotuję obiad.

— Wszystko w porządku?

— Doskonale, kochanie. Byłam w supermarkecie. Kupiłam kilka rzeczy w galerii handlowej. Nawet zjadłam precla w barze. Może to wydaje się nudne, ale to był cudowny dzień.

— Cieszę się.

— Jak w szkole?

— Dobrze. Więc co chcesz robić dziś po południu?

— Od szesnastej do siedemnastej mam zajęcia terapeutyczne w ośrodku, pamiętasz?

— Racja.

— A ty zazwyczaj jedziesz autobusem na mecz do Newark?

Faktycznie, miałem dzisiaj grać w Newark.

— Zazwyczaj tak.

— A zatem?

— Pomyślałem, że mogę opuścić dzisiejszy mecz.

— Nie zmieniaj planów z mojego powodu, Mickey. Ty jedź na mecz, a ja pójdę na terapię. Zanim wrócisz do domu, spaghetti z klopsikami będzie gotowe. Och, i piekę też domowy chleb z czosnkiem. — Mój kolejny ulubiony przysmak. Już ciekła mi ślinka. — Wrócisz do domu przed osiemnastą? — zapytała mama.

— Tak.

— Doskonale. Kocham cię, Mickey.

Powiedziałem, że też ją kocham, i się rozłączyliśmy.

Dworzec autobusowy był przy Norhwale Avenue, pół mili od szkoły. Większość pasażerów jadących o tej porze do Newark to zmęczone gospodynie domowe, wracające do domów po całym dniu pracy na bogatych przedmieściach. Dziwnie na mnie patrzyły, zastanawiając się, co biały chłopak robi wśród nich w tym autobusie.

Wypielęgowane otoczenie bogatego Kasselton znajdowało się tylko siedem mil od zaniedbanych ulic Newark, ale te dwa miasta były jak dwie różne planety. Mówiono mi, że Newark jest odnawiane, lecz chociaż dostrzegam to tu i ówdzie, to rzuca się w oczy zaniedbanie. Ubóstwo wciąż dominuje, lecz ja jadę tam, gdzie najlepiej grają w kosza, i chociaż można mówić o uprzedzeniach lub stereotypach rasowych, to jestem jednym z bardzo niewielu białych, których się tam widuje.

Boiska miały nawierzchnię z popękanego asfaltu. Obręcze były zardzewiałe, z metalową, a nie nylonową siatką. Tablica wgnieciona i z dziurami. Zacząłem tu przychodzić jakiś miesiąc temu. Oczywiście powitano mnie sceptycznie, ale właśnie to jest cudowne w koszykówce: albo umiesz grać, albo nie. Rzykując, iż zabrzmi to nieskromnie, powiem, że umiem grać. Stali bywalcy wciąż patrzą na mnie z powątpiewaniem i rzucają nowemu wyzwania, ale ja to lubię.

Rozgrywaliśmy piąty mecz, kiedy stanąłem jak wryty, bo coś zauważyłem.

Boiska wybraliśmy wcześniej. Gramy w pełnym składzie, pięciu na pięciu, zwycięzcy zostają, przegrani siadają. To podnosi stawkę. Nikt nie chce siedzieć.

Najlepiej znałem Tyrella Watersa, rozgrywającego juniora z pobliskiego liceum Weequahic. Jest zapewne jedynym facetem z tych, których tu poznałem, przy którym czuję się swobodnie — głównie dlatego, że niewiele rozmawiamy. Tylko gramy.

Tyrell zaskoczył kilku bywalców, wybierając mnie jako pierwszego. Nasza drużyna z łatwością wygrała pierwsze cztery mecze. Przed piątym niektórzy kibice domagali się zmiany składu, żeby wyrównać szanse. Uwielbiałem to.

Jednak podczas tego piątego meczu trochę się zdekoncentrowałem. Te podwórkowe rozgrywki przyciągały zadziwiająco dużą i zróżnicowaną widownię. Miejscowi twardziele — Tyrell mówił mi, że wielu z nich to członkowie różnych gangów — trzymali się z daleka i patrzyli groźnie. Po prawej zawsze stała grupka bezdomnych, którzy wiwatowali i krzyczeli jak prawdziwi kibice, klaszcząc, pohukując i zakładając się o butelki wódki, jaki będzie wynik. Nieco bliżej, ze stoickimi minami, opierając się o ogrodzenie, stali miejscowi trenerzy, zaangażowani ojcowie, niedoszli agenci sportowi oraz selekcjonerzy szkół średnich, a nawet uczelni. Co najmniej jeden z nich, a zazwyczaj kilku, filmował mecze na potrzeby rekrutacji.

Przez moment, gdy wracaliśmy na linię obrony, popatrzyłem na tłum za ogrodzeniem. Daleko po prawej stał selekcjoner szukający kandydatów do szkoły katolickiej o sportowym profilu. Kiedyś mnie zagadnął, ale nie byłem zainteresowany. Obok niego zobaczyłem ojca Tyrella, śledczego z biura prokuratora okręgu Essex, który lubił rozmawiać o koszykówce i czasem po meczu zabierał mnie oraz Tyrella na koktajl mleczny. A obok niego, trzeci po prawej, w ciemnych okularach i czarnym garniturze, stał facet z ogoloną głową, którego widziałem przy domu Nietoperzycy.

Zastygłem.

— Mickey? — rzucił Tyrell. Był przy piłce i kozłował. Popatrzył na mnie zdziwiony. — Ocknij się, człowieku.

Pobiegłem za nim, zajmując pozycję pod koszem. Wynik był pięć do czterech, my prowadziliśmy. Gramy do dziesięciu punktów. Nie odgwizduje się fauli, trzeba po prostu sobie radzić i odpowiadać atakiem na atak. W tym momencie najchętniej zszedłbym z boiska, ale podczas takich podwórkowych rozgrywek tak się nie robi. Znow zerknąłem w kierunku ogrodzenia. Mężczyzna wciąż miał na nosie ciemne okulary, więc nie widziałem jego oczu, ale nie miałem cienia wątpliwości, na co patrzy.

Prosto na mnie.

Wszedłem na pozycję i zawołałem, żeby ktoś podał mi piłkę. Blokujący mnie przeciwnik miał metr dziewięćdziesiąt osiem i sporo ważył. Przepychaliśmy się, ale wiedziałem, że muszę szybko zakończyć ten mecz, zanim mężczyzna sprzed domu Nietoperzycy zniknie. Zacząłem grać jak opętany. Przejąłem piłkę i poszedłem środkiem, wrzucając ją hakiem do kosza.

Łysy obserwował to w milczeniu.

Zwiększyłem tempo i wbiłem trzy następne kosze. Trzy minuty później, gdy moja drużyna prowadziła dziewięć do czterech, Tyrell podał do bloku na lewym skrzydle. Zamarkowałem rzut, obróciłem się w lewo i rzuciłem z wysokości ponad wyciągniętą ręką dwumetrowego obrońcy. Tłum głośno krzyknął, gdy piłka przeszła przez obręcz. Koniec meczu. Tyrell w biegu przybił mi piątkę.

— Niezły rzut — pochwalił.

— Niezłe podanie — odparłem, schodząc z boiska.

— Hej! — krzyknął Tyrell. — Dokąd idziesz?

— Muszę przesiedzieć następny mecz — powiedziałem.

— Żartujesz? To ostatni. Mamy szansę roznieść ich do zera.

Wiedział, że coś jest nie tak. Nigdy nie odpoczywałem.

Mężczyzna spod domu Nietoperzycy stał w tłumie za ogrodzeniem. Kiedy zobaczył, że się zbliżam, zaczął odchodzić. Nie chciałem krzyczeć, przynajmniej jeszcze nie teraz, więc przyspieszyłem kroku. Z powodu ogrodzenia z siatki musiałem nadłożyć drogi. Tyrell mnie dogonił.

— Co się stało?

— Nic. Zaraz wrócę.

Nie chciałem biec. To wyglądałoby dziwnie, więc tylko szedłem najszybciej jak mogłem. Kiedy znalazłem się za ogrodzeniem, otoczyli mnie bezdomni, przybijając piątki, dopingując i dając dobre rady.

— Musisz popracować nad swoją lewą, człowieku...

— Przejdźcie z półobrotu. Zastosuj je, a wyjdiesz na pozycję...

— Musisz się bardziej zginać, kiedy jesteś tyłem do obrońcy. O tak...

Trudno było przedrzeć się przez ten tłum, nie okazując się nieuprzejmym, a tymczasem mężczyzna spod domu Nietoperzycy był już prawie za rogiem, idąc bez pośpiechu, ale dość szybko.

Nie chciałem stracić go z oczu.

— Zaczekaj! — krzyknąłem.

Szedł dalej. Zawołałem jeszcze raz. Przystanął, odwrócił się i wydawało mi się, że przez sekundę na jego twarzy pojawił się cień uśmiechu. Do licha z tym. Wyrwałem się z kręgu moich fanów meneli i pobiegłem do niego. Ludzie oglądali się za mną. Kątem oka zobaczyłem, że ojciec Tyrella zauważył, co się dzieje, i szedł w moją stronę.

Mężczyzna już przechodził przez ulicę, ale ja szybko zmniejszałem dzielącą nas odległość. Byłem może trzydzieści, trzydzieści pięć metrów za nim, kiedy podjechał do niego czarny samochód z przyciemnionymi szybami.

— Stój!

Jednak nie miałem szans go dopaść. Mężczyzna przystanął i lekko skinął głową, jakby mówił: „Nieźła próba”. Potem wszedł do samochodu i zanim zdążyłem coś zrobić, wóz zniknął mi z oczu.

\* \* \*

Nie musiałem zapamiętywać numerów rejestracyjnych. Już je miałem.

Ojciec Tyrella, pan Waters, podszedł i popatrzył na mnie zaniepokojony.

— Wszystko w porządku, Mickey?

— Tak, doskonale — zapewniłem. Jednak mi nie uwierzył.

— Chcesz mi powiedzieć, o co chodziło, synu?

Tyrell też już był. Obaj patrzyli na mnie, stojąc ramię w ramię, a ja nienawidziłem siebie za to, że tak im zazdroścę. Byłem wdzięczny temu człowiekowi, że się o mnie niepokoi, ale mimo woli pragnąłem, żeby zamiast niego stał tu mój ojciec i martwił się o mnie.

— Po prostu wydawało mi się, że to ktoś znajomy — wyjaśniłem.

Ojciec Tyrella nadal mi nie wierzył.

— Mamy jeszcze jeden mecz do zagrania — przypomniał mi Tyrell.

Pomyślałem o mamie wracającej do domu z terapii i gotującej spaghetti z klopsikami. Niemal czułem zapach chleba z czosnkiem.

— Robi się późno — powiedziałem. — Muszę złapać powrotny autobus.

— Mogę cię podwieźć — zaproponował ojciec Tyrella.

— Dziękuję panu, panie Waters, ale nie mogę prosić, żeby pan tak nakładał drogi.

— To żaden kłopot. I tak mam sprawę do załatwienia w Kasselton. Miło będzie mieć towarzystwo.

Przeegraliśmy ten ostatni mecz częściowo dlatego, że byłem rozkojarzony. Po zakończeniu wszyscy przybiliśmy sobie piątki lub żółwki. Pan Waters na nas czekał. Usiadłem z tyłu, a Tyrell z przodu. Podwiózł go do bliźniaka, który dzielili z siostrą pana Watersa i jej dwoma synami, przy Pomona Avenue, wysadzonej drzewami ulicy w dzielnicy Weequahic.

— Przyjdiesz jutro? — spytał mnie Tyrell.

Nie myślałem o tym, ale teraz przypomniałem sobie, że mama, Myron i ja lecimy rano odwiedzić grób mojego ojca w Los Angeles. Była to podróż, której nie chciałem, ale musiałem odbyć.

— Nie, jutro nie.

— Szkoda — westchnął Tyrell. — Fajnie się dziś grało.

— Taak. Dzięki, że mnie wybrałeś.

— Wybieram tak, żeby wygrać — powiedział z uśmiechem.

Zanim Tyrell wysiadł, nachylił się i na pożegnanie cmoknął ojca w policzek. Znowu poczułem ukłucie żalu. Pan Waters przypomniał synowi, żeby odrobił lekcje.

— Tak, tato — odparł Tyrell zirytowanym tonem, jakiego sam kiedyś używałem, w lepszych czasach.

Przesiadłem się do przodu.

— A więc — rzekł pan Waters, kiedy wjechaliśmy na międzystanową osiemdziesiątkę — o co chodziło z tym łysym facetem w czarnym samochodzie?

Nie wiedziałem, od czego zacząć. Nie chciałem kłamać, ale nie miałem pojęcia, jak to wyjaśnić. Przecież nie mogłem mu powiedzieć, że włamałem się do tamtego domu.

— On mógł mnie śledzić — wyznałem w końcu.

— A kto to taki?

— Nie wiem.

— I nie domyślasz się?

— Nie.

Pan Waters się zastanowił.

— Wiesz, że jestem śledczym okręgowym, prawda, Mickey?

— Tak, proszę pana. Czy to ktoś taki jak policjant?

— Właśnie tak. I przez cały czas, kiedy grałeś, stałem obok tego faceta. Nigdy wcześniej go tam nie widziałem. On prawie się nie poruszał, wiesz? Przez cały czas tylko stał tam w tym swoim garniturze. Nie wiwatował. Nie krzyczał. Nie odezwał się słowem. I nie odrywał od ciebie oczu.

Zastanawiałem się, jak pan Waters mógł to zobaczyć, skoro tamten nosił ciemne okulary, ale wiedziałem, o co mu chodzi. Obaj zamilkliśmy. A potem powiedział coś, co mnie zaskoczyło:

— Tak więc kiedy rozgrywaliście ostatni mecz, pozwoliłem sobie sprawdzić numery rejestracyjne wozu tego faceta.

— Mówi pan o tym czarnym samochodzie?

— Tak.

Siedziałem nieruchomo.

— Nie ma go w rejestrach — powiedział.

— Co to oznacza?

— Jest zastrzeżony.

— Jakby należał do dyplomaty czy kogoś takiego?

— Kogoś takiego.

Próbowałem poukładać te informacje, bezskutecznie.

— Więc co to dokładnie oznacza?

Podjechaliśmy pod dom Myrona. Pan Waters zatrzymał samochód, a potem odwrócił się do mnie.

— Chcesz znać prawdę? Nie wiem, Mickey. Jednak to nie brzmi najlepiej. Po prostu uważaj na siebie.

— Dobrze — powiedziałem. Pan Waters sięgnął do portfela.

— Jeśli znów zobaczysz tego łysego faceta, nie próbuj go gonić. Zadzwoń do mnie, rozumiesz?

Wręczył mi wizytówkę: „Joshua Waters, biuro prokuratora okręgowego”. Na dole znajdował się numer telefonu. Podziękowałem mu i wysiadłem. Odjeżdżając, pomachał mi na pożegnanie. Kiedy truchtałem chodnikiem, wydawało mi się, że czuję czosnek, ale może był to tylko wytwór mojej wyobraźni.

Otworzyłem drzwi moim kluczem i wszedłem.

— Mamo?!

Nie odpowiedziała.

— Jestem w domu! — zawołałem, tym razem głośniej.— Mamo?

Nadal cisza.

Poszedłem do kuchni. Na kuchence nic nie stało. W powietrzu nie unosił się zapach czosnku. Sprawdziłem godzinę. Osiemnasta. Mama pewnie jeszcze nie wróciła po terapii. Na pewno. Otworzyłem lodówkę, żeby wyjąć coś do picia, ale robiąc to, spostrzegłem, że nie ma w niej żadnych nowych produktów.

Czy mama nie mówiła, że była na zakupach?

Moje serce zaczęło bić szybciej. Zadzwoiłem na jej komórkę. Nie odebrała. Rozłączyłem się po piątym sygnale.

W porządku, Mickey, zachowaj spokój.

Nie mogłem. Ręce zaczęły mi się trząść. Kiedy zadzwonił mój telefon, poczułem ulgę. To na pewno mama. Spojrzałem na wyświetlacz. Łyżka. Zacząłem się bać. Nacisnąłem „ignoruj” i zadzwoniłem do ośrodka rehabilitacyjnego Coddington. Poprosiłem o rozmowę z Christine Shippee.

— Czy moja mama jeszcze tam jest? — zapytałem, kiedy mnie z nią połączono.

— O czym ty mówisz? Dlaczego miałyby tu być?

Ścisnęło mi się serce.

— Nie miała dzisiaj terapii dla byłych pacjentów?

— Nie. — I zaraz dodała: — Och nie. Co się stało, Mickey? Gdzie ona jest?

\* \* \*

Oto, jaki jestem głupi: wyszedłem na dwór i czekałem, myśląc, że mama zaraz przyjedzie. Tyle różnych myśli przelatywało mi przez głowę. Chciałem nic nie czuć. Pragnąłem odrętwienia. Marzyłem, żeby nie czuć zupełnie nic, i nagle uświadomiłem sobie, że moja mama też tego chciała. Patrzcie, do czego ją to doprowadziło.

Znowu zadzwoniłem na jej komórkę. Tym razem zczekałem, aż zgłosi się poczta głosowa.

— Cześć, tu Kitty. Zostaw wiadomość po sygnale.

Przełknąłem ślinę i bezskutecznie usiłowałem stłumić błagalny ton.

— Mamo? Proszę, zadzwoń do mnie, dobrze? Proszę!

Nie płakałem. Ale niewiele brakowało. Rozłączyłem się i zacząłem się zastanawiać, co robić. Przez krótką chwilę tylko wpatrywałem się w telefon, pragnąc, żeby zadzwonił. Musiałem wrócić do rzeczywistości.

Myślałem o tym, jaka promienna była twarz mamy tego ranka. O tym, że przez sześć ostatnich tygodni w jej organizmie nie było trucizny i jakie oboje wiązaliśmy z tym nadzieje. Nie chciałem tego robić, ale nie miałem wyjścia.

Trzymałem w ręku telefon. Po raz pierwszy wybrałem ten numer.

Wujek Myron odebrał natychmiast.

— Mickey?

— Nie mogę znaleźć mamy.

— W porządku — powiedział, jakby spodziewał się, że zadzwonię. — Ja się tym zajmę.

— Jak to ty się tym zajmiesz? Czy wiesz, gdzie ona jest?

— Mogę się dowiedzieć w kilka minut.

Już miałem zapytać, w jaki sposób, ale nie było czasu do stracenia.

— Chcę ci towarzyszyć — powiedziałem.

— Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł. Daj mi się tym...

— Myronie — przerwałem mu — nie pogrywaj ze inną w te protekcyjne gierki. Nie teraz. Nie, kiedy chodzi o moją matkę.

Zapadła krótka cisza.

— Zabiorę cię po drodze — powiedział po chwili.

Całodobowy motel Pierścienie Saturna stał pod wiaduktem drogi numer dwadzieścia dwa. Neon reklamował zniżki, darmowe wi-fi i kolorową telewizję w pokojach, jakby konkurencja miała tylko czarno-białą. Jak sugerowała nazwa, budynek był okrągły, ale nie to rzucało się w oczy. Przede wszystkim zauważało się brud. Ten motel był jednym z tych nędznych i brudnych miejsc, w których masz ochotę zanurzyć się cały w wannie ze środkiem dezynfekcyjnym.

Ford taurus Myrona — ten, którym mama zawiozła mnie do szkoły zaledwie dziesięć godzin temu, ten, w którym nuciła piosenkę płynącą z radia i napisała mi usprawiedliwienie — stał na parkingu. Myron miał w nim zamontowany GPS. Nie wiem po co. Może podejrzewał, że coś takiego się zdarzy.

Przez chwilę tylko w milczeniu patrzyliśmy na taurusa. Prowokacyjnie ubrane kobiety kręciły się wokół w szpilkach na zbyt wysokich obcasach. Miały puste oczy i zapadnięte policzki, jakby śmierć już w połowie je zabrała.

Słyszałem swój oddech, przyspieszony i płytki.

— Jest jakaś nadzieja, że namówię cię, byś został w samochodzie? — zapytał Myron.

Nie odpowiedziałem. Wysiedliśmy. Zastanawiałem się, jak Myron ustali, w którym ona jest pokoju, ale to było łatwe. Weszliśmy do holu tak małego, że ledwo mieścił się w nim automat z napojami. Mężczyzna za kontuarem był w podkoszulku, który zakrywał tylko połowę ogromnego brzucha. Myron podsunął mu studolarówkę. Facet zgarnął ją, beknął i powiedział:

— Pokój dwieście dwanaście w pierścieniu C.

W milczeniu poszliśmy do tego pokoju. Chciałbym powiedzieć, że wciąż miałem nadzieję, ale jeśli jakaś mi jeszcze została, to ją w sobie zdusiłem. Dlaczego? — zadawałem sobie pytanie. Niecały rok temu byliśmy szczęśliwą normalną rodziną, traktując to nasze szczęście jako coś oczywistego. Odpędziłem te myśli. Dość uzalania się nad sobą.

Kiedy doszliśmy do drzwi, popatrzyliśmy na siebie. Myron zawahał się, więc przejąłem inicjatywę. Zapukałem. Czekaliśmy, aż ktoś otworzy. Nie doczekaliśmy się. Zastukałem jeszcze raz. Przyłożyłem ucho do drzwi. Cisza.

Myron znalazł pokojówkę. Tym razem kosztowało go to dwadzieścia dolarów. Przesunęła kartę przez czytnik i drzwi się otworzyły. Światło było zgaszone. Myron odsunął zasłonę. Mama leżała na łóżku. Chciałem wybiec z tego pokoju albo zamknąć oczy.

Widok ćpunka to nic przyjemnego.

Podszedłem do łóżka, ująłem jej ramię i lekko potrząsnąłem.

— Mamo?

— Tak mi przykro, Mickey. — Zaczęła płakać. — Tak mi przykro.

— Wszystko będzie dobrze.

— Proszę, nie nienawidź mnie.

— Nigdy — powiedziałem. — Nigdy nie mógłbym cię nienawidzić.

\* \* \*

Odwieźliśmy ją do ośrodka. Christine Shippee spotkała nas w holu, wzięła matkę za rękę i zaprowadziła na oddział. Żałosne chlipanie mamy ucichło, gdy zamknęły się za nimi drzwi. Zerknąłem na Myrona. Może w jego oczach była litość, ale głównie obrzydzenie.

Christine Shippee wróciła po kilku minutach. Jak zawsze szła zdecydowanym krokiem, który przedtem dodawał mi otuchy. Ale nie teraz.

— Kitty nie będzie mogła nikogo widywać przez co najmniej trzy tygodnie — oznajmiła.



To mi się nie spodobało.

— Nawet mnie?

— Nikogo. — Spojrzała na mnie. — Nawet ciebie, Mickey.

— Trzy tygodnie?

— Co najmniej.

— To szaleństwo.

— Wiemy, co robimy — zapewniła Christine Shippee.

Prychnąłem.

— Tak, pewnie. Właśnie widzę.

— Mickey... — zaczął Myron.

Jednak ja jeszcze nie skończyłem.

— Bo tak doskonale się spisaliście.

— Uzależnieni często wracają do nałogu. Ostrzegalam cię przed tym, prawda?

Pomyślałem o tym, jak mama uśmiechała się do mnie, jak mówiła mi, że jest w domu i robi spaghetti z klopsikami, że nawet wzbogaciła ten zmyślony posiłek o chleb czosnkowy. Kłamstwa. Same kłamstwa.

Wypadłem na dwór. Niebo było czarne jak smoła, bez jednej gwiazdy. Szukałem księżycy, lecz i jego nie mogłem znaleźć. Chciałem wrzeszczeć albo coś stłuc. Wujek Myron wyszedł kilka minut później i otworzył samochód.

— Naprawdę mi przykro — powiedział.

Nie odpowiedziałem. Nienawidził mojej matki i wiedział, że tak będzie. Pewnie się cieszył, że miał rację. Przez kilka minut jechaliśmy w milczeniu, zanim on je przerwał:

— Możemy odwołać wyjazd do Los Angeles, jeśli chcesz.

Zastanowiłem się. Tutaj niczego nie mogę już zrobić. Christine jasno dała do zrozumienia, że nie pozwoli mi jutro zobaczyć się z matką. Ponadto moi dziadkowie już są w drodze do Los Angeles. Chcą zobaczyć miejsce pochówku swojego syna. Rozumiałem ich. Ja również chciałem znów je zobaczyć.

— Nie odwołuj — powiedziałem.

Myron kiwnął głową. Na tym zakończyliśmy rozmowę. Kiedy znalazłem się w domu, zbiegłem po schodach do piwnicy i zamknąłem za sobą drzwi. Zacząłem odrabiać lekcje. Pani Friedman zadała nam wypracowanie semestralne o rewolucji francuskiej. Zacząłem nad nim pracować, próbując się skupić tak, żeby zapomnieć o wszystkim innym. Cztery razy w tygodniu podnoszę ciężary, ale dzisiaj nie ćwiczyłem, więc zamiast tego zrobiłem trzy razy po sześćdziesiąt pompek. Poczuję się lepiej. Wziąłem prysznic. O północy położyłem się na łóżku i próbowałem czytać książkę, ale słowa pływały we mgle. Zgasilem światło i siedziałem w ciemności.

Nie mogłem zasnąć.

Myron jeszcze nie podłączył tu telewizji. Zastanawiałem się, czy pójść do salonu i włączyć SportsCenter lub inny kanał, ale nie chciałem wpaść na wujka. Wziąłem telefon i po raz nie wiem który wysłałem SMS do Ashley. Czekałem na odpowiedź. Oczywiście nie przyszła. Zastanawiałem się, czy powiedzieć o niej panu Watersowi. Ale co dokładnie mógłbym rzec? Rozmyślałem o tym jeszcze przez kilka minut. Włączyłem laptop i zacząłem szukać informacji o „rodzicach” Ashley, ale niewiele mi to dało. Pan Kent istotnie był lekarzem kardiologiem w Valley Hospital. Pani Kent była, tak jak mówiła Ashley, prawniczką pracującą dla dużej firmy w Roseland. I co z tego?

O pierwszej zahuczła komórka. Skoczyłem do niej, wbrew logice mając nadzieję, że to Ashley. Nie. Wiadomość była od Emy.

*Nie śpisz?*

Odpisałem, że nie.

Em: *Może jutro znów powinniśmy włamać się do domu Nietoperzycy?*

Ja: *Nie mogę. Lecę do LA.*

Ema: *Po co?*

I wtedy zaskoczony stwierdziłem, że zrobiłem coś, co nie leży w moim charakterze. Napisałem jej prawdę. *Na grób mojego ojca.*

Przez prawie pięć minut nie było odpowiedzi. Już zacząłem ganić się w myślach. Kto pisze takie rzeczy? No dobrze, może miałem chwilę słabości. To był okropny, zwariowany, burzliwy dzień. Próbowałem wymyślić coś, co mógłbym napisać, żeby jakoś się z tego wycofać, gdy przyszła następna wiadomość.

Ema: *Popatrz na podwórze.*

Wygramoliłem się z łóżka i podszedłem do okna pralni — tego wychodzącego na tyły domu. Zobaczyłem, jak w oddali ktoś — założyłem, że to Ema — błyska wyświetlaczem swojego telefonu.

Ja: *Daj mi pięć minut.*

Zajęło mi to mniej. Wskoczyłem w szorty i podkoszulek, po czym wyszedłem na podwórze. Ema oczywiście była ubrana na czarno, w pełnym rynsztunku gotycko-wampiryzm. Miała kolczyki w kształcie trupich czaszek ze skrzyżowanymi piszczelami. Srebrny ćwiek, który zwykle tkwił w jej brwi, zastąpiła srebrnym kółkiem.

Wepchnęła ręce do kieszeni i popatrzyła na obręcz kosza.

— Musi pomagać — powiedziała.

— Co?

— Koszykówka. Dobrze mieć takie zamiłowanie.

— Istotnie. — A potem zapytałem: — A ty masz jakieś?

— Zamiłowanie?

— Tak.

Umknęła spojrzeniem w bok.

— Niezupełnie.

— Jednak?

Pokręciła głową.

— To wszystko jest dziwne.

— Co?

— To, że jesteś dla mnie taki miły.

Westchnąłem.

— Chyba nie chcesz znów zaczynać.

— Jestem grubą outsiderką. Ty jesteś nowym, za którym ogląda się Rachel Caldwell.

— Rachel Caldwell? Tak myślisz?

Ema przewróciła oczami.

— Mężczyźni.

O mało się nie uśmiechnąłem, ale nagle sobie przypomniałem. To zabawne, że pozwalasz sobie zapomnieć na kilka sekund, że nawet w najgorszej sytuacji są takie chwile, kiedy sobie wmawiasz, że może wszystko będzie dobrze.

— Posłuchaj, tak naprawdę to ja tu jestem wyrzutkiem — powiedziałem. — Jestem tym nowym, którego ojciec nie żyje, a matka jest ćpunką.

— Twoja matka jest ćpunką?

Znów za dużo powiedziałem. Zamknąłem oczy. Kiedy je otworzyłem, Ema stała trochę bliżej. Łagodnie popatrzyła mi w oczy.

— Tylko się nade mną nie użalaj — warknąłem.

Zignorowała moje słowa.

— Opowiedz mi o swojej mamie.

I znów — nie pytajcie mnie dlaczego — zrobiłem to. Pewnie dlatego, że nigdy nie miałem przyjaciółki. To byłoby najprostsze wyjaśnienie. Ona wiedziała, że mam kłopoty, a teraz, o

pierwszej w nocy, pofatygowała się, żeby ze mną być. Myślę jednak, że istniał też głębszy powód. Ema taka już była. Po prostu. Jakby już знаła odpowiedzi i tylko chciała pozwolić mi się wygadać.

Więc opowiedziałem jej wszystko. Kiedy skończyłem, pokręciła głową.

— Chleb czosnkowy. — Westchnęła. — Oo.

Właśnie to miałem na myśli — wszystko rozumiała.

— Pewnie jesteś wściekły?

Pokręciłem głową.

— To nie jej wina.

— Bzdura. Czy znasz określenie „przyzwalacz”?

Znałem. Przyzwalacz to ktoś, kto pozwala ukochanej osobie na autodestrukcyjne zachowania. W pewien sposób mama miała rację. Szukałem usprawiedliwień. No bo jak wytłumaczyć komuś...

— Gdyby nie ja — zacząłem powoli — mama byłaby jedną z najlepszych tenisistek na świecie. Byłaby bogata i sławna, zamiast być owdowiałą ćpunką, która nic nie ma.

— Jak to nic, ma ciebie — obruszyła się Ema.

Machnąłem ręką, bojąc się odezwać, ponieważ wiedziałem, że załamię mi się głos.

Nie naciskała. Znów w jakiś sposób wyczuła, że to byłby błąd. Przez kilka minut siedzieliśmy w milczeniu. Dochodziła druga.

— Czy twoi rodzice nie będą się zastanawiali, gdzie jesteś? — spytałem.

Jej twarz zamknęła się jak stalowa brama.

— Nie.

Teraz ja wyczułem, że lepiej nie naciskać. Po kilku minutach pożegnaliśmy się. Znowu zapytałem, czy mogę odprowadzić ją do domu. Nasrożyła się.

— Poważnie — powiedziałem. — Jest późno i nie chcę, żebyś chodziła sama. Gdzie mieszkasz?

— Innym razem.

— Dlaczego?

— Po prostu... Innym razem, dobrze?

Nie wiedziałem, co powiedzieć, więc poprzestałem na krótkim:

— Dobrze. — A potem dodałem: — Jednak obiecaj mi coś.

Spojrzała na mnie czujnie.

— Co?

— Prześlesz mi SMS, kiedy będziesz już w domu.

Posłała mi nikły uśmiech i pokręciła głową.

— Chyba nie mówisz poważnie.

— Obiecaj albo cię odprowadzę.

— Świetnie — powiedziała z westchnieniem. — Obiecuję, obiecuję.

Podwórko za domem Myrona przylegało do posesji sąsiadów. Ema skierowała się w tamtą stronę. Patrzyłem, jak odchodzi, lekko zgarbiona, i zastanawiałem się, jak to jest, że kiedy przysięgłem sobie, iż z nikim nie będę się wiązał, ona już za dużo dla mnie znaczy. Patrzyłem, aż znikła mi z oczu, a potem ruszyłem do domu. Piłka leżała na ziemi. Podniosłem ją i zakręciłem na palcu. Zerknąłem na obręcz, ale nie, było za późno. Mógłbym obudzić sąsiadów. Znów zakręciłem piłką i ruszyłem do tylnych drzwi, kiedy coś sprawiło, że przystanąłem.

Przywarłem plecami do ściany, żeby nie było mnie widać. Serce zaczęło mi bić mocniej. Powoli odłożyłem piłkę i zacząłem przesuwając się w prawo, w kierunku garażu. Nisko pochylony wyjrzałem zza narożnika na ulicę przed domem Myrona. A tam, zaparkowany na rogu jakieś sto metrów dalej, stał czarny samochód z przyciemnionymi szybami.

Wyglądał identycznie jak ten, który widziałem dzisiaj podczas meczu. I tak samo jak ten, który zobaczyłem przy domu Nietoperzycy.

Zastanawiałem się nad następnym posunięciem. Pamiętałem, że pan Waters mówił mi, żebym zadzwonił do niego, kiedy znów zobaczę tego łysego faceta, ale przecież jest druga w nocy. I tak pewnie ma wyłączoną komórkę. A jeśli nie, to czy naprawdę chcę zbudzić jego i całą jego rodzinę, żeby co? Poprosić, by tu przyjechał? Do tej pory ten samochód i tak by już odjechał.

Nie, muszę to załatwić sam.

Właściwie wcale się nie bałem. A może po prostu ciekawość przeważała nad strachem, trudno powiedzieć. Kiedy miałem dziesięć lat, moi rodzice spędzili rok w amazońskiej puszczy. Miejscowy wódz był ekspertem ud walki wręcz, a konkretnie od odmiany sztuki walki popularnie nazywanej brazylijskim dziu–dżitsu. Od tamtej pory ćwiczyłem różne sztuki walki w odległych zakątkach kuli ziemskiej głównie po to, żeby utrzymać dobrą formę. Dotychczas tylko raz wykorzystałem moje umiejętności. Skutecznie. Może aż za bardzo.

Co więcej, dodało mi to pewności siebie, nawet jeśli była ona złudna. Pobiegłem za sąsiedni dom należący do Goretów. Zamierzałem przekraść się za domami i podejść do samochodu od tyłu. Dzielili mnie od niego trzy domy. Nie miałem powodu zwlekać. Wyrzależem zaa azalii Goretów i pobiegłem za dom Greenhallów. Mieli dużą farmę na północy i nigdy nie było ich w domu.

Minutę później kryłem się za krzakami około pięciu metrów od czarnego samochodu z przyciemnionymi szybami. Teraz, kiedy znalazłem się tak blisko, widziałem numer rejestracyjny: A30432. Wyjąłem komórkę i porównałem go z numerem, który podała mi Ema. Były identyczne.

Teraz już nie miałem wątpliwości — to ten sam samochód.

Wyrzależem z krzaków. Silnik był zgaszony. Nie zauważyłem nikogo ani żadnych oznak życia. Ten czarny samochód równie dobrze mógł być zaparkowany na noc i pusty.

I co teraz?

Czy mam po prostu podejść i zacząć walić w okno, żądając wyjaśnień? To nawet wydawało się logiczne. A także głupie. Czy mam tu siedzieć i czekać? Jak długo? A jeśli ten samochód odjedzie? Co wtedy?

Wciąż kulilem się za krzakiem, zastanawiając się, co robić, kiedy los zdecydował za mnie. Drzwi po stronie pasażera się otworzyły i z samochodu wysiadł łysy facet. Nadal miał na sobie czarny garnitur i pomimo późnej godziny ciemne okulary.

Przez moment stał nieruchomo, plecami do krzaków. Potem powoli odwrócił głowę.

— Mickey — powiedział.

Uff.

Nie miałem pojęcia, jak mnie zauważył, ale teraz to było bez znaczenia. Wyprostowałem się. Spojrzał na mnie przez te ciemne okulary i chociaż noc była ciepła, przysięgam, że przeszedł mnie zimny dreszcz.

— Masz pytania. — Mówił z wyraźnym brytyjskim akcentem, który brzmiał nieco sztucznie. Jakby chodził do jakiejś ekskluzywnej szkoły i chciał, żeby wszyscy o tym wiedzieli. — Jednak nie jesteś jeszcze gotowy na odpowiedzi.

— Co to ma znaczyć?

— Dokładnie to, co powiedziałem.

Ściągnąłem brwi.

— To brzmi jak kiepska wróżba wyjęta z chińskiego ciasteczka szczęścia.

Na twarzy łysego pojawił się cień uśmiechu.

— Nie mów o nas nikomu.

— Na przykład komu?

— Nikomu. Na przykład twojemu wujkowi.

— Myronowi?

A co miałbym mu powiedzieć? Nic nie wiem.

— Kim jesteście? Albo, jak powiedziałeś, jesteście?

— Dowiesz się w odpowiednim czasie.

— Czyli kiedy?

Mężczyzna wsiadł do samochodu. Zrobił to bez pośpiechu, lecz każdy jego ruch był niesamowicie szybki i płynny.

— Zaczekaj! — krzyknąłem.

Wyskoczyłem zza krzaków, usiłując dopaść drzwi auta, zanim się zamkną.

— Co robiliście w tamtym domu? Kim jesteście?

Jednak było za późno. Już zatrzasnął drzwiczki. Samochód ruszył. Zacząłem walić w szybę.

— Stój!

Samochód jechał. Bez namysłu wskoczyłem na maskę, tak jak to robią w filmach. Tylko że jest coś, czego w filmach nie pokazują: nie ma się czego złapać. Wyciągnąłem ręce do przedniej szyby, ale nie znalazłem żadnego uchwytu. Samochód przejechał kilka metrów, zahamował, a ja poleciałem.

Jakoś zdołałem wylądować na nogach, zatoczyłem się, ale złapałem równowagę. Stałem przed samochodem, zagrządzając mu drogę. Przednia szyba też była przyciemniona, lecz spoglądałem w kierunku fotela pasażera, wyobrażając sobie, że patrzę w oczy łysego mężczyzny. Przez chwilę nic się nie działo. Po prostu stałem.

— Kim jesteście? Czego ode mnie chcecie?

Usłyszałem szum opuszczanej szyby. Miałem ochotę podejść, ale może on tylko na to czekał. Może chciał, żebym zszedł mu z drogi i pozwolił mu odjechać.

— Nietoperzyca powiedziała, że mój ojciec żyje! — Krzyknąłem.

I ku mojemu zdziwieniu otrzymałem odpowiedź:

— Nie powinna tego mówić.

Serce zamarło mi w piersi.

— Czy on żyje?

Zapadła długa cisza.

— Czy mój ojciec żyje? — nalegałem.

Oparłem ręce o maskę, naciskając palcami metal, jakbym chciał potrząsnąć samochodem i wydusić z niego odpowiedź.

— Porozmawiamy — powiedział mężczyzna. Nie wciskaj mi...

Nagle samochód ruszył na wstecznym biegu. Upadłem, zdzierając sobie skórę z dłoni. Kiedy podniosłem głowę, skręcił i znikł za zakrętem.

Była druga piętnaście, kiedy cicho wślizgnąłem się do domu. Zahuczała moja komórka. Przyszedł SMS od Emy: *W domu. Szczęśliwy?*

Ja: *W ekstazie.*

Na palcach ruszyłem do drzwi piwnicy, gdy usłyszałem głosy dochodzące z piętra. W pierwszej chwili myślałem, że to telewizor, ale nie, jeden głos należał do Myrona. Drugi — mówiący „cześć” — był kobiecy.

Hm.

Podszedłem do schodów. Światło w sypialni wujka było zgaszone, a paliło się w jego gabinecie. Ten, o czym Myron mówił mi chyba milion razy, kiedyś był pokojem mojego ojca i dzielili go, zanim Myron przeniósł się do piwnicy. Myron często raczył mnie opowiadaniem o obciachowych zabawach, jakim oddawali się w tym pokoju — grali w gry planszowe, takie jak *Ryzyko* i *Strateg*, wymieniając się kartami z baseballistami, wymyślając własne mistrzostwa w koszykówce. Czasem, kiedy nikogo nie było w domu, szedłem do tego pokoju i próbowałem sobie wyobrazić mojego ojca jako dzieciaku. Jednak nic mi z tego nie wychodziło. Przy odnawianiu znikły wszystkie pamiątki. Teraz pokój wyglądał jak biuro księgowego.

Poszedłem na górę i przystanąłem przy drzwiach. Myron siedział przy komputerze, czatując. O drugiej w nocy? O co tu chodzi?

— Nie mogę teraz przyjechać — usłyszałem, jak mówi.

— Rozumiem — odpowiedział kobiecy głos. — Ja też nie mogę.

Z kim on rozmawia? Chwila — próbuje poderwać babkę w sieci? I żadne z nich nie chce przyjechać z wizytą? Okropność.

— Wiem — powiedział Myron.

— Carrie nie jest jeszcze gotowa — tłumaczyła kobieta.

Hm. Kim jest Carrie? Drugą kobietą? Jeszcze gorzej.

— I co zrobimy? — spytał Myron.

— Chcę, żebyś był szczęśliwy, Myronie.

— Uszczęśliwiasz mnie.

— Wiem. Ty mnie też. Jednak może powinniśmy być realistami.

To już nie wyglądało na flirt dwojga obcych ludzi. Raczej jak rozmowa dwóch osób o złamanym sercach. Myron spuścił głowę. Na ekranie zobaczyłem kruczowłosą kobietę.

— Może masz rację. — Myron westchnął. — Może naprawdę powinniśmy być realistami. — Podniósł wzrok i napotkał jej spojrzenie. — Jednak nie tej nocy, dobrze?

— Dobrze. — A potem kobieta powiedziała najczulszym tonem, jaki kiedykolwiek słyszałem: — Tak bardzo cię kocham.

— Ja też bardzo cię kocham — odrzekł Myron.

Nie wiedziałem, co robić. Nie miałem pojęcia, kim jest ta kobieta ani o czym rozmawiali. Nigdy nie spytałem Myrona, czy ma dziewczynę albo kogoś takiego, głównie dlatego, że niewiele mnie to obchodziło.

W każdym razie przyszedłem tu, ponieważ usłyszałem ich głosy. Nie czułem się dobrze, podsłuchując ich, więc cofnąłem się i po cichu zszedłem do piwnicy. Rozebrałem się i wślizgnąłem pod kołdrę.

Myślałem o tym, jak smutna była rozmowa Myrona z tą kobietą. Zastanawiałem się, kim jest Carrie i dlaczego Myron nie może teraz z nią być. Jednak nie zastanawiałem się nad tym zbyt długo. Rano polecimy do Los Angeles i odwiedzimy grób mojego ojca. Sądziłem, że ta myśl nie pozwoli mi zmrużyć oka, ale zasnąłem w kilka sekund.

\* \* \*

Nie zrozumcie mnie źle — jeszcze muszę ich poznać, ale o ile mogę powiedzieć, moi dziadkowie są najfajniejszymi dziadkami na świecie.

Ellen i Al Bolitar — babcia lubi żartować, że są „El-Al, jak izraelskie linie lotnicze” — powitali nas na lotnisku. Ellen rzuciła się pędem do Myrona i do mnie, szeroko rozkładając ręce, i uściskała nas, jakbyśmy byli niewinnymi ludźmi właśnie wypuszczonymi z więzienia po odsiedzeniu niesprawiedliwego wyroku, czyli tak jak powinna ścisnąć babcia. Zrobiła to z całej siły, a potem przyjrzała nam się, sprawdzając, czy wszystko jest tak jak należy.

— Obaj jesteście tacy przystojni — powiedziała do mnie.

Nie czułem się przystojny. Miałem na sobie jeden z garniturów Myrona. Nie leżał najlepiej. Dziadek został z tyłu, podpierając się laską i idąc bardzo wolno. Obaj z Myronem cmoknęliśmy go w policzek, ponieważ wszyscy tego chcieliśmy. Dziadek wciąż był błydy i chudy po niedawnej operacji serca. Usiłowałem stłumić poczucie winy za stan jego zdrowia, ale trudno było zaprzeczyć, że byłem za to przynajmniej częściowo odpowiedzialny. Dziadek nie chciał o tym słyszeć. Twierdził nawet, że tamtego dnia uratowałem mu życie. Wątpię. Jakby to wyczuwając, dziadek mocno ścisnął moje ramię. Nie wiem dlaczego, ale ten uścisk pocieszył mnie najbardziej.

Czekał na nas samochód wypożyczony przez Myrona. W milczeniu pojechaliśmy na cmentarz. Babcia i ja siedzieliśmy z tyłu. Trzymała mnie za rękę. Nie pytała o mamę, chociaż musiała wiedzieć. Kochałem ją za to.

Kiedy wjechaliśmy na parking przy cmentarzu, poczułem, że drzę. Myron zgasił silnik. Wszyscy w milczeniu wysiedliśmy z samochodu. Słońce prażyło.

— Grób jest na wzgórzu — powiedział Myron. — Może przyprowadzić ci wózek, tato?

Dziadek tylko machnął ręką.

— Pójdę pieszo na grób mojego syna.

W milczeniu weszliśmy na wzgórze. Dziadek szedł pierwszy, podpierając się laską, babcia i ja za nim. Myron zamykał pochód. Gdy zbliżaliśmy się do miejsca, gdzie został pochowany mój ojciec, Myron zrównał się ze mną.

— Wszystko w porządku? — spytał.

— Tak — odparłem, przyspieszając kroku.

Na grobie ojca jeszcze nie było nagrobka.

Przez długą chwilę nikt się nie odzywał. Po prostu wszyscy czworo staliśmy i patrzyliśmy. Samochody beztrudnie śmigały po pobliskiej autostradzie, zupełnie nie przejmując się tym, że kilka metrów dalej stoi pogrążona w żalu rodzina. Dziadek nagle zaczął odmawiać z pamięci kadisz, hebrajską modlitwę za zmarłych. Nie byliśmy wierzący, wcale nie, więc trochę mnie to zaskoczyło. Chyba robimy pewne rzeczy, ponieważ tak nakazuje tradycja, z przyzwyczajenia lub wewnętrznej potrzeby.

— *Jitgadal wejtkadasch schmej raba.*

Myron zaczął płakać. Taki już był — zbyt emocjonalny — jeden z tych facetów, którzy płaczą, reklamując kartki świąteczne. Odwróciłem wzrok, starając się zachować obojętną minę. Miałem dziwne uczucie. Nie uwierzyłem Nietoperzycy, ale dziś, stojąc nad grobem mojego ukochanego ojca, za którym tęskniłem tak, że pękało mi serce, byłem dziwnie nieporuszony. Dlaczego? I dlaczego, zadawałem sobie pytanie, nie jestem załamany, stojąc w miejscu spoczynku ojca?

A cichy głosik w mojej głowie szeptał: „Ponieważ jego tu nie ma...”.

Ze splecionymi rękami i spuszczoną głową dziadek zakończył długą modlitwę słowami: *Aleinu weal kol Jisrael. Weimru: Amen.*

Myron i babcia przyłączyli się do tego czwartego i ostatniego „amen”, wymawiając je jak „oh-main”. Ja milczałem. Przez kilka minut nikt się nie poruszał. Wszyscy byliśmy zatopieni w swoich myślach.

Przypomniałem sobie chwilę, kiedy po raz pierwszy byłem na tym cmentarzu, na pogrzebie ojca, tylko z mamą. Mama była odurzona tak, że prawie nieprzytomna. Kazała mi obiecać, że nikomu nie powiem o śmierci taty, ponieważ wujek Myron będzie twierdził, że ona nie nadaje się do sprawowania opieki nade mną i wystąpi do sądu o odebranie jej praw rodzicielskich. Spojrzałem na tabliczkę umieszczoną tam do czasu ukończenia nagrobka. Wtedy też tutaj była. „Brad Bolitar”, głosił napis czarnym tuszem na białej tekturce tkwiącej w wodoodpornej plastikowej koszulce.

Gdy minęła kolejna minuta ciszy, dziadek pokręcił głową.

— Tak nie powinno być. — Przystanął i spojrzał w niebo. — Ojciec nie powinien odmawiać kadiszu za syna.

Z tymi słowami zaczął schodzić ze wzgórza. Myron i babcia ruszyli za nim. Obejrżeli się na mnie. Podszedłem krok bliżej do niedawno wzruszonej ziemi. Mój ojciec, człowiek, którego kochałem jak nikogo innego, leży półtora metra pod nią.

Nie czułem tego, lecz to nie oznaczało, że tak nie jest. Patrzyłem na tabliczkę i się nie ruszałem.

— Mickey? — usłyszałem za plecami głos Myrona. Nie odpowiedziałem i nie zareagowałem, ponieważ...

no cóż... nie mogłem. Wciąż patrzyłem na tę tabliczkę, czując, jak mój już i tak chwiejący się świat zaczyna wirować. Widziałem imię ojca. Widziałem ten zwykły napis czarnym tuszem na białym kartonie. Jednak teraz zobaczyłem coś jeszcze. Rysunek. Był mały, w rogu tekturki, ale nie miałem wątpliwości: kolorowy motyl mający na skrzydłach wzór wyglądający jak ślepiea jakiegoś zwierzęcia. Widziałem już ten symbol. W domu Nietoperzycy.

Był to taki sam symbol, jaki znajdował się na koszulkach ludzi z tamtej starej fotografii.

\* \* \*

Pożegnaliśmy się na lotnisku. Wymieniliśmy uściski i całusy.

— Przyjedziecie na Święto Dziękczynienia — powiedziała babcia do mnie i Myrona.

Nie prosiła, tylko oznajmiła nam to, i za to ją kochałem. Żałowałem, że dziadkowie dotychczas nie byli częścią mojego życia, ale pewnie mama i tata mieli swoje powody.

Babcia i dziadek wrócili na Florydę, a Myron i ja pół godziny później poleciliśmy do Newark. Samolot był pełny. Myron wybrał środkowy fotel, ja usiadłem przy oknie. Fotele w samolotach nie zostały zaprojektowane dla ludzi naszego wzrostu. Przed nami siedziały dwie drobne staruszki. Ledwo sięgały nogami podłogi, ale to nie powstrzymało ich przed energicznym opuszczeniem oparcia na nasze kolana. Przez cztery godziny miałem tuż pod nosem czuprynę starszej pani.

W pewnej chwili o mało nie zapytałem Myrona o to, co widziałem o drugiej w nocy, kim jest kruczowłosa kobieta i Carrie. Nie zrobiłem tego, ponieważ to doprowadziłoby do dłuższej rozmowy, a nie miałem ochoty jej zaczynać.

Po lądowaniu odebraliśmy samochód Myrona z długoterminowego parkingu i pojechaliśmy Garden State Parkway. Przez pierwsze dwadzieścia minut nie odzywaliśmy się. Kiedy minęliśmy nasz zjazd, w końcu coś powiedziałem:

— Dokąd jedziemy?

— Zobaczysz — odparł Myron.

Dziesięć minut później zajechaliśmy na parking przy centrum handlowym. Myron zgasił silnik i uśmiechnął się do mnie. Popatrzyłem przez przednią szybę, a potem znów na niego.



— Zabierasz mnie na lody? — spytałem.

— Chodź.

— Żartujesz, prawda?

Kiedy weszliśmy do lodziarni SnowCap, przywitała nas kobieta na wózku inwalidzkim. Miała dwadzieścia parę lat i szeroki cudowny uśmiech.

— Hej, wrócił pan — powiedziała do Myrona. — Co mogę podać?

— Zrób mojemu bratankowi Roztapiacza SnowCap. Muszę porozmawiać chwilę z twoim ojcem.

— Jasne. Jest na zapleczu.

Myron nas zostawił. Kobieta na wózku wyciągnęła do mnie rękę.

— Jestem Kimberly.

Uścisnąłem ją.

— Ja Mickey.

— Usiądź tam. — Kimberly wskazała krzesło, — Zrobię ci Roztapiacza.

Roztapiacz był mniej więcej wielkości volkswagena garbusa. Kimberly przywiozła mi go z szerokim ślicznym uśmiechem. Zastanawiałem się, dlaczego jeździ na wózku, ale oczywiście nie zapytałem.

Spojrzałem na ogromny puchar lodów, dodatków i bitej śmietany.

— Mamy zjeść to wszystko sami?

Roześmiała się.

— Zrobimy, co się da.

Zaczęliśmy jeść. Nie chcę przesadzać, ale ten Roztapiacz SnowCap to najlepsze lody w dziejach świata. Zacząłem pochłaniać go tak szybko, że bałem się, iż dostanę po nim bólu głowy. Kimberly doskonale się bawiła, patrząc na mnie.

— Czego Myron chce od twojego ojca? — zapytałem.

— Sądzę, że twój wujek zrozumiał pewną uniwersalną prawdę.

— Jaką?

Uśmiech Kimberly zgasł i przysięgłbym, że przez moment powiało chłodem.

— Zrobisz wszystko, żeby chronić swoje dzieci.

— Nie rozumiem.

— Zrozumiesz.

— Co chcesz przez to powiedzieć? f

Kimberly zamrugała i odwróciła wzrok.

— Szesnaście lat temu moja starsza siostra została zamordowana. Miała zaledwie szesnaście lat.

Nie miałem pojęcia, co na to powiedzieć.

— A co Myron ma z tym wspólnego? — zapytałem w końcu.

— Nie tylko Myron. Twoja matka też miała z tym coś wspólnego. I twój ojciec.

Odłożyłem łyżeczkę.

— Nic z tego nie rozumiem. Chcesz powiedzieć, że moi rodzice skrzywdzili...

— Nie! — przerwała mi. — Twoi rodzice nigdy by nikogo nie skrzywdzili. Nigdy.

— Skąd znasz moich rodziców?

— Nie znam. Jednak zrozum coś, Mickey: nic nie jest przypadkowe.

Kręciło mi się w głowie.

— Nie mów Myronowi, że o tym rozmawialiśmy, dobrze? — poprosiła.

Kiwnąłem głową.

— Jedz lody — szepnęła.

Wziąłem do ust kolejną porcję. Drzwi na zaplecze się otworzyły. Wyszedł Myron, a Kimberly nachyliła się do mnie.

— Śmieję się tak, jakbyś usłyszał najzabawniejszy żart — szepnęła mi do ucha.

Już miałem zapytać dlaczego, ale z jakiegoś powodu jej zaufałem, więc zrobiłem to, o co prosiła. Mój śmiech był trochę wymuszony, ale ona także się roześmiała. Miała zaraźliwy śmiech. Odprężyłem się. Kimberly znów nachyliła się i szepnęła:

— Jeszcze raz. Nie chcemy, żeby twój wujek zapytał, o czym rozmawialiśmy.

Zaśmiałem się znowu, a ona znów mi zawtórowała. Myron patrzył na mnie oczami spaniela, z bladym i smutnym uśmiechem. Kimberly odjechała na wózku. Zmieszany i zdezorientowany przestałem się śmiać. Nie wiedziałem, co robić, ale na szczęście zabręczał mój telefon. Spojrzałem na wyświetlacz i zobaczyłem, że to Łyżka. Przyłożyłem aparat do ucha.

— Co jest? — spytałem.

— Mickey? — W jego głosie usłyszałem podniecenie. Łyżka był tak podekscytowany, że zapomniał o swoim zwykłym stoicyzmie. — Mam coś.

— Co masz?

— Szafka Ashley.

— Co z nią?

— Wiem, kto się do niej włamał.

Ema, Łyżka, i ja spotkaliśmy się następnego ranka na I mitingu przed szkołą. Usiedliśmy na krawężniku. Ema przyniosła laptop. Łyżka był dziś w ciemnych okularach i miał dyplomatkę, naprawdę, taką, jakie mają biznesmeni im filmach. Nie pamiętam, żebym kiedyś widział u kogoś podobną. Łyżka ustawił szyfrowy zamek i ją otworzył, zajrzałem do środka. Był w niej tylko pendrive. Łyżka uniósł brew, wyjął go i zamknął walizeczkę.

— To, co zaraz zobaczycie — oznajmił dramatycznie Łyżka — musi na zawsze pozostać między nami.

Wręczył Emie pendrive. Ema westchnęła.

— Co to takiego?

— Nagranie z kamery. Widzicie, szkoła ma bardzo rozbudowany system alarmowy — osiemnaście kamer obserwuje większość drzwi i korytarzy. Uświadomiłem sobie, że nikt nie mógł się włamać do tej szafki za dnia. Ktoś by to zauważył. Ponadto zdałem sobie sprawę, że to włamanie musiało mieć miejsce niedawno, ponieważ uszkodzona i zwisająca kłódka zostałaby szybko zauważona i zgłoszona. Tak więc użyłem mojego klucza, aby dostać się do centrum monitoringu. Wszystko rejestrują tam cyfrowo. Znalazłem kamerę numer czternaście — to ta naprzeciwko szafki Ashley — i zacząłem przeglądać zapis z poprzedniej nocy.

— Ile czasu ci to zajęło? — spytałem.

Łyżka się uśmiechnął.

— Niewiele. Widzisz, kamery mają czujniki ruchu, więc przeważnie nie działają.

Ema wetknęła pendrive do portu swojego laptopa. Wszyscy pochyliliśmy się nad ekranem, gdy nagle jakieś ręce złapały komputer i nam go zabrały.

— Hej! — krzyknęła Ema.

— No, no, no — powiedział znajomy irytujący głos. — Co my tu mamy?

Odwróciłem się i zobaczyłem Troya trzymającego laptop. Obok niego stał Buck. A za nimi kilku mięśniaków. Chyba pięciu lub sześciu. Trudno powiedzieć. Przez te sportowe kurtki zlewali się w jedną masę.

— Czego chcecie? — spytał Łyżka.

— Wiesz, Arthurze — odparł Buck — po prostu pomyśleliśmy sobie, że jesteś spoko i chcemy się z tobą kumplować.

Łyżka się rozpromienił.

— Naprawdę?

— Oddaj mi laptop — powiedziała Ema.

Zignorowali ją. Zastanawiałem się, jak to rozegrać.

— Taak, pewnie, że chcemy się z tobą kumplować — rzekł Troy do Łyżki. — Masz prawidłowe odruchy. A raczej ruchy.

Łyżka poprawił okulary.

— He?

— Ruchy — powtórzył Troy. — Robaczkowe, jak w kiszkach. Ponieważ tak śmierdzisz.

Troy nadstawił dłoń, a Buck przybił mu piątkę. Grupka mięśniaków parsknęła śmiechem. Łyżka miał taką minę, jakby Troy go spoliczkował. Wstałem.

— Dobrze. A teraz oddaj nam laptop.

Troy uśmiechnął się drwiąco i przysunął się do mnie.

— Zmuś mnie.

— Nie robi tego! — krzyknął Łyżka ze łzami w oczach. — Musiałby potem iść umyć ręce.

Popatrzyłem na niego, ściągając brwi, jakbym chciał powiedzieć: „Daj spokój, stać nas na coś lepszego”.

Troy wskazał go palcem.

— Chcesz, żebym skopał ci tyłek, Arthurze?

— Jestem Łyżka!

— Co?

— To moja ksywa — wyjaśnił Łyżka. — Jestem Łyżka. — Wskazał Emę. — Tak jak jej ksywa to Ema. — Wskazał Bucka. — A jego ksywa to Mokra Gacie.

— Co ty... — Buck poczerwieniał. — Skopię ci tyłek.

Stałem między nimi a Łyżką.

— Dlaczego nie załatwicie tego ze mną? — zapytałem.

Buck gwałtownie odwrócił głowę w moją stronę.

— Też chcesz umrzeć?

— Nie. W tym momencie chcę odzyskać laptop.

— Jeśli go chcesz — powiedział Troy, trzymając laptop w prawej ręce i poruszając nim, nachylając się do mnie tak, że poczułem woń jajecznicy, którą jadł na śniadanie — to mi go zabierz.

Zrobiłem to.

Kiedy w amazońskiej dżungli uczyłem się sztuk walki, często ćwiczyliśmy rozbrajanie przeciwnika. Oczywiście wysłuchałem wielu kazań o tym, żeby nigdy tego nie robić, ponieważ zawsze rozsądniej jest uciec niż próbować rozbroić napastnika, ale nauczono mnie, jak to zrobić, jeśli zostanę do tego zmuszony. Kluczowym elementem jest zaskoczenie. Jeśli tamten wie, że zamierzasz go rozbroić, to przykro mi, ale wbrew temu, co widzieliście na filmach kung-fu, odebranie mu broni jest prawie niemożliwe.

Tu, oczywiście, nie chodziło o broń. Dlatego to zrobiłem. Zaskoczyłem Troya i po prostu wyrwałem mu laptop z ręki. Nie trzymał go mocno, a ponadto jeszcze coś działało na moją korzyść: geny. To nie moja zasługa. Odziedziczyłem je. Mój ojciec był urodzonym sportowcem, chociaż nigdy nie lubił sportowej rywalizacji. Wujek był koszykarzem klasy zawodowca, a mama wybitną tenisistką. Tak więc odziedziczyłem dobre geny po obojgu rodzicach. Miałem doskonałą koordynację ruchową i szybki refleks. Choćbyś nie wiem jak nad tym pracował, i rodzice mocno cię naciskali, nie zdołasz się tego nauczyć.

Troy i Buck na moment znieruchomieli. Szybko oddałem laptop Emie, nie odrywając oczu od przeciwnika — następna zasada, którą mi wpojono. Odwróciłem się i przygotowałem na to, co nastąpi. A wiedziałem, że coś się stanie. Troy był miejscową sławą, a tu jakiś nędzny nowy go ośmieszył.

Ludzie, to będzie długi sezon koszykarskich rozgrywek.

Już miał coś zrobić, gdy wtrąciła się Ema:

— Troy?

— Co?

— Znam prawdziwy powód tego, że wciąż się nas czepiasz. — Zatrzepotała czarnymi rzęsami. — Czyżbyś przypadkiem... no nie wiem... w ten sposób mnie podrywał?

— Co? Oszalałaś?

— Zabrałeś mi laptop, jakbyś chciał poflirtować. — Znów zatrzepotała rzęsami, udając, że go kokietuje. — Rachel Caldwell cię nie zauważa, ale kto wie, może ze mną ci się uda? To prawda, że musiałabym stracić wzrok, nie mówiąc o węchu, żeby uznać cię za atrakcyjnego, ale...

Troy złapał mnie za klapy kurtki. Pozwoliłem na to i lekko rozluźniłem mięśnie, jakbym się przestraszył.

— Lepiej nie wchodzić mi w drogę, Bolitar! Słyszysz?

— Hej. — Podniosłem ręce w geście żartobliwego poddania. — To nie ja przyszedłem tutaj podrywać twoją kumpelę.

Troy miał dość. Jedną ręką trzymając mnie za koszulę, zamachnął się drugą, zaciskając pięść. Klasyczny manewr, który zapewne był skuteczny, kiedy straszył takich jak Łyżka. Jednak to był głupi ruch. Najkrótszą linią między dwoma punktami jest prosta. Wybierasz wrażliwe miejsce: nos, szyję, krocze, oczy. Nie tracisz czasu na wymachiwanie rękami.

Mogłem zareagować w różny sposób, ale postanowiłem wybrać taki, który wyrządzi najmniejsze szkody. Błyskawicznie przycisnąłem przedramieniem jego dłoń do mojej piersi i złapałem jego palce. Szarpnąłem w prawo i pozbawiłem go równowagi. Ostatnią fazą tego manewru — który wykonałem w ułamku sekundy — było podcięcie nóg.

Troy upadł na kolana.

Nie wiedziałem, co teraz nastąpi, czy będzie tak głupi, żeby spróbować złapać mnie za nogi, ale byłem przygotowany.

— Co się tu dzieje?

Pani Owens. Puściłem Troya. Zerwał się, usiłując zachować resztki godności i udając, że zaraz miał mi dołożyć. Nie reagowałem.

— Pytałam, co tu się dzieje?

Chór głosów odpowiedział jej, że nic. Troy, Buck i gromadka mięśniaków szybko się zmyli. Pani Owens przez chwilę przeszywała mnie gniewnym wzrokiem, a potem też odeszła.

Ema stanęła przy mnie.

— Wdajesz się w bójkę z popularnym uczniem starszej klasy. Wkurzasz nauczycielkę i szefa miejscowej policji. Przestajesz z dwiema największymi ofermami. — Klepnęła mnie w plecy. — Witaj w szkole.

\* \* \*

Mieliśmy jeszcze trochę czasu do dzwonka.

Pochyliliśmy się nad laptopem Emy. Kliknęła na ikonkę. Na ekranie pojawił się szkolny korytarz. Spodziewałem się ziarnistego czarno-białego obrazu, ale był kolorowy i w wysokiej rozdzielczości. Ema stuknęła w klawisz odtwarzania i zobaczyliśmy jakiegoś mężczyznę. Nie był to nauczyciel. Ani uczeń. Nie był pracownikiem szkoły.

Wyglądał jak typowy opryszek.

Miał na sobie podkoszulek bez rękawów, dzinsy biodrówki i nieogoloną gębę. Na szyi gruby złoty łańcuch. W prawej ręce trzymał łom.

I miał na twarzy tatuaż.

Popatrzyłem na Łyżkę.

— Tatuaż na twarzy. Czy nie tak według pani Kent wyglądał mężczyzna, który wtargnął do ich domu?

Łyżka skinął głową.

— To na pewno ten sam facet.

Co ten oprych może mieć wspólnego z Ashley?

Nagranie było bez dźwięku, ale cisza wprost ogłuszała. Tatuowany zatrzymał się przed szafką i zerwał łomem kłódkę. Otworzył drzwiczki i cofnął się o krok. Zajrzał do środka i nawet na tym niemym filmie było widać, że jest wściekły i zapewne przeklina.

Szafka była pusta.

Po chwili odszedł.

— To tyle — rzekł Łyżka.

Ema zatrzymała odtwarzanie.

— I co teraz? — zapytałem. — Pokażemy to nagranie policji?

Łyżka poprawił okulary.

— Żartujesz, prawda?

— Zapewne to ten facet włamał się do domu Kentów. Na tym filmie jest jego twarz.

— Na filmie, który wykradłem ze szkolnego centrum monitoringu — sprecyzował Łyżka. — Jak moglibyśmy to wyjaśnić? Ponadto nie ufam glinom. — Odwrócił się do Emy i wypiął pierś. — Widzisz, jestem notowany. Czy to prawda, że laski lubią niebezpiecznych mężczyzn?

— Może mężczyzn — mruknęła Ema. — Jednak on ma rację, Mickey. Nie możesz z tym pójść na policję, Łyżka miałby kłopoty, ale pamiętaj także, kto w tym miasteczku jest szefem policji.

Ojciec Troya, komendant Taylor. O rany, jakbym nie pamiętał. Nie tylko ja miałem kłopoty z klanem Taylorów, nic najwyraźniej wujek Myron też nie był z nimi w dobrych stosunkach.

— W porządku, więc nie pójdziemy na policję — zgodziłem się. — No to co zrobimy?

Ema znów włączyła odtwarzanie. Pojawił się obraz.

Naprowadziła kursor na strzałkę cofania i puściła film od tyłu. Zatrzymała go i powiększyła obraz tak, że wyraźnie zobaczyliśmy policzek Tatuowanego — ten z tatuażem.

— Coś mi przyszło do głowy — odezwała się Ema — ale to pewnie daleki strzał.

Łyżka i ja zapewniliśmy, że chcemy to usłyszeć.

— Znam pewnego faceta, tatuażystę zwanego Agentem. To on zrobił mi tatuaż.

— W porządku — mruknąłem.

— Wiecie, tatuażysty to zamknięty krąg. Wszyscy się znają. Ci faceci to artyści, a ten tatuaż wygląda na artystyczną robotę. Dlatego myślę, że powinniśmy pokazać to zdjęcie Agentowi. Może on nam powie, kto zrobił ten tatuaż.

Spojrzałem na Łyżkę. Kiwnął głową na znak, że podoba mu się ten pomysł.

— W porządku. Zrobmy to.

— Jest tylko jeden problem — dodała Ema. — Tam nie można dojechać środkami komunikacji miejskiej i jest za daleko, żeby dojechać. Ktoś musi nas zawieźć.

— O to się nie martw — powiedziałem.

Ema ściągnęła brwi.

— Co to ma znaczyć?

— Ja mogę was zawieźć.

— Jeszcze nie masz szesnastu lat.

— O to też się nie martw.

I wtedy zadzwonił dzwonek.

\* \* \*

Na lekcji historii pani Friedman miała dla nas niespodziankę.

— Napiszecie wypracowanie o rewolucji francuskiej — oznajmiła. — Przygotujecie je parami, więc proszę, dobierzcie się w zespoły.

Nie znałem nikogo w klasie, więc pomyślałem, że zaczekam i wybiorę osobę, która zostanie bez przydziału. Wszyscy w klasie pospiesznie tworzyli dwuosobowe zespoły, bojąc się zostać bez pary. Wszyscy oprócz Rachel Caldwell. Popatrzyła na mnie i się uśmiechnęła. Chociaż siedziałem, ugięły się pode mną kolana. Chłopcy zaczepiali Rachel i wołali po imieniu, próbując zwrócić jej uwagę. Zignorowała ich i nadal patrzyła na mnie.

— No? — zapytała.

— No co?

Po prostu oszalałbym ją tymi błyskotliwymi odzywkami.

— Chcesz, żebyśmy byli partnerami na historii? — zapytała.

— Pewnie — odparłem.

Pani Friedman klasnęła, żeby zwrócić naszą uwagę.

— W porządku, ludzie, jeśli już macie partnerów, usiądźcie obok nich, żebym mogła omówić temat.

Wstałem i wziąłem krzesło. Zatrzymałem się na moment, onieśmielony, ale Rachel przesunęła się i dała mi znak, żebym zajął miejsce obok niej. Pachniała jak... no, jak piękna dziewczyna. Zrobiło mi się gorąco. Rachel Caldwell skupiła uwagę na pani Friedman. Robiła dużo notatek. Jej zeszyt był bardzo schludny. Też próbowałem się skupić, bo pani Friedman istotnie omawiała temat, lecz wydawało się, że jej słowa giną we mgle.

Kiedy zadzwonił dzwonek, Rachel odwróciła się do mnie.

— Kiedy chcesz się spotkać? — spytała.

— Wkrótce.

— Może dzisiaj po szkole?

Przypomniałem sobie, że mamy odwiedzić Agenta, tatuazystę.

— Po szkole nie mogę. Może wieczorem?

— Umowa stoi. Zadzwonisz do mnie?

— W porządku, jasne.

Rachel czekała. Nie wiedziałem na co.

— Nie masz numeru mojego telefonu — zauważyła w końcu.

— Och. Racja.

— Pewnie będzie ci potrzebny — dodała. — No wiesz, raczej trudno będzie ci do mnie zadzwonić, jeżeli nie będziesz znał numeru.

Ochoczo skinąłem głową.

— Masz absolutną rację.

Roześmiała się.

— Daj mi swój numer.

Zrobiłem, o co prosiła, podając jej moją komórkę. Zaczęła wpisywać.

— Oto mój numer.

— Dziękuję.

— Porozmawiamy później.

Oddała mi telefon i zaczęła zbierać się do wyjścia.

— Cześć.

Pięć minut później siedziałem przy stole z Emą. Przyjrzała mi się.

— Co to za głupawy uśmiech? — zainteresowała się.

— Jaki głupawy uśmiech?

— Dzwoniłam do Agenta. Może się z nami spotkać po szkole.

— Dobrze. — A potem zapytałem: — Nie masz jeszcze piętnastu lat, prawda?

— I co z tego?

— No to jak zrobiłaś sobie te tatuaze? Myślałem, że trzeba mieć osiemnaście.

— Można mieć mniej, jeśli ma się pozwolenie rodziców.

— I dostałaś je?

— O to się nie martw — odparła z lekkim zniecierpliwieniem. — Jak zamierzasz nas zawieźć, nie mając prawa jazdy?

— O to się nie martw — powiedziałem, przedrzeźniając ją.

Ema ugryzła kęs sandwicza wielkości łodzi podwodnej. Gdy skończyła przeżuwać, zapytała z udawaną nonszalancją:

— Jak tam twoja wycieczka do Los Angeles?

— Świetnie. Jednak po tym, jak się ostatnio rozstaliśmy, widziałem tego człowieka spod domu Nietoperzycy.

Opowiedziałem jej o nim. Ema umiała skupiać całą uwagę na rozmówcy, więc było mi łatwiej mówić, bo reszta świata jakby nagle znikła. To nie było udawane zainteresowanie — czuło się.

— Musimy wrócić do domu Nietoperzycy — orzekła Ema, kiedy skończyłem.  
— No, nie wiem...  
— Powiedzieli ci, żebyś nikomu nie mówił, prawda?  
— Prawda.  
— A jednak mi powiedziałaś.  
— Taak, chyba tak. Poczekaj, powiedzieli, żebym nikomu o nich nie mówił. Ale ty już o nich wiedziałaś.  
Uśmiechnęła się.  
— Podoba mi się sposób, w jaki znajdujesz takie luki.  
Przyszedł Łyżka i z trzaskiem postawił swoją tacę obok naszych.  
— Każdego dnia w Stanach Zjednoczonych buduje się dwieście nowych cel więziennych. Nie chcę, żeby na jednej z nich widniało moje nazwisko.  
— Mówiłem ci, nie pójdziemy na policję — uspokoilem go.  
Usiadł i zaczął jeść. Dwie minuty później usłyszałem, jak mamrocze pod nosem:  
— O. Mój. Boże.  
Zrobiłem wielkie oczy, jakbym był świadkiem czyjegoś zmartwychwstania. Odwróciłem się i powiodłem wzrokiem w ślad z jego spojrzeniem. Zobaczyłem zmierzającą do nas Rachel Caldwell. Niosła talerz ciastek.  
— Cześć, ludzie — rzuciła z uśmiechem, który nie tylko oszałamiał.  
Unosił, mocno wstrząsał, a potem rzucał człowieka na krzesło.  
Ema ściągnęła brwi i skrzyżowała ręce na piersi.  
— Wyjdiesz za mnie? — zapytał Łyżka.  
Rachel się roześmiała.  
— Jesteś taki miły.  
Napęczniał. Jeśli łyżki mogą pęcznieć.  
— Nie chcę zawracać wam głowy, ludzie — ciągnęła Rachel — ale cheerleaderki niedawno zbierały fundusze, sprzedając ciasteczka. Obciach, prawda?  
— Straszny — mruknęła Ema, wciąż ze skrzyżowanymi rękami. Posłałem jej karcące spojrzenie.  
— Ponadto moje ciasteczka są okropne i nikt ich nie kupował, więc pomyślałam, że zamiast je wyrzucać...  
— Dziękujemy — powiedziałem.  
Nieśmiało postawiła je na stole i szybko odeszła.  
— Przyszła pani Łyżkowa — rzekł Łyżka. I po namyśle dorzucił: — A może raczej Łyżeczka? Muszę to przemyśleć.  
— Koniecznie. — Wziąłem czekoladowe ciasteczko i ugryzłem kawałek. — Niezłe — orzekłem.  
Ema przewróciła oczami.  
— To oczywiste, że smakują ci jej ciastka. Mogłyby być zrobione z zasyпки dla niemowląt i trocin, a i tak byś się zachwycał.  
— Nie, poważnie, spróbuj jedno.  
— Pasuję — prychnęła Ema.  
— Wiesz — powiedziałem, żując dość suche ciastko i zastanawiając się, czym je popić — żywienie niechęci do kogoś, kogokolwiek, na podstawie jego lub jej wyglądu, jest płytkie.  
Ema znów przewróciła oczami.  
— Taak, niezmiernie mi przykro. Rachel pewnie jest zdruzgotana.  
— Myślę, że jest miła — oznajmił Łyżka.  
— Jestem wstrząśnięta. — Ema znów spojrzała na mnie. — Czy wiesz, że chodziła z twoim kumplem Troyem?  
Skrzywiłem się.



— Fee. — A potem: — Czas przeszedł?

Znow przewróciła oczami.

— I kto tu jest płytki? Wystrzałowa cheerleaderka chodząca z kapitanem drużyny koszykówki? Można z tego wyciągnąć tylko jeden wniosek.

— Ona ma rację — wtrącił się Łyżka, patrząc na mnie z powagą. Położył dłoń na moim ramieniu. — Musisz znaleźć sposób, żeby zostać kapitanem drużyny koszykówki.

Po szkole Łyżka, Ema i ja poszliśmy do domu Myrona. Wziąłem z kuchni kluczyki do samochodu i wsiedliśmy do forda taurusa. Przypomniałem sobie, jak ojciec uczył mnie prowadzić. Było to w Południowej Afryce i jeździliśmy samochodem z ręczną skrzynią biegów. Wciąż gaśł mi silnik i ojciec się śmiał.

„Nie duś go tak”, powiedział, a ja nie miałem pojęcia, o co mu chodzi.

Dopiero co skończyłem czternaście lat. Podróżując po odległych zakątkach świata, posługiwaliśmy się przybranymi nazwiskami i dokumentami. Ten, który teraz miałem w kieszeni, był wystawiony na Roberta Johnsona. Posługując się lewymi papierami, mówił ojciec, najlepiej używać bardzo popularnych nazwisk, których nikt nie zapamięta, a gdyby chciał je sprawdzić, otrzymałby zbyt dużo informacji. Robert Johnson miał dwadzieścia jeden lat, a więc był sześć lat starszy ode mnie. Nie wyglądałem na tyle, ale przy moim wzroście mogłem uchodzić za pełnoletniego.

Dokumenty były doskonałe. Nie wiem, jak to możliwe. Pytałem ojca, dlaczego są nam potrzebne, ale on zawsze odpowiadał wymijająco.

— W naszej pracy mamy wielu wrogów — mówił.

— Czy nie pomagamy ludziom? — pytałem.

— Pomagamy.

— No to dlaczego mamy wrogów?

— Jeśli kogoś ratujesz, często ratujesz go przed kimś. — Ojciec wyglądał na zatroskanego i przygryzł dolną wargę. — Jeżeli postępujesz dobrze, to często dlatego, że ktoś inny postępuje źle. Nadążasz?

— Tak.

— A ci, którzy źle czynią — ciągnął ojciec — nie wahają się skrzywdzić każdego, kto będzie przeszkadzał mi w realizacji ich planów.

Zabawne, pomyślałem. Mój ojciec postępował humanitarnie. Przetrwał, chociaż sprzeciwiał się woli despotów i dyktatorów w kilku najniebezpieczniejszych i rozdieranych przez wojnę dżunglach tego świata. W końcu szukał względnego bezpieczeństwa w Stanach Zjednoczonych i zginął w wypadku samochodowym, wioząc mnie na mecz koszykówki.

Trudno się nie wściekać.

Znowu pomyślałem o Nietoperzycy mówiącej, że ojciec żyje. Może o to w tym wszystkim chodzi — znalezienie Ashley, łysy facet w czarnym samochodzie, sama Nietoperzyca. Może robię to wszystko z powodu jednej szansy na miliard, że mówiła prawdę.

— Skręć w prawo — powiedziała Ema. — To przy drodze czterdzieści sześć.

Gdy dojeżdżaliśmy, Łyżka zaczął chichotać.

— Co? — zapytała go Ema.

— Nazwa tego salonu tatuażu.

— Co z nią?

— Tatuaże na Poczekaniu — odczytał Łyżka. — Co to za nazwa? Na poczekaniu? Jak by można było je zrobić bez czekania? Oderwać sobie rękę i powiedzieć: „Proszę tu umieścić węża na bicepsie, odbiorę ją jutro rano”. To jasne, że trzeba czekać.

Znowu zachichotał. Ema popatrzyła na mnie.

— Musimy go zostawić w samochodzie.

Kiwnąłem głową. Łyżka zgodził się być naszą czujką.

Pierwsze, co rzuciło się w oczy po wejściu do salonu Tatuaże na Poczekaniu, była zadziwiająca czystość. Spodziewałem się jakiegoś niechlujnego i brudnego lokalu, ale ten wyglądał na bardziej sterylny niż gabinet lekarski. Po prostu lśnił. Personel i klienci wyglądali

niecو gorzej, ubrani w dżinsy i koszulki oraz, no cóż, z kolczykami i tatuażami. Ten lokal mógłby być salą bankietową na rodzinną uroczystość.

— Hej, Emo — rzuciła kobieta w recepcji, typowa laska motocyklisty. Przybiły sobie z Emą zółwika. Zdziwiło mnie, że znają ją tutaj jako Emę. Założyłem, że podała im to przezwisko. To też było zabawne. Najwyraźniej Emie podobała się ksywka, jaką nadał jej ten głupek Troy Taylor.

Znaleźliśmy Agenta na zapleczu. Na ścianach wisiały obrazy różnych hinduistycznych bóstw, przeważnie medytujących. Woń kadzidła drażniła nos. Słysząc było cichą muzykę i kobiecego głos powtarzający raz po raz słowo „nuć”, co — jak się domyśliłem — było jakąś mantrą.

Agent kończył właśnie wielki czarny tatuaż orła ze skrzydłami rozpostartymi na całą szerokość pleców. Jego klient oglądał dzieło za pomocą dwóch luster, jak facet sprawdzający swoje uczesanie u fryzjera.

— Piękna robota, Agent — pochwalił mężczyzna.

Agent złożył dłonie jak do modlitwy.

— Nie mocz tego przez dwa tygodnie. Pamiętaj o smarowaniu maścią. Już to robiłeś.

— Owszem, tak.

— Cudownie. — Agent zauważył nas i uśmiechnął się szeroko. — Ema!

Objęli się.

— Agent, poznaj mojego przyjaciela Mickeya.

Agent uścisnął mi dłoń. Miał mocny uścisk i odciski na rękę. Długie rude włosy związał w kucyk, długą brodę także. Oczywiście cały był pokryty tatuażami i kolczykami.

— Bardzo miło mi cię poznać, Mickey — powiedział trochę zbyt entuzjastycznie.

Znów popatrzył na Emę.

— Masz zdjęcie tego tatuażu?

Ema skinęła głową. Z filmu o tak dobrej jakości zdołała uzyskać doskonałe zbliżenie. Wręczyła zdjęcie Agentowi. Przyglądał mu się przez jakieś dwie sekundy.

— Eduardo — orzekł.

— Co?

— To zdecydowanie robota Eduarda. Ma salon w Newark. Chcesz, żebym do niego zadzwonił i zapytał, kto to zlecił?

— Powie ci? — spytałem.

Agent uśmiechnął się do mnie.

— Jeśli zażądam tej informacji, to owszem, Eduardo mi powie. Nie jesteśmy adwokatami, Mickey. Nie obowiązuje nas tajemnica zawodowa. Wszystko opiera się na zaufaniu. Jest powód tego, że tu jesteś. Wszechświat ma pewien tor, drogę, którą musi podążać.

Noo, dobrze, pomyślałem.

— Ema przyszła do tego salonu z pewnego powodu. Poprosiła, żebym został jej tatuażystą. To doprowadziło do tego, że ty tu przyszedłeś. Rozumiesz?

Nie, pomyślałem, a głośno powiedziałem:

— Pewnie.

— Ponadto, no cóż, Ema ma czystą duszę. Cudowną czakrę. Jeśli mówi mi, że musisz znaleźć tego człowieka, to musisz go znaleźć. Proste.

Ema się zarumieniła.

— Dzięki, Agent.

Puścił do niej oko. Znów zacząłem się zastanawiać, jak się poznali i w jaki sposób w jej wieku może mieć tyle tatuaży, ale cóż, ja też mam swoje tajemnice.

— Proszę, zaczekajcie tutaj — powiedział Agent — A ja zadzwonię do Eduarda.

Noo, dobrze, pomyślałem znowu. Kobieta wciąż śpiewała „nuć”. Ludzie, ależ to było wkurzające. Spojrzałem za okno. Łyżka siedział w samochodzie.

— Może powinniśmy zostawić lekko opuszczoną szybę — zasugerowała Ema. — Tak jak wtedy, gdy zostawia mu; psa.

Uśmiechnąłem się. Mężczyzna przed nami zamówił sobie tatuaż na nadgarstku i igła raniła skórę. Miał mocno zaciśnięte powieki, ale i tak wypływały spod nich łzy. Znów pomyślałem o Ashley z jej perełkami i sweterkami, dziwiąc się, jak poszukiwania tej skromnej ślicznotki zaprowadziły mnie do tatuażysty New Age zwanego Agentem.

Kolejna ironia losu?

— Załatwione — oznajmił Agent, wracając różnym krokiem. Wręczył Emie skrawek papieru. Widniało na nim nazwisko: Antoine LeMaire. I adres w Newark.

— Dziękuję ci, Agent — powiedziała Ema.

— Tak — dorzuciłem. — Dziękuję.

— Przyłączyłbym się do waszych poszukiwań, ale mam inne zobowiązania.

— Praca? — spytała Ema.

Agent pokręcił głową.

— Zajęcia jogi.

— Nadal ćwiczysz ze swami Paulem? — zapytała.

— Nie. Żar Bikramu źle wpływał na moją czerwoną czakrę. Przez cały czas byłem gniewny. Teraz ćwiczę tylko kundalini. Powinnaś spróbować obu. No wiesz, spójrz tylko na mnie. — Rozłożył ręce. — Ostatnio jestem cały biały.

Noo, dobrze.

Ruszyliśmy do drzwi, ale usłyszałem głos Agentą:

— Mickey?

Odwrociłem się.

— Ty, tak jak Ema, masz czystą duszę. Masz błogosławione ośrodki energii i prawdziwą równowagę. Jesteś obrońcą. Troszczysz się o innych. Jesteś ich schronieniem.

— Hm, dziękuję.

— I to czyni cię mądrym. Rozumiesz, że nic nie wiesz o tym człowieku, którego szukasz. Powinieneś uważać, zanim wciągniesz innych w jego sferę.

Agent spojrział mi w oczy, a ja zrozumiałem, co ma na myśli. Skinąłem głową.

— Dziękuję za przestrożę.

Skłonił głowę.

— Powinieneś zastanowić się nad tatuażem. Dobrze by wyglądał.

— Sądzę, że to nie dla mnie.

— Tak — rzekł Agent z uśmiechem pełnym zrozumienia. — Zapewne masz rację.

— Wpisz adres do GPS-u — powiedziała Ema, kiedy wróciliśmy do samochodu.

— Nie — odparłem.

— Co?

Zrozumiałem ostrzeżenie Agenta, ale nie byłem pewny, czy było mi potrzebne. Oto, co wiedziałem o Antoine LeMairze: włamał się do szkoły i do szafki Ashley. Włamał się do domu pana Kenta i napadł na niego. Krótko mówiąc, było bardzo prawdopodobne, że jest niebezpieczny. Mogłem ryzykować — to moja sprawa — ale nie zamierzałem wciągać Łyżki i Emy w tak niebezpieczne przedsięwzięcia.

Byłaby to... hm... czerwona czakra.

— Robi się późno — stwierdziłem. — Odwiozę was.

— Żartujesz — prychnęła Ema.

— Nie pojedziemy tam po nocy.

— Może najpierw powinniśmy się zatrzymać przy tym sklepie z artykułami oświetleniowymi? — rzekł Łyżka.

— Hę?

— Żeby kupić Mickeyowi nocną lampkę. No wiecie, skoro boi się ciemności i w ogóle.

Ema się uśmiechnęła.

— Taak, mały Mickey potrzebuje lampeczki. Może także kocyka?

Tylko na nią popatrzyłem. Wzruszyła przepaszająco ramionami.

— Najpierw podrzuć Łyżkę — powiedziała.

Tak zrobiłem. Łyżka pokazał mi drogę do dwurodzinnego domu na przedmieściu Kasselton. Na podjeździe stała zaparkowana furgonetka, na burcie miała znak firmowy z dwóch skrzyżowanych mopów. Fajne.

Kiedy podjechaliśmy, otworzyły się frontowe drzwi i pojawiła się w nich para po czterdziestce. Mężczyzna miał na sobie kombinezon dozorczy, kobieta garsonkę. Mężczyzna był biały. Kobieta czarna.

— Mamo! Tato! — zawołał Łyżka.

Pobiegł na ganek i przywitali się jak właśnie wypuszczeni zakładnicy. Ema i ja patrzyliśmy na to w milczeniu. Poczułem ukłucie zazdrości, ale przede wszystkim brzemie odpowiedzialności. Patrzcie na tego dzieciaka i jego kochających rodziców. Nie mogę narażać na niebezpieczeństwo jego i Emy.

Łyżka wskazał nasz samochód. Jego rodzice uśmiechnęli się i nam pomachali. Odmachaliśmy.

— O, spójrz na nich — westchnęła Ema.

— Wiem — mruknąłem.

Znikli w domu.

— Jaki mamy plan? — zapytała.

— Oboje wracamy do domów. Poszperamy w sieci i zobaczymy, co znajdziemy o naszym wytatuowanym znajomym, Antoine LeMairze. Spotkamy się rano i przedyskutujemy to.

— Brzmi dobrze. — Położyła rękę na klawce. — Zobaczymy się jutro.

— Zaczekaj, mogę cię podwieźć.

— Nie trzeba.

— Mieszkasz tu blisko?

— Dosyć. Cześć.

— Poczekaj.

Nie czekała. Wysiadła z samochodu i poszła ulicą. Zastanawiałem się, czy za nią pojechać, ale zaraz skręciła w prawo i znikła w lesie. Mogłem wysiąść z samochodu i za nią pobiec, ale miałem swoje tajemnice, więc czy Ema nie miała prawa do swoich?

Niepokoiliem się, że wujek Myron może być w domu. Jak mu wyjaśnię, że wziąłem samochód? On wiedział, że mam lewe prawo jazdy. Kiedy znalazł mnie i mamę na parkingu przyczep kempingowych, pracowałem pod przybranym nazwiskiem w sklepie z artykułami biurowymi. Jednak nie sądzę, żeby spodobało mu się to, że nielegalnie pojechałem do salonu tatuażu czy gdziekolwiek indziej, skoro o tym mowa.

Wprowadziłem wóz do garażu, zjadłem coś i zszedłem do piwnicy. W Google odszukałem Antoine'a LeMaire'a, ale nie znalazłem niczego przydatnego — nawet strony na Facebooku czy konta na Twitterze. Właściwie niczego. Wprowadziłem adres do MapQuest. Na zdjęciu satelitarnym ta okolica wyglądała dość nędznie. Zauważyłem także, iż obok znajduje się lokal o nazwie Plan B Go-Go Lounge. Ściągnąłem brwi i znów zacząłem się zastanawiać, dokąd zaprowadzą mnie poszukiwania Ashley.

Spojrzałem na ścianę z dawnymi sławami koszykówki.

— Co to wszystko ma wspólnego z Ashley? — zapytałem głośno.

Plakaty nie odpowiedziały.

Na górze usłyszałem hałas, a potem głos Myrona, wołającego:

— Mickey!

— Odrabiam lekcje! — krzyknąłem.

To doskonale zakłęcie odpędzające niechcianych opiekunów. Gdy krzykniesz „odrabiam lekcje”, rodzice zawsze zostawiają cię w spokoju. To działa lepiej niż krzyż na wampiry.

Zapatrzyłem się na biurko. Mój laptop był sfatygowany od podróży. Ojciec kupił go trzy lata temu, kiedy byliśmy w Peru, a od tamtego czasu kilka razy okrążył świat. Zabawne, prawie nie mam rzeczy. Nauczył mnie, że są nieistotne. Ten sygnet nie należał do mojego ojca. Zegarek też nie. Takie przedmioty nie dają zadowolenia. Jak mi wytłumaczył: „Rzecz nigdy nie daje prawdziwej radości”.

Dziwne, ale jego laptop wydawał się bardziej osobisty, bardziej w jego typie niż jakiegokolwiek typowe drobiazgi. Spędzał przy nim dużo czasu. Pisał listy, opracowywał raporty, szukał informacji. Rozmyślałem o tym czasem, o jego palcach na klawiaturze.

Wszyscy troje mieliśmy swoje katalogi — ojciec, mama i ja — więc kliknąłem na jego folder. Ułożyłem pliki w porządku chronologicznym, zaczynając od ostatnio otwieranych. Przez chwilę dziwiłem się, że jeden z nich był otwierany zaledwie sześć tygodni temu, ale zaraz sobie przypomniałem, że wujek Myron przeszukiwał ten komputer, szukając jakichś wskazówek dotyczących losu brata.

Ostatni plik, który otworzył — ten najnowszy — zatytułowany *Wypowiedzenie*. Otworzyłem go i pojawił się dokument:

*Do: Schronisko Abeona*

*Drogi Juanie!*

*Z ciężkim sercem, stary Przyjacielu, rezygnuję z pracy w naszej cudownej organizacji. Kitty i ja zawsze będziemy ją wiernie wspomagali. Głęboko wierzymy w słuszność tej sprawy i byliśmy jej oddani, jednak, prawdę mówiąc, zyskaliśmy więcej niż ci młodzi ludzie, którym pomagaliśmy. Ty to rozumiesz. Zawsze będziemy wdzięczni.*

*Nadszedł jednak czas, aby wędrowni Bolitarowie gdzieś osiedli. Przyjąłem propozycję pracy w Los Angeles. Kitty i ja lubimy być nomadami, ale minęło sporo czasu, od kiedy zatrzymaliśmy się gdzieś dostatecznie długo, żeby zapuścić korzenie. Myślę, że nasz syn Mickey tego potrzebuje. On nigdy nie chciał takiego życia. Dotychczas wciąż podróżował, zdobywał i tracił przyjaciół, i nigdy nie miał miejsca, które mógłby nazwać domem. Teraz*

*potrzebuje normalności i szansy na rozwijanie swoich zainteresowań, szczególnie koszykarskich. Tak więc po długiej dyskusji Kitty i ja zdecydowaliśmy, że osiadziemy z nim gdzieś na trzy ostatnie lata szkoły średniej, a potem będzie mógł pójść na studia.*

*Potem... kto wie? Nigdy nie wyobrażałem sobie, że będę wiódł takie życie. Mój ojciec zwykł cytować stare przysłowie w jidysz: „Człowiek planuje, Bóg z tego żartuje”. Mamy z Kitty nadzieję wrócić pewnego dnia. Wiem, że nikt tak naprawdę nie opuszcza Schroniska Abeona. Wiem, że proszę o wiele, mam jednak nadzieję, że zrozumiesz. A tymczasem zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby ta przeprowadzka poszła gładko.*

*Twój serdeczny druh,  
Brad*

Przeczytałem ten list dwa razy, mając łzy w oczach. Usłyszałem jakieś odgłosy dochodzące z góry, ale je zignorowałem. Chyba wiedziałem większość z tego, o czym była mowa w tym liście. Nic mnie tak naprawdę nie zaskoczyło. Jednak patrząc na to, napisane czarno na białym, wyrażone tak dobitnie przez mojego nieżyjącego ojca, czułem, że serce mi się ścisza.

Owszem, znużyły mnie podróże. Chciałem normalnego życia w jednej społeczności, jakiegoś miejsca, gdzie mógłbym przez cały sezon grać w tej samej drużynie, sprawdzić moje umiejętności, porównać się z kolegami, zawrzeć długotrwałe przyjaźnie, chodzić do szkoły, może pójść na studia.

No cóż, gratulacje, Mickey. Masz, czego chciałeś.

Rozmyślałem, jak wyglądało nasze życie, kiedy ojciec pisał ten list. Byliśmy tacy wspaniali, no nie? Mama i tata szczęśliwi i zakochani. Teraz, dzięki moim życzeniom, ojciec nie żyje, a mama kocha tylko to, co w strzykawce. I prawda wygląda tak — niepodważalna prawda, jeśli spojrzeć na to uczciwie — że to wszystko jest moją winą.

Dobra robota, Mickey.

Na górze otworzyły się drzwi.

— Mickey! — zawołał Myron.

Otarłem oczy.

— Odrabiam lekcje!

W głosie Myrona usłyszałem śpiewną nutę zadowolenia.

— Masz gościa.

— Co?

Usłyszałem kroki na schodach. I znów wesoły głos Myrona:

— Przyszła do ciebie jakaś młoda dama.

Odwrociłem się. Myron zszedł po schodach z najszerszym, najbardziej głupkowskim i obciachowym uśmiechem, jaki widziałem na ludzkiej twarzy. Za nim podążała Rachel Caldwell.

— Cześć — rzuciła.

— Cześć.

To ja, pan romantyk.

Myron uśmiechał się do nas jak gospodarz telewizyjnego show.

— Chcecie, żebym wam zrobił prażoną kukurydzę, dzieciaki?

— Nie, dzięki — odparłem pośpiesznie.

— A tobie, mała damo?

Mała damo? Chciałem umrzeć.

— Nie, dziękuję, panie Bolitar.

— Możesz mi mówić Myron.

Stał, uśmiechając się jak najbardziej zadowolony z siebie głupek na świecie. Gapiłem się na niego, ciskając oczami błyskawice, żeby pojął aluzję. Załapał. Wreszcie.

— No dobrze, zostawię was samych. Chyba pójdę na górę.

Wskazał kciukiem schody, jakbyśmy nie wiedzieli, gdzie jest „góra”.

— Świetnie — mruknąłem, mając nadzieję, że w końcu się wyniesie.

Myron zrobił krok i znów się do nas odwrócił.

— Hm, jeśli wam to nie przeszkadza — a nawet gdyby przeszkadzało — to zostawię otwarte drzwi. Nie żebym wam nie ufał, ale sądzę, że rodzice Rachel nie byłiby zadowoleni...

— Świetnie! — przerwałem mu. — Zostaw drzwi otwarte.

— Nie żebym uważał, że muszę was pilnować czy coś takiego. Jestem pewny, że jesteście bardzo odpowiedzialnymi nastolatkami.

Nie wiedziałem, czy kiedykolwiek w życiu byłem bardziej udręczony.

— Dziękuję, Myronie. Cześć.

— Gdybyście zmienili zdanie co do prażonej kukurydzy...

— Dowiesz się o tym pierwszy — zapewniłem go. — Cześć.

Myron w końcu ruszył po schodach na górę. Odwróciłem się do Rachel, która tłumiała chichot.

— Przepraszam za mojego głupkowatego wujka.

— Uważam, że jest miły. Przy okazji, czy wszyscy w waszej rodzinie mają dwa metry wzrostu? Przypomnij mi, żebym nie zakładała butów na niskich obcasach, kiedy do ciebie przychodzę.

Roześmiałem się, może trochę zbyt głośno, ale potrzebowałem tego.

— W przyszłym tygodniu mam dwa sprawdziany — powiedziała Rachel — więc pomyślałam, że może szybciej zabrałibyśmy się do tej rewolucji francuskiej?

— Jasne.

Popatrzyła na piwnicę Myrona, jego plakaty, lampę lava (tak, miał taką) i puf.

— Fajny pokój.

— To pokój mojego wujka.

— Naprawdę?

— Tak. Mieszkam tu tylko chwilowo.

— A zwykle gdzie?

— Wszędzie.

— Bardzo niejasna odpowiedź — stwierdziła Rachel.

— Staram się być tajemniczy.

— Postaraj się bardziej.

Podobał mi się sposób, w jaki to powiedziała.

— A więc, tajemniczy człowieku, co robiliście wczoraj przy szafce twojej dziewczyny?

O mało nie powiedziałem: „Tak naprawdę to ona nie jest moją dziewczyną”, ale się powstrzymałem.

— Tylko coś sprawdzaliśmy.

— Co sprawdzaliście?

— Znasz Ashley? — zapytałem.

— Nie, właściwie nie.

Nie wiedziałem, jak dużo jej powiedzieć. Rachel patrzyła na mnie błękitnymi oczami, w które chłopak mógł wpaść i już nie wypłynąć. I być szczęśliwy.

— Ona rzuciła szkołę — zacząłem. — Chcę powiedzieć, że od tygodnia jej nie widziałem i nie miałem od niej żadnych wiadomości. Nie mam pojęcia, gdzie się podziała.

— I myślałeś, że w jej szafce...

— Sam nie wiem. Myślałem, że może znajdę tam jakiś ślad albo coś.

Wydawało się, że Rachel się nad tym zastanawia.



— Ashley też jest nowa w naszej szkole, zgadza się?

— Zgadza.

— No to może po prostu gdzieś się przeniosła?

— Może.

— Jak wam idzie na dole?! — zawołał Myron z góry. — Czy ktoś chce prażoną kukurydzę i sok jabłkowy?

Sok jabłkowy?

Rachel uśmiechnęła się do mnie. Poczulem, że się czerwienię.

— Mickey! — zawołał znowu Myron.

— Odrabiamy lekcje!

Późnym wieczorem, kiedy miałem położyć się spać, dostałem SMS.

Ema: *możesz wyjść?*

Ja: *Tak. Co jest?*

Ema: *Widziałam coś w lesie przy domu Nietoperzycy. Myślę, że powinniśmy to sprawdzić.*

Teraz? — pomyślałem, ale czy jakaś inna pora byłaby lepsza? Chyba potrzebujemy osłony ciemności, ponieważ nie wiedziałem, czy w dzień zdołalibyśmy niepostrzeżenie dostać się na podwórko. Włożyłem dres, wziąłem latarkę i ruszyłem do frontowych drzwi.

Kiedy złapałem klamkę, usłyszałem za plecami głos:

— Dokąd się wybierasz? To był Myron.

— Wychodzę.

Spojrzał demonstracyjnie na zegarek.

— Jest późno.

— Wiem.

— A rano idziesz do szkoły.

Nienawidziłem, kiedy wujek starał się odgrywać rodzica.

— Dzięki za przypomnienie. Nie będę długo.

— Myślę, że powinieneś mi powiedzieć, dokąd idziesz.

— Chcę się tylko z kimś spotkać. — Miałem nadzieję, że na tym się skończy. Niestety.

— Z tą Rachel, która tu była?

Musiałem zdusić to zarodku.

— Kiedy zgodziłem się tutaj zostać, zawarliśmy umowę. Jej częścią było, że nie będziesz się wtrącał w moje sprawy.

— Nigdy nie zgodziłem się na to, że będę ci pozwalał wychodzić z domu o każdej porze.

— Taak, tak jakbyś się zgodził. Chcę się tylko z kimś spotkać. To nic wielkiego.

Wybiegłem, zanim zdążył zaprotestować. Wiedziałem, że Myron stara się postępować właściwie, ale, ludzie, to niewłaściwy facet.

Znalazłem Emę przecznicę od domu Nietoperzycy.

— Jak ci się udało wyjść tak późno z domu? — zapytałem.

— Co?

— Masz czternaście lat i wychodzisz, kiedy chcesz. Czy twoi rodzice się nie wściekają?

— Pisziesz moją biografię czy co? — warknęła Ema.

— Dobrze — mruknąłem.

— Przepraszam, to była słaba gadka.

— Ta o biografii.

— Wiem. Byłam zabawniejsza. No wiesz, zanim zaczęłam z tobą przestawać.

Odwróciliśmy się powoli i popatrzyliśmy na dom Nietoperzycy. Krótco mówiąc: wyglądał upiornie. Wszystkie okna były ciemne poza jednym, narożnym na piętrze. Domyśliłem się, że to jej sypialnia. Czy o tej porze u starszej pani wszystkie światła nie powinny już być pogaszone? Co Nietoperzyca robi o tak późnej godzinie? Wyobraziłem ją sobie samą, leżącą w łóżku, czytającą, rzucającą zaklęcia albo pożerającą małe dzieci.

Ludzie, powinienem wziąć się w garść.

— No to co chciałaś sprawdzić? — zapytałem Emę.

— Kiedy chowałam się w lesie przed tym łysym facetem, zauważyłam coś za garażem.

— Co?

— Nie wiem dokładnie. — Zastanawiała się, co robić. — Wyglądało to jak ogród albo coś takiego. I wydawało mi się, że widziałam... — Ema umilkła i przełknęła ślinę. — Wydawało mi się, że widziałam nagrobek.

Noc była gorąca i duszna, ale nagle przeszedł mnie dreszcz.

— Taki jak na grobie?

— Nie wiem. Mógł to być zwykły kamień albo coś. Dlatego pomyślałam, że powinniśmy to sprawdzić.

Zgodziłem się. Ja też chciałem sprawdzić garaż. Zastanawiałem się, co robił tam ten samochód? Jeśli po prostu przyjechali w odwiedziny do Nietoperzycy — co wydawało mi się nieprawdopodobne — to dlaczego nie zostawili auta na dworze? Po co zadawać sobie trud i wprowadzać je do tego małego garażu, który ledwo może pomieścić jeden pojazd?

Wróciłem myślami do mojego ostatniego spotkania z mężczyzną o ogolonej głowie.

„Czy mój ojciec żyje?”

„Porozmawiamy”.

Masz rację, facet, porozmawiamy. Jednak nie zamierzałem siedzieć na tyłku i czekać na tę chwilę. Weszliśmy do lasu za domem Nietoperzycy. Mieliśmy problem z latarkami. Jeśli je zapalimy, ktoś może zobaczyć i wezwać policję. Jeśli ich nie zapalimy, no cóż, nie będziemy niczego widzieli. Na razie były zgaszone, zamierzaliśmy je zapalić, kiedy podejdziemy bliżej.

Uliczne latarnie zapewniły nam wystarczające oświetlenie, gdy zbliżyliśmy się do skraju lasu. Znów zdziwiło mnie to, jak blisko drzewa podchodzą do tylnych drzwi Nietoperzycy. Na tyłach domu światła też były zgaszone. Podkrałem się do kuchennych drzwi.

— Co ty robisz? — syknęła Ema.

Dobre pytanie. Przecież nie zamierzam znów się włamać, no nie? A już na pewno nie tej nocy. Jednak coś mnie tam przyciągało. Nie wiem co. Pochyliłem się i zajrzałem do okienka piwnicy. Tam też było zupełnie ciemno. Ponadto zasłony we wszystkich oknach były szczelnie pozaciągane. Nic nie było przez nie widać.

Pomyślałem o mojej ostatniej wizycie w tym domu, o tej starej fotografii i takim samym motyłu, jakiego widziałem na tabliczce na grobie mojego ojca. I o świetle palącym się w piwnicy.

Zastanawiałem się, co też tam jest? A skoro o tym mowa, co jest na górze, w pokoju, w którym jeszcze pali się światło?

— Mickey?

To była Ema.

— Gdzie jest ten ogród? — spytałem szeptem.

— Za garażem. Tędy.

Weszliśmy metr między drzewa i przystanęliśmy. Było po prostu zbyt ciemno. Ledwo widziałem swoją wyciągniętą rękę. Musieliśmy zaryzykować. Wyjąłem latarkę i skierowałem światło w dół. Kiedy mijaliśmy garaż, próbowałem zajrzeć do środka, ale nie miał okien.

— To tam — szepnęła Ema.

Szybko obejrzałem się za siebie. Wszystkie okna wychodzące na tyły domu Nietoperzycy były ciemne. Zastanawiałem się, czy w sypialni na piętrze wciąż pali się światło. Może Nietoperzyca zasnęła? A może zasnęła kilka godzin temu i po prostu zapomniała je zgasić. A może umarła i dlatego go nie wyłączyła?

Ale kombinujesz, Mickey!

Przywarliśmy do bocznej ściany garażu i po omacku odnajdywaliśmy drogę. Kiedy dotarliśmy do tylnego narożnika, zapaliłem latarkę.

Co do...

Ema miała rację, tam był ogród. Niewiele wiem o roślinach i kwiatach, ale widziałem, że ten był dobrze utrzymany i zaskakujący. Wśród zieleni lasu stanowił eksplozję starannie dobranych kolorów. Niski płotek okalał obszar około pięciu metrów na pięć. Środkiem biegła ścieżka, a po bokach rosły piękne kwiaty. Na końcu ścieżki było coś, co zdecydowanie wyglądało na nagrobek.

Na moment znieruchomieliśmy. Wydawało mi się, że słyszę dobiegającą z domu muzykę. Cichą. Rockową. Spojrzałem na Emę. Ona też ją słyszała. Spojrzeliśmy w kierunku domu Nietoperzycy. Światła wciąż były zgaszone, jednak ta muzyka zdecydowanie dobiegała stamtąd. Ema popatrzyła na nagrobek.

— To grób — stwierdziła. — Pewnie jakiegoś zwierzęcia, prawda?

— Prawda — zgodziłem się trochę zbyt skwapliwie.

— Chyba jednak powinniśmy lepiej mu się przyjrzeć.

— Prawda — powtórzyłem.

Czułem, jak uginają się pode mną kolana. Ruszyłem pierwszy. Podeszliśmy do płotka i przeskoczyliśmy go. Przeszliśmy wąską ścieżką i stanęliśmy przed nagrobkiem. Pochyliłem się. Ema również. Muzyka wciąż była cicha, ale teraz zdołałem rozpoznać kilka słów.

*Moja jedyna miłości,  
Jutro nigdy nie będzie nasze...*

Utwór rockowy. Głos brzmiał znajomo — może Gabriel Wire z HorsePower? — ale jeszcze nigdy nie słyszałem tej piosenki. Otrząsnąłem się i oświetliłem latarką szary nagrobek. Przez moment — zaledwie ułamek sekundy — przemknęła mi przez głowę upiorna myśl, że zobaczę na nim imię Ashley, że ktoś zabił ją i tu pochował, i to będzie koniec moich poszukiwań. Jak powiedziałem, ta myśl trwała zaledwie ułamek sekundy. Jednak przypawiła mnie o dreszcz.

Promień światła latarki omiótł górną część nagrobka. Pierwsze spostrzeżenie: kamień był stary i zmurszały. Jeśli leży pod nim jakieś zwierzę, to zakopano je tu dawno temu.

Powoli przesunąłem snop światła w dół. Drugą rzeczą, którą zauważyłem, był — no cóż — jakiś napis. Zapewne epitafium. Przeczytałem je raz, potem drugi, i nadal nie wiedziałem, jak to rozumieć.

POZWÓL NAM W TRUDZIE POWIĘKSZAĆ  
NASZE SERCA,  
W MIARĘ JAK SIĘ STARZEJEMY,  
GDYŻ ROZŁOŻYSTY DĄB DAJE  
LEPSZE SCHRONIENIE

— Rozumiesz to? — zapytała Ema.

Słowo „schronienie” było wyryte nieco większymi literami. Dlaczego? Znów pomyślałem o moim ojcu. O liście, w którym rezygnował z pracy w Schronisku Abeona...

Dającym schronienie.

Przypadek?

Poświeciłem niżej.

TU LEŻY E.S.  
UTRACONE DZIECIŃSTWO DZIECI

— „Utracone dzieciństwo dzieci” — przeczytała na głos Ema. — Co to, do licha, znaczy?

— Nie wiem.

— Kim był E.S.?

Pokręciłem głową.

— Może jej pies?

— Pies, którego dzieciństwo straciły dzieci? Słuszna uwaga. Ema ma rację, nie widać w tym sensu.

Poświeciłem jeszcze niżej, tuż nad ziemią. A tam widniał niewielki napis:

A30432

Krew zastygła mi w żyłach.

— Skąd ja znam ten numer? — zastanawiała się Ema.

— To numer rejestracyjny tego czarnego samochodu.

— Och, słusznie. — Pokręciła głową. — Do cholery, dlaczego widnieje na tym nagrobku?

Nie miałem pojęcia.

— Może to jakaś data? — podsunąłem.

— Data zaczynająca się od litery A?

— Cyfry. Trzy może oznaczać marzec. Czwartego, tysiąc dziewięćset trzydziestego drugiego roku.

Ema ściągnęła brwi.

— Myślisz?

Prawdę mówiąc, nie, wcale tak nie myślałem. Stałem zdumiony, a Ema obeszła nagrobek, przyświecając sobie wyświetlaczem komórki. Z domu wciąż płynęły dźwięki muzyki. Było po północy.

Która starsza pani puszcza po północy muzykę rockową?

Taka, która wciąż słucha nagrań z winylowych krążków. Taka, która ma dziwny nagrobek na porośniętym lasem podwórku za domem. I która miewa dziwnych gości jeżdżących czarnym samochodem z numerem rejestracyjnym, który jest wyryty na nagrobku. Taka, która powiedziała nastoletniemu chłopcu, że jego ojciec żyje.

— Co to? — spytała Ema.

Gwałtownie wróciłem do rzeczywistości.

— Co takiego?

— Z tyłu. — Wskazała tył nagrobka. — Tam jest wyryty jakiś znak.

Podszedłem powoli, ponieważ już wiedziałem. I kiedy znalazłem się za grobowcem i oświetliłem jego tył, wcale nie byłem zaskoczony.

Motyl ze ślepiami na skrzydłach.

Ema westchnęła. Muzyka dobiegająca z domu ucichła. Tak po prostu. Jakby ktoś nacisnął wyłącznik w momencie, kiedy mój wzrok padł na tajemniczy symbol.

Ema popatrzyła na mnie i z mojej twarzy wyczytała chyba coś niepokojącego.

— Mickey?

Nie, nie byłem zaskoczony. Już nie. Teraz byłem zły. Chciałem wyjaśnić. I zamierzałem je uzyskać, choćby nie wiem co. Nie chciałem czekać, aż szanowny pan ogolony łeb z brytyjskim akcentem raczy się ze mną skontaktować. Ani czekać, aż Nietoperzyca przyleci i rzuci następną tajemniczą wzmiankę. Do licha, nie zamierzałem czekać nawet do rana.

Chciałem otrzymać odpowiedzi natychmiast.

— Mickey?

— Idź do domu, Emo.

— Co takiego? Żartujesz, prawda?

Odwrociłem się i pomaszerowałem w kierunku domu. Wyjąłem portfel i zacząłem szukać w nim karty kredytowej, żeby znów otworzyć drzwi.

— Dokąd idziesz? — spytała za moimi plecami Ema.

— Wchodzę tam.

— Nie możesz... Mickey?

Nie zatrzymałem się. Tak, chciałem znów włamać się do tego domu. Chciałem go przetrząsnąć i przeszukać piwnicę, a jeśli będę musiał wejść po schodach na górę i wdrzeć się do sypialni Nietoperzycy, żeby uzyskać wyjaśnienia, no cóż, zrobię i to.

— Mickey, wyluzuj.

— Nie mogę.

Ema złapała mnie za rękę. Odwróciłem się.

— Po prostu odpuść sobie, dobrze?

Delikatnie strząsnąłem jej dłoń.

— Ten motyl, czy cokolwiek, do licha, to jest, znajdował się na zdjęciu w domu Nietoperzycy — na fotografii, która ma ze czterdzieści czy pięćdziesiąt lat. I widniał na tabliczce na grobie mojego ojca. Nie będę czekał, Emo. Chcę usłyszeć wyjaśnienia natychmiast.

Podszedłem do tylnych drzwi i przygotowałem kartę. Spróbowałem wsunąć ją w szparę tak jak poprzednio.

Nic z tego.

Drzwi miały nowy zamek i klamkę oraz stalowe wzmocnienia. Obejrzałem się na Emę.

— Szybki jesteś. I co teraz?

— Teraz sobie pójdiesz.

Udała, że ziewa.

— Nie, nie sędzę, żeby tak się stało.

Wzruszyłem ramionami.

— W porządku. Sama się o to prosiłaś.

Kiedy zapukałem do drzwi, Ema jęknęła głośno i cofnęła się o dwa kroki.

Nikt nie otwierał. Przyłożyłem ucho do drzwi i nasłuchiwałem. Cisza. Załomotałem jeszcze mocniej, a oprócz tego zawołałem:

— Hej! Nietoperzycy! Otwórz! Otwieraj natychmiast!

Ema próbowała mnie powstrzymać. Zignorowałem ją. Kopałem w drzwi. Waliłem w nie pięściami. Wzmacniajcie je sobie stalowymi okuciami. Nieważne. Zamierzam dostać się do środka i uzyskać wyjaśnienia.

Nagle z boku uderzył mnie szeroki strumień światła.

Wiem, że światło nie „uderza”, ale tak to odczułem. Zapaliło się tak nagle i było tak jasne, że odskoczyłem i zasłoniłem się rękami jak przed napastnikiem. Po prawej usłyszałem jakiś szmer i uświadomiłem sobie, że Ema ucieka.

— Nie ruszaj się! — krzyknął ktoś.

Nie ruszałem się. Nie wiedziałem, co robić. Zastanawiałem się, czy to facet z ogoloną głową, ale nie, ten głos nie miał brytyjskiego akcentu. Światło się przybliżyło. Usłyszałem kroki. To nie był tylko jeden facet, ale dwóch lub trzech.

— Hej, moglibyście zgasić to światło? — spytałem.

Światło nadal świeciło mi w twarz, zbliżając się do mnie. Zamknąłem oczy. Pomyślałem, że może powinienem uciekać. Nie wiedziałem kto to. Byłem szybki. Mogłem uciec, no nie? Potem jednak pomyślałem o Emie. Gdybym zaczął uciekać, mogliby ją usłyszeć i zacząć gonić. Mogliby ją złapać. A teraz, kiedy całą uwagę skupiają na mnie, Ema jest bezpieczna.

— Nie ruszaj się — powtórzył głos, teraz kilka kroków ode mnie.

Gdy zrobił kolejny krok, usłyszałem szum radia lub krótkofalówki, a potem rozmowę dwóch mężczyzn. Zza ich pleców dobiegały dźwięki innych radiotelefonów. Oświetlił mnie drugi strumień światła.

— No, no, no, co my tu mamy? Czy to następna próba włamania, Mickey?

Teraz rozpoznałem ten głos. Komendant policji Taylor. Ojciec Troya.

— Nie włamywałem się. Pukałem.

— Pewnie. A ta karta w twojej ręce to co? Hm.

Podszedł do niego drugi policjant.

— Pomóc ci, szefie?

— Och, myślę, że wszystko jest pod kontrolą. Odwróć się i załóż ręce do tyłu.

Zrobiłem to. Pewnie mogłem się tego spodziewać, ale nagle poczułem zatrząskujące się na moich przegubach kajdanki. Komendant Taylor nachylił się do mnie.

— Słyszałem, że zniecka napadłeś na mojego chłopaka — szepnął.

— To źle pan słyszał. Czepiał się młodszego kolegi i oberwał.

Komendant Taylor trochę za mocno szarpnął mnie za ramiona. Zaboląło. Wyprowadził mnie zza budynku. Zobaczyłem dwa stojące na ulicy radiowozy. Ruszyliśmy w ich stronę. Tylne drzwi jednego otworzyły się. Komendant Taylor położył rękę na mojej głowie i wepchnął mnie do środka. Popatrzyłem na dom Nietoperzycy, na okno sypialni na górze, w którym nadal paliło się światło.

Zasłona się poruszyła... i nagle zobaczyłem twarz Nietoperzycy.

O mało nie wrzasnąłem.

Jakimś cudem, nawet z tej odległości i zza szyby radiowozu, widziałem, że patrzyła na mnie, spoglądając mi w oczy. Jej wargi się poruszały. Raz po raz powtarzała to samo, jak mantrę. Obserwowałem ją, gdy komendant Taylor siadał z przodu, na fotelu pasażera. Nietoperzyca powtarzała te same słowa. Usiłowałem je zrozumieć.

Samochód ruszył. Odjeżdżaliśmy. Nietoperzyca zaczęła szybciej poruszać wargami, jakby próbowała mi coś powiedzieć, zanim zniknę jej z oczu. Gdy to robiła, kiedy znów wymówiła te dwa słowa, wydało mi się, że rozumiałem to, co tak rozpaczliwie próbowała mi powiedzieć:

— Ratuj Ashley.

Wyciągnął mnie Myron.

Siedziałem w celi aresztu. Gliniarz, który otwierał drzwi, miał tak głupią minę, jakby nie mógł uwierzyć, że komendant Taylor naprawdę mnie tam wpakował. Myron chyba chciał mnie uściskać, ale widocznie wyczuł, że byłoby to niewłaściwe. Zamiast tego tylko klepnął mnie w ramię.

— Dziękuję — wymamrotałem.

Myron skinął głową. Kiedy wychodziliśmy, drogę zastąpił nam komendant Taylor. Myron wysunął się naprzód, osłaniając mnie. Spoglądali na siebie przez długą jak wieczność chwilę. Przypomniałem sobie moje poprzednie spotkanie z komendantem policji, przy domu Kentów. „Wygadany. Tak samo jak twój wujek”.

— Teraz, kiedy jest przy nim dorosła osoba — rzekł w końcu Taylor — zamierzam zadać mu kilka pytań.

— Jakich? — chciał wiedzieć Myron.

Nie tylko widziałem ich wzajemną niechęć, ale wręcz poczułem.

— Było włamanie do domu Kentów. Twój bratanek został znaleziony w pobliżu miejsca przestępstwa. Chcemy go o to zapytać. A także o dzisiejszą próbę włamania.

— Włamania? — powtórzył Myron.

— Tak.

— Ponieważ pukał do drzwi i nawet nie wszedł do środka?

— Powiedziałem, że to była próba włamania. A także wtargnięcie.

— Nie — rzekł Myron. — Nic podobnego. Pukał do drzwi.

— Nie ucz mnie prawa.

Myron tylko pokręcił głową i ruszył do drzwi. Taylor znów zastąpił mu drogę.

— Dokąd to? Chyba jasno się wyraziłem, że chcę zadać twojemu bratankowi kilka pytań.

— On nie będzie z tobą rozmawiał.

— Kto tak mówi?

— Tak mówi jego adwokat.

Komendant Taylor spojrzał na Myrona jak na coś, co pies zostawił na chodniku.

— Ach, racja. Kiedy diabli wzięli twoją sportową karierę, zostałeś głównym prawnikiem.

Myron uśmiechnął się drwiąco.

— Wychodzimy.

— Tak zamierzacie to rozegrać? Więc postawię mu zarzut. Może zatrzymam go tu na noc.

Myron się obejrzał. W drzwiach aresztu stali dwaj policjanci. Mieli spuszczone wzrok. Oni też nie chcieli tak tego rozgrywać.

— Bardzo proszę — powiedział Myron. — Sąd cię wyśmieje.

— Naprawdę tego chcesz? — zapytał Taylor.

Nie, pomyślałem.

— Mój bratanek nie popełnił żadnego przestępstwa. — Myron podszedł do komendanta Taylora. — Wiesz, co jest przestępstwem, Eddie?

Komendant Taylor — domyśliłem się, że ma na imię Eddie — nie odpowiedział.

— Obrzucenie naszego domu jajkami, kiedy byłeś w pierwszej klasie. Pamiętasz to, Eddie? Policja cię zwinęła, ale nie zawlekli cię na posterunek, tylko odwieźli do domu. Albo rozbijanie butelek po piwie o ścianę szkoły, na czym przyłapał cię komendant Davis. Wielki twardy facet tłukący butelki, dopóki nie zjawił się Davis. Pamiętasz, jak płakałeś, kiedy...

— Zamknij się!



— ...zagroził, że wpakuje cię do radiowozu? — Myron odwrócił się do mnie. — Mickey, czy ty płakałeś?

Pokręciłem głową.

— Cóż, komendant Taylor płakał. Jak trzyletnie dziecko. Och tak, pamiętam to, jakby to było wczoraj. Płakałeś...

Taylor był czerwony jak wóz strażacki.

— Zamknij się!

Dwaj pozostali policjanci uśmiechali się drwiąco.

— Jednak nawet wtedy komendant Davis tylko odwiózł cię do domu — ciągnął Myron. — Nie skuł cię, nie wpakował do celi, ponieważ żywił zadawnioną urazę do twojego wujka, co jest zwyczajnym tchórzostwem.

Taylor odzyskał mowę.

— Myślisz, że o to chodzi?

Myron podszedł jeszcze bliżej.

— Ja wiem, że o to chodzi.

— Cofnij się, Myronie.

— Bo co?

— Chcesz zrobić sobie wroga z komendanta policji?

— Wygląda na to — odparł Myron, obchodząc ze mną Taylora i zmierzając do drzwi — że już go mam.

Bez słowa skierowaliśmy się na parking.

— Czy złamałeś w jakiś sposób prawo? — zapytał Myron, kiedy wsiedliśmy do samochodu.

— Nie.

— Pytałeś mnie o dom Nietoperzycy, a potem złożyłeś jej nocną wizytę.

Nie odpowiedziałem.

— Czy jest coś, co chciałbyś mi powiedzieć?

Zastanowiłem się.

— Nie, nie teraz.

Myron skinął głową.

— W porządku.

To wszystko. Nie zadawał już więcej pytań. Zapalił silnik i pojechaliśmy do domu w milczeniu, które tym razem nie wydawało się niezręczne.

\* \* \*

Tej nocy, gdy zacząłem śnić, mój ojciec żył. Trzyma piłkę do koszykówki i uśmiecha się do mnie.

— Hej, Mickey.

— Tata?

Kiwa głową.

Jestem taki szczęśliwy, pełen nadziei. Prawie płaczę z radości. Biegnę do niego, ale jego nagle już tam nie ma. Jest za mną. Znow biegnę do niego, a on znow znika.

Teraz zaczynam rozumieć. Dociera do mnie, że to może być sen, i kiedy się obudzę, mój ojciec znow będzie martwy. Wpadam w panikę. Zaczynam poruszać się szybciej. Dobiegam do niego i go obejmuję. Ściskam z całej siły i przez moment jest to tak rzeczywiste, że myślę sobie: Nie, to się dzieje naprawdę! On żyje! Wcale nic umarł!

Jednak kiedy tak myślę, on zaczyna wymykać mi się z rąk. Za nim widzę sanitariusza o jasnych jak piasek włosach i zielonych oczach. Znow posyła mi to ciężkie spojrzenie. Krzyczę „nie!” i jeszcze mocniej obejmuję ojca, przyciskając twarz do jego piersi. Zaczynam

płakać w jego ulubioną niebieską koszulę. Jednak ojciec już zaczyna znikać. Razem z uśmiechem. Nie! — krzyczę.

Zamykam oczy i trzymam go jeszcze mocniej, ale to na nic. Jakbym próbował przytrzymać dym. Czuję, że zaczynam się budzić.

— Proszę, nie opuszczaj mnie — mówię głośno.

\* \* \*

Obudziłem się w pokoju Myrona spocony, oddychając ciężko. Dotknąłem twarzy i poczułem łzy. Przełknąłem ślinę i wstałem.

Wziąłem prysznic i poszedłem do szkoły. Na zajęciach z panią Friedman znów pracowaliśmy z Rachel nad wypracowaniem o rewolucji francuskiej.

— Co się stało? — zapytała w pewnej chwili Rachel.

— Nic. Dlaczego pytasz?

— To było już chyba piąte ziewnięcie.

— Przepraszam.

— Dziewczyna może wpaść w kompleksy.

— To nie twoje towarzystwo — zapewniłem. — Po prostu źle spałem.

Spojrzała na mnie wielkimi oczami. Miała nieskazitelną cerę. Pragnąłem dotknąć jej twarzy.

— Mogę zadać ci osobiste pytanie?

Nieznacznie skinąłem głową.

— Dlaczego mieszkasz u wujka?

— Pytasz, dlaczego nie mieszkam z rodzicami?

— Tak.

Nie odrywałem oczu od biurka i obrazu zadowolonego z siebie Robespierre'a, namalowanego na początku 1794 roku. Zastanawiałem się, czy ten zadowolony z siebie facet wyobrażał sobie, co przyniosą następne miesiące.

— Moja matka jest na odwyku — wyznałem. — A mój ojciec nie żyje.

— Och — powiedziała Rachel, podnosząc dłoń do ust. — Przepraszam, nie chciałam wtykać...

Zamilkła. Podniosłem głowę i zdołałem się uśmiechnąć.

— W porządku.

— To o nich śniłeś? O mamie i tacie?

— O ojcu — powiedziałem, sam się dziwiąc, że to mówię.

— Mogę zapytać, jak umarł?

— Zginął w wypadku samochodowym.

— I to ci się śniło?

Dość, pomyślałem. Jednak odpowiedziałem:

— Byłem przy tym.

— Widziałeś to?

— Tak.

— Byłeś w tym samochodzie?

Kiwnąłem głową.

— Zostałeś ranny?

Miałem połamane zębra i przeleżałem trzy tygodnie w szpitalu, jednak ból był niczym w porównaniu z widokiem umierającego ojca.

— Lekko — odparłem.

— Co się stało?

Wciąż miałem to przed oczami. Jechaliśmy samochodem, śmialiśmy się, mieliśmy włączone radio i nagle ten trzask, szarpnięcie, krew, syreny. Ocknąłem się unieruchomiony, nie mogąc się ruszyć. Widziałem, jak sanitariusz o jasnoblond włosach zajmował się moim zbyt nieruchomym ojcem. Byłem uwięziony w fotelu obok niego, a strażak usiłował mnie wyciągnąć, rozcinając blachę, a wtedy ten jasnowłosy sanitariusz spojrział na mnie i pamiętam jego zielone oczy z żółtymi obwódkami wokół źrenic — te oczy zdawały się mówić, że nic już nie będzie takie jak przedtem.

— Hej, w porządku — powiedziała łagodnie Rachel. — Jesteśmy partnerami na historii, nie musisz obnażać przede mną duszy. W porządku?

Z wdzięcznością skinąłem głową, gdy zadzwonił dzwonek, odpędzając obraz jasnowłosego sanitariusza o zielonych oczach. Podczas lunchu opowiedzieliśmy z Ewą Łyżce o naszej nocnej wizycie u Nietoperzycy. Wyglądał na urażonego.

— Nie zabraliście mnie?

— Była druga w nocy — tłumaczyłem. — Myśleliśmy, że śpisz.

— Ja? Jestem z tych, co balują całą noc.

— Jasne — prychnęła Ema. — A przy okazji, czy śpisz w pizamce w stopki?

Łyżka ściągnął brwi.

— Powtórz, jak brzmiało to epitafium.

Ema wręczyła mu swoją komórkę. Sfotografowała nią nagrobek.

POZWÓL NAM W TRUDZIE POWIĘKSZAĆ  
NASZE SERCA,  
W MIARĘ JAK SIĘ STARZEJEMY,  
GDYŻ ROZŁOŻYSTY DĄB DAJE  
LEPSZE SCHRONIENIE.

— To cytat z Richarda Jeffriesa — powiedział po dwóch minutach Łyżka. — Dziewiętnastowiecznego angielskiego pisarza, autora esejów opisujących życie angielskiej wsi, książek o historii naturalnej i powieści.

Popatrzyliśmy na niego zdumieni.

— No co? Wpisałem ten cytat w Google i przeczytałem jego biografię w Wikipedii. Nie ma tam nic o utraconym dzieciństwie dzieci, więc nie wiem, o co w tym chodzi, nic mogę jeszcze poszukać.

— Dobry pomysł — pochwaliłem.

— Moglibyśmy spotkać się po szkole i pójść do biblioteki — zaproponowała Ema. — I możemy też sprawdzić, co znajdziemy o Nietoperzycy w miejskich archiwach.

— Dziś nie mogę — powiedziałem.

— Och?

— Mam mecz.

Nie chciałem wdawać się w szczegóły. Miałem plan. Pojadę autobusem do Newark, jak zwykle. Może nawet zagram z Tyrellem i całą bandą. Potem, gdy Ema i Łyżka będą bezpieczni tutaj, odwiedzę Antoine'a LeMaire'a w jego miejscu zamieszkania przy Plan B Go-Go Lounge.

Tak też zrobiłem. Zaraz po zakończeniu zajęć poszedłem na przystanek przy Northfield Avenue i wskoczyłem do autobusu sto sześćdziesiąt cztery. Najpierw wyjąłem komórkę. Miałem jedno zdjęcie Ashley w eleganckim sweterku i z nieśmiałym uśmiechem. Zapisałem je jako domyślny ekran, żebym łatwo mógł je wywołać, gdybym musiał je komuś pokazać.

Lekko mżyło, więc na boisko przyszło mniej graczy. Tyrella nie było. Jeden z chłopaków powiedział mi, że uczy się do jakiegoś ważnego sprawdzianu. Zaczęliśmy grać, ale deszcz się

wzmagał, więc przestaliśmy. Przebrałem się w szkolne ubranie i korzystając ze wskazówek, jakie znalazłem w sieci, poszedłem do miejsca zamieszkania Antoine'a LeMaire'a.

Deszcz padał coraz większy. Nie przeszkadzało mi to. Lubię deszcz. Urodziłem się w małej wiosce w prowincji Chiang Mai w północnej Tajlandii. Moi rodzice pomagali jednemu z górskich plemion zwanemu Lisu. Ich szaman — czarownik, zaklinacz, pełniący funkcję pośrednika pomiędzy światem widzialnym a światem duchów — podał mojemu ojcu listę rzeczy, które muszę zrobić w życiu. Jedną z nich było „tańczenie nago w deszczu”. Nie wiem, dlaczego zawsze mi się to podobało, ale spełniłem tę przepowiednię. Tańczyłem, chociaż nie ostatnio, ale od kiedy byłem dostatecznie duży, żeby zrozumieć ten spis, zawsze dziwnie lubiłem i leszcz.

Kiedy dotarłem pod podany adres, ze zdziwieniem zobaczyłem, że to nie jest obok Plan B Go-Go Lounge, ale w nim. Szukałem apartamentu na dachu, ale znalazłem tylko wejście do lokalu. Stał przed nim ogromny czarnoskóry mężczyzna. Była tam postrzępiona barierka z aksamitnego sznura i wielka, niegdyś różowa markiza. Na niej widniała namalowana sylwetka kobiety o bujnych kształtach. Drzwi były z przyciemnionego szkła z wyblakłym napisem. Głosił: **50 ŻYWYCH PIĘKNYCH DZIEWCZĄT TOPLES — ORAZ DWIE IIKZYDKIE I NIEŻYWE.**

Zabawne.

Wielkolud — bramkarz — nasrożył się i pokazał mi następny wyblakły napis: **NIELETNIM DO 21 LAT WSTĘP WZBRONIONY.**

Zamierzałem zapytać bramkarza, czy zna Antoine'a LeMaire'a, ale wydawało się to ryzykownym posunięciem. Wyjąłem portfel, a z niego podrobione prawo jazdy, według którego nazywałem się Robert Johnson i miałem dwadzieścia jeden lat. Bramkarz spojrzał na nie, potem na mnie i zapewne wiedział, że dokument jest podrobiony, ale nic go to nie obchodziło. Była siedemnasta, ale interes już kwitł. Ludzie wchodzili i wychodzili grupkami i falami. Najrozmaitsi — w dżinsach i flanelowych koszulach, w tenisówkach i roboczych buciorach, w garniturach, pod krawatami i w lakierkach. Niektórzy przyjacielsko poklepywali bramkarza, wchodząc lub wychodząc.

— Wejście kosztuje trzydzieści dolarów — oznajmił bramkarz.

Oo.

— Trzydzieści dolarów za sam wstęp?

Wielkolud skinął głową.

— W tym zimny bufet. Dzisiaj kuchnia teksasko-meksykańska.

Skrzywiłem się na samą myśl. Przepuścił mnie. Pchnąłem drzwi i powitała mnie ciemność. Dopiero po kilku sekundach moje oczy się z nią oswoiły. Przy kasie stała dziewczyna w bikini, z wyglądu niewiele starsza ode mnie. Dałem jej trzydzieści dolarów. Wręczyła mi talerz, ledwo na mnie spojrzawszy.

— Do bufetu — oznajmiła tytułem wyjaśnienia. — Tędy.

Wskazała zasłonę po prawej.

Spojrzałem na talerz. Był biały, z taką samą kobiecą sylwetką o bujnych kształtach, jaka znajdowała się na markizie, oraz dość oczywistym sloganem: „Plan B — idziesz tam, kiedy nie wypali Plan A”.

Zaschło mi w ustach. Zwolniłem kroku. Teraz coś wam wyznam: byłem zdenerwowany, ale również... no cóż... zaintrygowany. Jeszcze nigdy nie byłem w takim lokalu. Wiedziałem, że powinienem być ponad to, dojrzały i w ogóle, ale czułem się trochę jak bardzo niegrzeczny chłopiec i nawet mi się to podobało.

Muzyka była głośna i rytmiczna. Pierwsze, co zobaczyłem, to bankomat wydający pieniądze w piątkach, dziesiątkach lub dwudziestkach. Domyśliłem się, że to na napiwki dla tancerki. Mężczyźni okupowali bar przy uronie, przeważnie pijąc piwo, a kobiety tańczyły w butach na tak wysokich obcasach, że mogłyby służyć za szczudła. Starłem się nie gapić.

Niektóre tancerki były naprawdę piękne. Inne nie. Patrzyłem, jak pracują na napiwki. Napis głosił: **KLIENCI DOTYKAJĄCY TOWARU ZOSTANĄ USUNIĘCI**. Pomimo to mężczyźni bez wahania wpychali banknoty w stringi tancerek.

Za moimi plecami był bufet. Zerknąłem. Chipsy Doritos. Sznycel wołowy zanurzony w takiej ilości tłuszczu, jakby zalano go galaretą. Cały ten lokal, nawet po ciemku, nie tyle wyglądał, ile wydawał się brudny. Nie jestem bacillofobem, ale nawet bez tego ostrzeżenia nie miałem ochoty niczego dotykać.

I co teraz?

Znalazłem pustą lożę w ciemnym kącie. Ledwo usiadłem, a już podeszły do mnie dwie kobiety. Ta z bardzo głębokim dekoltem i włosami rudymi jak gaśnica usiadła przy mnie. Trudno było określić jej wiek. Mogła być dobrze po dwudziestce lub po trzydziestce, a nawet czterdziestoletnia. Stawiałem na to pierwsze. Drugą kobietą była kelnerka.

Ta, która usiadła, ruda jak gaśnica, uśmiechnęła się do mnie. Robiła, co mogła, żeby ten uśmiech wydawał się szczery, ale nie zdołała ukryć tego, że jest udawany i wygląda tak, jakby ktoś namalował go na jej twarzy. Nie sięgał jej czujnych oczu. Choć promienny i szeroki, był jednak najsmutniejszy, jaki w życiu widziałem.

— Jestem Candy — odezwała się.

— A ja M... hm, Bob. Jestem Bob.

— Jesteś pewny?

— Taak. Bob.

— Jesteś cudowny.

— Dzięki — mruknąłem.

Nawet kiedy jestem zdenerwowany, nawet w takich lokalach jak ten, zawsze potrafię rzucać gładkie teksty.

Candy nachyliła się trochę, starając się pokazać mi wszystko.

— Postawisz mi drinka?

— Co? — spytałem, bo jeszcze nie całkiem załapałem. — Chyba tak.

— Jesteś tu pierwszy raz?

— Tak. Właśnie skończyłem dwadzieścia jeden lat.

— To słodkie. Widzisz, klient zwyczajowo kupuje drinka dla siebie i dla mnie. Moglibyśmy obalić butelkę szampana.

— Ile by to kosztowało?

Jej uśmiech przygasł.

— Trzysta dolarów plus napiwek — powiedziała kelnerka.

Dobrze, że siedziałem w loży, bo gdyby to było krzesło, to na pewno bym z niego spadł.

— Hm, a może wypijemy po dietetycznej coli? — zaproponowałem. — Ile to kosztuje?

Teraz uśmiech znikł. Najwyraźniej już nie byłem cudowny.

— Dwadzieścia dolarów plus napiwek.

Czyli prawie wszystko, co miałem, ale skinąłem głową. Kelnerka zostawiła mnie z Candy. Ta przyglądała mi się uważnie.

— Po co tu przyszedłeś? — zapytała.

— O co ci chodzi?

— Gdybyś naprawdę skończył dwadzieścia jeden lat, przyszedłbyś tu z przyjaciółmi. Nie wyglądasz, jakbyś chciał tu być. Więc o co ci chodzi?

No i rozpracowała mnie, ale może tak było lepiej.

— Szukam kogoś — powiedziałem.

— Jak my wszyscy.

— Co?

Pokręciła głową.

— Kogo szukasz, skarbie?

— Niejakiego Antoine'a LeMaire'a.

Krew odpłynęła z jej twarzy.

— Znasz go?

Teraz była po prostu przerażona.

— Muszę iść — powiedziała.

— Zaczekaj. — Położyłem jej dłoń na ramieniu.

Strząsnęła ją energicznie, a ja przypomniałem sobie ostrzegawczy napis. Pospieszenie odeszła, a ja siedziałem, nie wiedząc, co robić. Niestety, decyzję podjęto za mnie. Ogromny bramkarz sprzed wejścia przeciskał się w moją stronę. Wyjąłem komórkę, zamierzając zadzwonić do kogoś, kogokolwiek, żeby mieć świadka, ale nie było zasięgu. Wspaniale.

Ogromny bramkarz nachylił się nade mną, zasłaniając resztki światła.

— Pozwól mi jeszcze raz obejrzeć twoje prawo jazdy.

Sięgnąłem do kieszeni i mu je podałem.

— Nie wyglądasz na dwadzieścia jeden lat — stwierdził.

— To dlatego, że tu jest tak ciemno: Na dworze było ciemno i wpuścił mnie pan, więc widocznie tyle mam.

Wydawało się, że cały marszczy się z dezaprobatą.

— Po co tu przyszedłeś?

— Zabawić się? — spróbowałem.

— Chodź ze mną.

Nic było sensu się spierać. Dwaj inni bramkarze stali kilka kroków za nim i nawet mając najlepszy dzień, nie załatwiłbym wszystkich trzech. A pewnie nawet jednego. Tak więc wstałem i na uginających się nogach ruszyłem do wyjścia. Moja wizyta tutaj okazała się bezowocna. A może nie? Najwyraźniej Antoine LeMaire tu bywa. Najwyraźniej jego nazwisko jest znane. Mogę wrócić do domu i spróbować inaczej...

Kiedy dotarłem do wyjścia, na moje ramię opadła olbrzymia dłoń.

— Nie tak szybko — warknął bramkarz. — Tędy.

Oho.

Trzymając rękę na moim ramieniu, poprowadził mnie długim korytarzem. Dwaj inni bramkarze szli za nami. Nic spodobało mi się to. Na ścianach wisiały zdjęcia „artystek”. Minęliśmy ubikacje, dwoje drzwi i skręciliśmy w lewo. Na końcu korytarza były jeszcze jedne drzwi. Zatrzymaliśmy się przed nimi.

Nie podobało mi się to.

— Chcę wyjść — powiedziałem.

Bramkarz nie odpowiedział. Wyjął klucz i otworzył nim drzwi. Wepchnął mnie do środka i zamknął je za nami. Znaleźliśmy się w jakimś biurze. Stało tu biurko, a na ścianach wisiały zdjęcia dziewczyn.

— Chcę wyjść — powtórzyłem.

— Może później — rzekł bramkarz.

Może?

Drzwi za biurkiem otworzyły się i wszedł niski żylasty mężczyzna. Miał na sobie błyszczącą koszulę z krótkimi rękawami, rozpiętą do pępka i odsłaniającą tonę złotych łańcuchów oraz innej tandetnej biżuterii. Na przedramionach przeżyły się grube węzły mięśni. Czy spotkaliście kiedyś kogoś takiego, że na sam jego widok ciarki przechodzą po plecach? Ten facet taki był. Nawet olbrzymi bramkarz, który było od niego o głowę wyższy i pięćdziesiąt kilogramów cięższy, cofnął się o krok. W pokoju zrobiło się cicho.

Ten niski żylasty facet miał wąską łasicowatą twarz i oczy, które mogę opisać tylko jako oczy psychopaty. Wiem, że nie należy oceniać ludzi po wyglądzie, ale nawet ślepy by zauważył, że ten facet jest bardzo niebezpieczny.

— Hej, cześć — rzucił. — Nazywam się Buddy Ray. A ty?

Lekko seplenił.

Przelknąłem ślinę.

— Robert Johnson.

Na widok uśmiechu Buddy'ego Raya dzieci z krzykiem uciekłyby do swoich matek.

— Miło mi cię poznać, Robercie.

Buddy Ray — nie wiedziałem, czy jest dwojga imion, czy przedstawił się imieniem i nazwiskiem — obejrzał mnie jak smakowity kąsek. Widać było, że z tym facetem coś jest nie tak. Wciąż oblizywał wargi. Zaryzykowałem i zerknąłem na wielkiego bramkarza. Nawet on wyglądał na zdenerwowanego w obecności Buddy'ego Raya.

Gdy Buddy Ray do mnie podszedł, poprzedził go kwaśny odór taniej wody kolońskiej, który nie zdołał zagłuszyć smrodu jego ciała, podążającego przed nim jak doberman na smyczy. Buddy Ray zatrzymał się tuż przede mną, w odległości najwyżej dwudziestu pięciu centymetrów. Wstrzymałem oddech i się nie cofnąłem. Ja też byłem od niego wyższy o głowę. Bramkarz znów zrobił krok do tyłu.

Buddy Ray odchylił głowę, patrząc na mnie, i znów się uśmiechnął. Potem, bez ostrzeżenia, z całej siły uderzył mnie w brzuch. Zgiąłem się wpół i powietrze ze świstem uszło mi z płuc. Osunąłem się na kolana, usiłując złapać oddech, ale na próżno. Miałem wrażenie, że olbrzymia dłoń trzyma moją głowę pod wodą. Nie mogłem oddychać. Całe moje ciało zaczęło domagać się tlenu, choćby jednego oddechu, ale nie mogłem go złapać. Upadłem na podłogę i zwinąłem się w kłębek.

Buddy Ray stanął nade mną. Jego oczy psychologa paliły się jak ślepia stwora z gry komputerowej.

— Powiedz mi, co wiesz o Antoinie LeMairze — powiedział spokojnie.

Zabulgotałem, ale nadal brakowało mi tchu. Bolały mnie płuca.

Buddy Ray kopnął mnie w bok czubkiem kowbojskiego buta.

Przetoczyłem się po podłodze, ledwo czując ból, ponieważ wciąż nie mogłem oddychać. Tylko o tym myślałem. Oddychać. Każda komórka mojego ciała domagała się tlenu. Musiałem wciągnąć powietrze do płuc.

Buddy Ray zwrócił się do olbrzymiego bramkarza:

— Podnieś go, Derrick.

— To tylko dzieciak, Buddy Ray.

— Podnieś go.

Powietrze. W końcu zdołałem złapać trochę powietrza. Wielkie łapska Derricka chwyciły mnie za koszulę pod łopatkami. Podniósł mnie bez trudu jak worek z praniem.

— Przytrzymaj go — polecił Buddy Ray.

Widziałem, że Derrickowi się to nie podoba, ale zrobił, co mu kazano. Przytrzymał moje ręce potężnymi łapami, Wykręcając je do tyłu tak, że mój brzuch i klatka piersiowa były zupełnie odsłonięte. Zacisnął chwyt, unieruchamiając mnie. Czułem, jak rozciągają się ścięgna moich stawów barkowych. Buddy Ray wciąż oblizywał wargi z niezdrowym rozbawieniem.

— Proszę — wykrztusiłem, gdy tylko odzyskałem oddech na tyle, by mówić. — Nie znam Antoine'a LeMaire'a. Ja też go szukam.

Buddy Ray wpatrywał się we mnie.

— Czy Robert Johnson to twoje prawdziwe nazwisko?

Nie wiedziałem, jak odpowiedzieć na to pytanie.

Sięgnął do mojej kieszeni i wyjął telefon komórkowy. Założę się, że tu znajdziemy twoje prawdziwe nazwisko i adres. — Znów się uśmiechnął. — I w każdej chwili będziemy mogli złożyć ci z Derrickiem wizytę.

Szarpnąłem się, ale to tylko rozzłościło Derricka. Buddy Ray włączył moją komórkę. Zastygł. Spojrzał na mnie z twarzą wykrzywioną grymasem wściekłości, a potem pokazał mi wyświetlacz telefonu.

Było na nim zdjęcie Ashley.

Buddy Ray zaczął się trząść.

— Gdzie ona jest?

— Nie wiem.

— Kłamiesz — warknął, nie podnosząc głosu. — Gdzie. Ona. Jest?

— Po to tu przyszedłem. Szukam jej.

— Przysłał cię tu Antoine?

— Przyszedłem sam.

Buddy Ray odetchnął głęboko kilka razy i nie podobało mi się to, co wyczytałem z jego twarzy. Spojrzał na Derricka.

— Powinniśmy zabrać go do lochu.

Do lochu?

Nawet Derrick wyglądał na wstrząśniętego, kiedy to usłyszał.

— No, nie wiem, szefie...

Buddy Ray zwrócił się do mnie:

— Oto, co się stanie — powiedział znów tym cichym, sepleniącym głosem. — Derrick cię przytrzyma, a ja znów uderzę cię w brzuch. Tym razem mocniej. Potem, gdy będziesz bardzo chciał zgiąć się i upaść na podłogę, Derrick cię nie puści. Później, jeśli nie zaczniesz gadać, zabierzemy cię do lochu.

Widząc mój przestrah, uśmiechnął się jeszcze szerzej.

— Zaczekaj — jęknąłem. — Ja nic nie wiem.

— Może tak, a może nie. Jednak muszę mieć pewność, no nie?

Zacząłem się szarpać, ale Derrick mocno mnie trzymał.

Buddy Ray nie spieszył się, napawając się chwilą. Znowu ubliżał wargi i wziął mosiężny kastet.

Zadrzałem.

— Hm, Buddy Ray? — odezwał się Derrick.

— Ty tylko go trzymaj.

Buddy Ray wsunął kastet na palce i powoli zacisnął pięść. Pokazał mi ją, jakby to było coś, czemu powinienem się uważnie przyjrzeć, zanim mnie uderzy. Nie wiedziałem, co robić. Próbowałem napiąć mięśnie brzucha, ale czy to mogło mi pomóc? Potem, uśmiechając się jak kretyn, Buddy Ray się zamachnął. Już miał mnie uderzyć, gdy otworzyły się drzwi za jego plecami, te, przez które przed chwilą wszedł. Wkroczyła tancerka w bikini.

— Buddy Ray?

— Wynoś się!

Teraz albo nigdy.

Jak już wspominałem, ćwiczyłem sztuki walki. W większości szkół uczą, jak uderzać pięścią lub kantem dłoni, jak kopać, rzucać, dusić i wymykać się przeciwnikowi. Jednak w walce najważniejszy jest wybór odpowiedniej taktyki. Trzeba odwrócić uwagę, zwiesić, zaskoczyć i uderzyć w odpowiedniej chwili. Dziewczyna, która utworzyła drzwi, na sekundę odwróciła ich uwagę.

Musiałem uderzyć natychmiast.

Bramkarz Derrick nadal trzymał mnie w morderczym uścisku, ale byliśmy prawie równi wzrostem. Pochyliłem głowę, aż dotknąłem brodą piersi, a potem z całej siły poderwałem ją do tyłu. Niczym kula armatnia uderzyła go w nos. Usłyszałem chrupnięcie, jakby ktoś nadepnął na suche ptasie gniazdo.



Derrick krzyknął i mnie puścił. Nie poszedłem za ciosem. Nie musiałem. Ważniejsze było to, żeby nie stać w miejscu. Nie wahać się. Tancerka jeszcze nie zamknęła za sobą drzwi. Błyskawicznie — zanim Buddy Ray zdążył zareagować, a Derrick dojść do siebie — przeskoczyłem przez biurko, wyrwałem mój telefon zaskoczonemu Buddy'emu Ray owi i pobiegłem do drzwi.

Bez wahania.

Tancerka stała mi na drodze. To oznaczało, że ją odepchnę, jeśli będę musiał. Jedna stracona sekunda mogła oznaczać różnicę pomiędzy ucieczką a złapaniem. Nie chciałem skrzywdzić tej dziewczyny, ale po prostu nie było tam wystarczająco dużo miejsca dla dwóch osób. Na szczęście dla nas obojga zauważyła mnie i się odsunęła. Przemknąłem do drzwi i znalazłem się w czymś, co można by nazwać przebieralnią. Były tu kostiumy, boa oraz mnóstwo tancerek stłoczonych przed jednym lustrem. Spodziewałem się, że na mój widok zaczną wrzeszczeć, ale ledwo na mnie spojrzały.

— Zatrzymać go!

To krzyczał Buddy Ray.

Nie zatrzymując się, przebiegłem przez przebieralnię, wpadłem w następne drzwi i znalazłem się...

Na scenie?

Goście byli zdziwieni, widząc mnie. No cóż, ja także. Jeden z mężczyzn przyłożył obie dłonie do ust jak megafon i zawołał „uuu!”. Inni się przyłączyli. Już miałem zeskoczyć ze sceny, ale w porę zauważyłem dwóch bramkarzy zmierzających w moją stronę. Odwróciłem się, ale był tam Buddy Ray, a za nim Derrick trzymający się za nos. Krew płynęła mu przez palce.

Byłem w pułapce.

Odwrócić uwagę, zwieść, zaskoczyć i uderzyć.

Pozostałem na scenie, ale przebiegłem po niej, kopiąc każdą napotkaną butelkę piwa. Chciałem tylko wywołać jak największe zamieszanie. Tancerki na scenie wrzeszczały. Goście zaczęli odskakiwać, wpadając na siebie, zderzając się i popychając. To nie miało potrwać długo. Sala pełna była podchmielonych sfrustrowanych mężczyzn, którzy wydali za dużo pieniędzy na coś, co w istocie było bardzo kiepskim planem B. Testosteron płynął w ich żyłach równie szybko jak rozwodnione drinki.

Wybuchły bójki.

Zeskoczyłem ze sceny, wpadając w grupkę mężczyzn. Wylądowałem na jednym z nich, zerwałem się i pobiegłem dalej. Tłum za moimi plecami odgrodził mnie od pościgu. Buddy Ray i jego bramkarze próbowali mnie dopaść. Odwróciłem się i poszukałem wzrokiem wyjścia.

Nic.

Buddy Ray i jego bramkarze zbliżali się. Znow znalazłem się w ślepych zaułku.

— Psst, tędy.

Najpierw zobaczyłem czerwone jak gaśnica włosy. To była Candy. Weszła pod stół. Opadłem na czworaki i zacząłem pełznąć w jej stronę.

Ktoś złapał mnie za nogę w kostce.

Nie oglądałem się. Wiergznąłem jak muł i jakoś się wyrwałem. Poczłgałem się szybciej, na czworakach podążając za Candy. Otworzyła połówkowe drzwi, niczym wyjście awaryjne, i prześlizgnęła się przez nie. Ja za nią. Czekala na mnie po drugiej stronie. Pomogła mi wstać.

— Tędy.

Byliśmy w niebieskim pokoju z mnóstwem poduszek leżących na podłodze oraz niewielką sceną z rurą na środku. Usłyszałem jakiś hałas za nami i ruszyłem do najbliższych drzwi. Candy wyciągnęła rękę, zatrzymując mnie.

— Nie — powiedziała, wzdrygnawszy się. — One prowadzą do lochu. Na pewno nie chcesz tam iść.

Nie musiała mi tego powtarzać. Nie miałem ochoty zwiedzać tego lochu, piękne dzięki. Pokazałem jej, żeby prowadziła. Pospieszyliśmy na dragi koniec pomieszczenia i przez grube stalowe drzwi. Byłem na zewnątrz! Candy złapała mnie za ramię.

— Nie pracujesz dla Antoine'a, prawda?

— Nie — powiedziałem, pokazując jej mój telefon. — Próbuję znaleźć tę dziewczynę.

Candy sapnęła. Nie było wątpliwości, że rozpoznała Ashley.

— Znasz ją — powiedziałem.

— To Ashley. Była niezwykła, taka mądra. Była tu moją jedyną przyjaciółką.

— Była?

— Gdzie jest teraz? — spytałem.

— Odeszła — z bezbrzeżnym smutkiem odpowiedziała Candy. — Kiedy wsiadasz do furgonetki Antoine'a, znikasz na zawsze.

Zza drzwi dobiegały głosy. Buddy Ray i jego bramkarze byli niedaleko.

— Uciekaj! — syknęła Candy.

— Czeka. Co to ma znaczyć, że odeszła?

— Nie ma czasu.

— Muszę to wiedzieć.

Candy oparła rękę o moją pierś i złapała za koszulę.

— Antoine LeMaire dopadł ją kilka miesięcy temu. Biała Śmierć. Nic już nie możesz zrobić dla Ashley. Ona odeszła, tak jak inne. Możesz tylko sam się uratować.

Pokręciłem głową.

— Ona chodzi do mojego liceum. W zeszłym tygodniu nic jej nie było.

Candy wyglądała na zaskoczoną, ale głosy się zbliżały.

— Uciekaj! — krzyknęła, odpychając mnie i wbiegając w boczny zaułek. — Uciekaj i tu nie wracaj!

Pomknąłem w przeciwną stronę, w kierunku ulicy, biegnąc, ile sił w nogach.

Nie zatrzymałem się, aż dotarłem na dworzec autobusowy, wsiadłem w sto sześćdziesiąt cztery i pojechałem do domu.

Wujka Myrona nie było.

To mi pasowało. Spojrzałem na ręce. Jeszcze się trzęsły. Nic miałem pojęcia, co robić. Nie mogłem mu powiedzieć, bo niby co? Widzisz, miałem lewe papiery i wszedłem do lego baru topless, a potem, no cóż, bramkarz i jakiś facet, niejaki Buddy Ray, napadli na mnie i... Tak, pewnie. Kto by to kupił? Nie miałem żadnych śladów na ciele. Buddy Ray i jego wielki bramkarz zapewne przysięgaliby, że wyrzucili mnie, kiedy domyślili się, że moje prawo jazdy jest podrobione.

Nie, to nie wchodziło w grę.

Wciąż miałem w głowie słowa Candy: „Nic już nie możesz zrobić dla Ashley. Ona odeszła, tak jak inne”.

Nie wiedziałem, co to miało oznaczać. Ani to, że Antoine LeMaire „dopadł ją kilka miesięcy temu. Biała Śmierć”. Ashley chodziła do szkoły. Uśmiechała się, śmiała i była tak cudownie nieśmiała — a przecież Candy powiedziała, że Ashley była jej jedyną przyjaciółką.

Co się działo?

Jedno było oczywiste: Ashley miała tajemnice. Candy istotnie ją znała. Co gorsza znał ją też Buddy Ray.

I co teraz?

Nie wiedziałem. Czego się właściwie dowiedziałem? Niewiele. Wyglądało na to, że odpowiedź sprowadza się do Antoine’a LeMaire’a. Musiałem go znaleźć. Jednak to rodziło kilka pytań. Najbardziej oczywiste: jak? Nic sądziłem, by powrót do klubu był dobrym pomysłem. Może mógłbym się tam pokręcić i poobserwować, ale co by mi to dało? A to prowadziło do następnego pytania: kiedy znajdę Antoine’a — Białą Śmierć — co wtedy zrobię?

Nastawiłem wodę na makaron, wciąż próbując to wszystko ogarnąć. Coś mnie dręczyło, jakaś myśl, której nie potrafiłem uchwycić. Jednak była w mojej głowie. Usiadłem przy kuchennym stole. Brzuch nadal bolał mnie po uderzeniu. Jutro będę cały obolały.

Podświadomy niepokój narastał. Wziąłem laptop i go włączyłem. Chciałem jeszcze raz popatrzeć na mojego kumpla, Antoine’a LeMaire’a, przy szafce Ashley. Puściłem odtwarzanie. Antoine otwiera szafkę, zagląda do środka, widzi, że jest pusta i się wścieka. Puściłem to jeszcze raz. I nagle zrozumiałem, co mnie dręczyło.

Szafka już była pusta.

Antoine miał nadzieję, że coś w niej znajdzie — lecz cokolwiek to było, znikło. To zapewne oznacza, że Ashley sama opróżniła szafkę. Zastanawiałem się kiedy. Co więcej, zadawałem sobie pytanie, czy jeśli to ustalę, dowiem się, kiedy dokładnie była w szkole po raz ostatni. Jeżeli sama opróżniła szafkę, to można przyjąć, że zaplanowała ucieczkę i nie padła ofiarą napaści, Białej Śmierci ani jakiegoś innego okropnego zdarzenia, które może się przytrafić dziewczynie mającej powiązania z Plan B Go-Go Lounge.

Wydawało się logiczne, że Ashley opróżniła szafkę i uciekła.

Czy na pewno?

Zadzwoiłem do Łyżki. Odebrał po pierwszym sygnale. Spodziewałem się, że zacznie rozmowę od jednego ze swoich zwariowanych stwierdzeń, ale mnie zaskoczył.

— Czy znalazłeś Antoine’a? — spytał.

— Co?

— Chyba masz Emę i mnie za idiotów. Mecz koszykówki? Litości.

Słyszac to, musiałem się uśmiechnąć.

— Nie znalazłem go.

— Więc co się stało?

— Opowiem wam jutro. Tymczasem mam prośbę.

Powiedziałem mu, czego chcę, że według mojej teorii jest istotne, kiedy Ashley ostatni raz otwierała szafkę.

— Hm — mruknął Łyżka. — Nie wiemy, kiedy Ashley ostatni raz była przy swojej szafce.

— Nie wiemy.

— Mogła tam być, kiedy w szkole odbywały się zajęcia.

— Mogła.

Zastanowił się nad tym.

— Chyba moglibyśmy puścić odtwarzanie do tyłu i zobaczyć, czy coś znajdziemy. Zakładając, że zdołam się dostać do plików z kamer ochrony.

— Masz coś przeciwko temu?

— Kocham niebezpieczeństwo.

Łyżka się rozłączył. Trzy minuty później zadzwoniła Ema.

— Jadłeś już? — zapytała.

— Właśnie gotuję wodę.

— Wiesz, gdzie jest lokal Baumgarta?

Wiedziałem. To była ulubiona restauracja wujka Myrona.

— Wiem.

— Spotkajmy się tam.

W jej głosie pobrzmiewały dziwne nutki, coś, czego jeszcze nie słyszałem.

— Nie znalazłem Antoine'a.

— Łyżka mi powiedział. Jednak nie o tym chcę z tobą rozmawiać.

— A o czym?

— Poszukałam wiadomości o tym nagrobku.

— I co?

— I coś tu jest bardzo nie w porządku, Mickey.

\* \* \*

Pół wieku temu Baumgart był żydowskimi delikatesami ze staroświeckim saturatorem — lokalem, w którym ojciec mógł zamówić pastrami z ryżem, podczas gdy dzieciaki siedziały przy laminowanym barze i wierciły nic na stołkach, czekając na piwo korzenne. Około 1980 roku wykupił ten lokal chiński szef kuchni. Zamiast zmienić jego styl, tylko go wzbogacił. Pozostawił wszystkie atrybuty żydowskich delikatesów i dodał zupełnie nowe, chińskie. Powstała intrygująca mieszanka. Od tamtego czasu w różnych miejscach w New Jersey otwarto trzy inne Baumgarty.

Ema siedziała w kącie nad mlecznym koktajlem czekoladowym. Usiadłem przy niej i też taki zamówiłem.

Kelnerka zapytała, czy chcemy coś do zjedzenia. Oboje skinęliśmy głowami. Ema zamówiła makaron z sezamem i masłem orzechowym, ulubione danie Myrona, oraz pierś indyka zapieczoną z serem tofu. Ja ograniczyłem się do kurczaka kung pao.

— A zatem — zaczęła — co się stało, kiedy zacząłeś szukać Antoine'a LeMaire'a?

— Dlaczego nie zaczniesz pierwsza?

Gmerła słomką w koktajlu.

— Potrzebuję czasu, żeby poukładać sobie to wszystko w głowie. — Upiła łyk i odchyliła się do tyłu. — A przy okazji, zrób coś dla mnie: jak chcesz się bawić w nadopiekuńczego tatusia, to mi powiedz.

— W porządku. — Westchnąłem.

— Nie kłam.

— Masz rację.

Przepraszam.

— Dobrze — powiedziała Ema. — I co się stało z Antoine’em?

Opowiedziałem jej o mojej wizycie w Plan B Go-Go Lounge. Kelnerka przyniosła nam posiłek, ale nie zauważyliśmy tego. Kiedy skończyłem, Ema podsumowała:

— Nawet nie będę się trudziła „ochami” i „achami”. Byłyby za słabe. To godne „ochów” i „achów” na sterydach. „Ochów” i „achów” do dziesiątej potęgi.

Zapach kurczaka kung pao unosił się z talerza i nagle zdałem sobie sprawę, że umieram z głodu. Złapałem widelec i zacząłem pałaszować.

— A zatem — powiedziała Ema — myślisz, że co, twoja elegancka i grzeczna Ashley tańczyła w barze topless?

Wzruszyłem ramionami, jedząc.

— Czego się dowiedziałas o tym nagrobku?

Ema lekko zbladła.

— Chodzi o Nietoperzycę.

Czekałem. Wahala się.

— Emo?

— Tak?

— Kiedy komendant Taylor mnie zabierał, widziałem w oknie Nietoperzycę. Próbowала mi coś powiedzieć.

Ema zmrużyła oczy.

— Nie mogę przysiąc — ciągnąłem — ale myślę, że mówiła mi, żebym ratował Ashley. Wiem, że to nie ma sensu, jednak cokolwiek to jest, czegokolwiek się dowiedziałas, muszę to usłyszeć.

Kiwnęła głową.

— Wiemy już, że to był cytat z Jeffriesa, prawda?

— Prawda.

— Dlatego szukałam tego drugiego. Tego o utraconym dzieciństwie dzieci.

— I co?

— I nie znalazłam takiego cytatu, ale trafiłam na stronę internetową o... — Umilkła i pokręciła głową, jakby nie mogła uwierzyć w to, co zaraz powie. — O Holocauście.

Mój widelec zawisł w powietrzu w połowie drogi do ust.

— Mówisz o hitlerowcach i drugiej wojnie światowej?

— Tak.

— Nie rozumiem.

— To odnosiło się do żydowskich dzieci, które przyłączyły się do polskiej partyzantki. Widzisz, niektóre z dzieci, które uciekły z obozów śmierci, mieszkały w lasach. I walczyły z hitlerowcami. Dzieciaki. Ponadto przemycały różne rzeczy do łódzkiego getta. A czasem, jeśli mogły, nawet ratowały dzieci posyłane do Auschwitz, największego i najstraszniejszego z obozów koncentracyjnych.

Siedziałem i czekałem. Ema podniosła szklankę z koktajlem i upiła łyk.

— Nadal nie rozumiem — powiedziałem. — Co to ma wspólnego z tym nagrobkiem w ogrodzie Nietoperzycy?

— Słyszałeś o Annie Frank, prawda? Oczywiście, słyszałem. Nie tylko czytałem *Dziennik Anny Frank*, ale kiedy miałem dwanaście lat, rodzice zabrali mnie do tego domu w Amsterdamie, w którym ukrywała się przed hitlerowcami. Najlepiej zapamiętałem dwie rzeczy: przesuwany regał z książkami zasłaniający schody na strych, na którym ukrywała się rodzina Franków. I cytat z dziennika Anny, który widzi się, opuszczając to ponure muzeum: „Mimo wszystko wierzę, że ludzie w głębi serca są dobrzy”.

— Oczywiście, słyszałem o niej — powiedziałem. To była inna dziewczynka. Trzynastoletnia Polka Lizzy Sobek, która uciekła z Auschwitz i współpracowała z ruchem oporu.

To nazwisko brzmiało znajomo.

Pamiętam, że coś o niej czytałem. Ja też. Mówiliśmy trochę o niej na lekcji historii w ósmej klasie. Rodzina Lizzy Sobek została zamordowana w Auschwitz, ale jej jakoś udało się uciec. Mówi się, że uratowała setki ludzi. W jednym udokumentowanym wypadku Lizzy przeprowadziła w lutym akcję, której wynikiem było spowolnienie pociągu towarowego i Żydami jadącymi do obozów śmierci. Ponad pięćdziesiąt osób zdołało uciec do lasu — niemal wszyscy nie mieli jeszcze piętnastu lat. I niektórzy z tych uratowanych twierdzą... — Ema urwała i nabrała powietrza. — Mówią, że kiedy uciekli, widzieli motyle.

Przełknąłem ślinę.

— Motyle?

Skinęła głową.

— W lutym. W Polsce. Motyle. Całe setki motyli prowadzących ich w bezpieczne miejsce. Siedziałem i milczałem.

— Lizzy Sobek zaczęto nazywać Motylem.

Może kręciłem głową, ale nie mogłbym przysiąc. Wiedziałem, że oboje myśleliśmy o tym samym. Motyl — tak jak na koszulkach z fotografii, jak na grobie mojego ojca i na nagrobku w ogrodzie Nietoperzycy. To nie mógł być przypadek.

— Lizzy Sobek — powtórzyłem i nagle znów krew zastygła mi w żyłach. — Lizzy to mogło być zdrobnienie od Elizabeth.

— I było — potwierdziła Ema.

Elizabeth Sobek. E.S. Inicjały na nagrobku. Kolejny zbieg okoliczności? Zadałem samonasuwające się pytanie:

— Co się stało z Lizzy Sobek?

— W tym rzecz. Nikt tego nie wie. Przeważająca większość historyków uważa, że została złapana podczas akcji mającej na celu uwolnienie grupy dzieci umierających z głodu w pobliżu Łodzi. Sądzą, że razem z innymi partyzantami została rozstrzelana i pochowana w zbiorowym grobie, zapewne w tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym roku. Jednak nigdy nie znaleziono na to dowodów.

— Utracone dzieciństwo dzieci — szepnąłem. — Teraz to zaanie nabiera sensu.

Ema skinęła głową.

— To nie wszystko.

Czekałem. Restauracja tętniła życiem. Ludzie przychodzili i wychodzili, jedząc z apetytem, śmiejąc się, pisząc SMS-y i robiąc wszystko, co się robi w restauracjach, jednak dla nas jakby nie istnieli. Sala zmniejszyła się do naszej łoży, w której siedziałem z Emą i duchem dzielnej, od dawna nieżyjącej dziewczyny, Lizzy Sobek.

— Długo szukałam tego ciągu cyfr, numeru widniejącego na dole nagrobka i na tablicy rejestracyjnej — ciągnęła Ema. — A-trzy-zero-cztery-trzy-dwa. Jednak niczego nie znalazłam.

Siedziałem cicho. Gdyby niczego nie znalazła, nie miałyby łez w oczach.

— Tak więc poczytałam więcej o Lizzy Sobek. — Ema sięgnęła do kieszeni i wyjęła kartkę. — Na jednej stronie internetowej znalazłam to w pytaniach i odpowiedziach.

Rozłożyła kartkę i podsunęła mi.

Wzięłam ją. Ema odwróciła wzrok. Skupiłem uwagę na kartce.

**Pytanie 8: Jaki numer obozowy miała wytatuowany Lizzy Sobek?**

Do dziś tego nie wiadomo. Większość ludzi mylnie uważa, że wszyscy więźniowie hitlerowskich obozów koncentracyjnych mieli wytatuowane numery, lecz w rzeczywistości tylko w kompleksie obozowym Auschwitz (składającym się z Auschwitz 1,

Auschwitz–Birkenau i Monowitz) więźniowie byli rutynowo tatuowani w czasie Holocaustu. 12 września 1942 roku Lizzy wraz ze swoim ojcem Samuelem, matką Esterą i bratem Emmanuelem znaleźli się w transporcie do Auschwitz–Birkenau. Transport dotarł do Auschwitz 13 września 1942 roku, przywożąc 1121 Żydów. Kobiety oddzielono od mężczyzn. Wybranych z transportu kobietom, w tym Lizzy, wytatuowano numery zaczynające się od A–30380, a kończące na A–30615. Dokładne rejestry się nie zachowały, tak więc do dzisiaj nie wiadomo, jaki numer miała na ręce Lizzy Sobek.

Spojrzałem na Emę i teraz ja też miałem łzy w oczach.

— Czyżbyśmy rozwiązali tę zagadkę?

— Być może.

— A ona prowadzi nas do następnej.

Ema kiwnęła głową.

— Skąd Nietoperzyca знаła ten numer?

— I dlaczego postawiła jej nagrobek w swoim ogrodzie?

— Chyba że...

Ema zamilkła. Oboje wiedzieliśmy, o czym pomyślała, nic nie sędzę, żebyśmy byli gotowi powiedzieć to na głos. Może odkryliśmy tajemnicę większą niż zagadka wytatuowanego numeru. Może po tylu latach rozwiązaliśmy tajemnicę tego, co naprawdę stało się z Lizzy Sobek.

Następnego ranka zadzwoniłem do ośrodka rehabilitacyjnego Coddington, do matki.

— Proszę czekać — usłyszałem.

Po dwóch sygnałach podniesiono słuchawkę.

— Mickey?

To nie była moja matka, ale dyrektorka ośrodka Christine Shippee.

— Chcę rozmawiać z mamą.

— A ja chcę wziąć prysznic z Bradem Pittem — powiedziała. — Przykro mi, ale mówiłam ci, żadnych kontaktów.

— Nie może pani jej ode mnie odciąć.

— Hm, ależ mogę, Mickey. A skoro o tym mowa, to musimy porozmawiać. Czy znasz określenie „przyzwalacz”?

Znów to pytanie.

— Ja nie dawałem jej narkotyków.

— Nie, ale byłeś dla niej zbyt wyrozumiały. Musisz traktować ją bardziej stanowczo.

— Pani nie wie, przez co ona przeszła.

— Ależ wiem — westchnęła Christine lekko znudzona. — Umarł jej mąż. Jej jedyny syn dorasta. Ona nie ma żadnych perspektyw. Jest przerażona, samotna i przygnębiona. Myślisz, że twoja matka jest tu jedyną pacjentką ze smutną historią?

— Pani współczucie jest powalające. Nic dziwnego, że pacjenci panią uwielbiają.

— Byłam jedną z nich, Mickey. Ćpunką i manipulanką. Wiem, jak to działa. Przyjdź w przyszłym tygodniu, to porozmawiamy. A tymczasem masz chodzić do szkoły.

Rozłączyła się.

W szkole przez większość ranka zajmowaliśmy się procesem legislacyjnym. Niewiele zapamiętałem z tego, co mówiono. Dwaj miejscowi politycy próbowali nam to „wytłumaczyć” w sposób okropnie protekcyjny i nudny. Przez cały czas rozglądałem się po sali i patrzyłem w oczy Rachel.

Podczas przerwy na lunch usiadłem z Emą przy stoliku, który szybko stawał się „nasz”. Łyżki nigdzie nie było. Usiłowaliśmy rozmawiać z Emą o premierach nowych filmów, o tym, jaką muzykę i które programy telewizyjne lubimy — ale rozmowa wciąż schodziła na Holocaust i bohaterką Lizzy Sobek.

W pewnej chwili spojrzałem na drugi koniec sali i zobaczyłem Troya oraz Bucka. Uśmiechali się do mnie drwiąco, co mnie nie zdziwiło. Troy zrobił tę cwana minę typu „wiem o czymś, o czym ty nie wiesz”, a potem zaczął machać rękami jak skrzydłami i popiskiwać.

— Jak nietoperz — powiedziała w końcu Ema.

— Jak Nietoperzyca.

— Ludzie, ależ z niego mądrała.

Domyśliłem się, że jego ojciec opowiedział mu o moim aresztowaniu pod domem Nietoperzycy i w ten subtelny sposób próbował nam to zakomunikować. Odpowiedziałem wymownym ziewnięciem. Troy przeszył mnie gniewnym wzrokiem, a potem przesunął palcami po szyi, co było międzynarodowym znakiem takich głupków, oznaczającym... hm: „Jesteś trupem”.

Nie warto zwracać na takich uwagi. Odwróciłem się.

— Czy wiesz, gdzie jest Łyżka? — zapytałem Emę.

Właśnie przelykała, więc tylko wskazała za siebie.

Łyżka spieszyl — a właściwie pędził — do naszego stolika, trzymając otwarty laptop. Pani Owens zagroziła mu drogę.

— Chodzimy, nie biegamy — pouczyła go.



Łyżka kiwnął głową i przeprosił. Kiedy do nas dotarł, był podekscytowany i zdyszany.

— Wstrząsające — wysapał.

— Co?

Postawił laptop na stoliku.

— O rany, na pewno będziecie chcieli to zobaczyć.

— Co takiego? — spytałem.

— Czy nie prosisz mnie, żebym sprawdził nagranie z kamery przy szafce Ashley?

Prosiłem.

— No cóż, przeglądałem je od wczorajszego wieczoru. Nie uwierzycie, co odkryłem.

Zadzwonił dzwonek. Wszyscy ruszyli do drzwi poza naszą trójką. Łyżka usiadł przed laptopem. Przesunąłem moje krzesło tak, że znalazłem się po jego prawej. Ema zrobiła podobnie i zajęła miejsce po lewej.

— No więc — zaczął — zrobiłem to, o co prosisz, i sprawdziłem to nagranie, no nie? Zacząłem od momentu, w którym ten chuligan włamuje się do szafki, a potem cofałem, aż dowiedziałem się, kiedy szafka Ashley była ostatnio otwierana.

Zamilkł i poprawił okulary.

— I co? — zapytałem.

— Patrz.

Już miał nacisnąć klawisz odtwarzania, kiedy pani Owens zakasłała dramatycznie.

— Dzwonił dzwonek — zauważyła urażonym tonem.

— To zajmie tylko minutkę — rzuciłem.

Ta odpowiedź jej się nie spodobała.

— Nie dostosowujemy się tu do pańskiego poczucia czasu, panie Bolitar. Zadzwonił dzwonek, co oznacza, że należy opuścić bufet. Nie jest pan wyjątkiem.

Żartuje?

Spróbowałem starej wymówki:

— To praca domowa.

— To mnie nie obchodzi, nawet gdyby to było lekarstwo na raka — powiedziała pani Owens i w to uwierzyłem. Zatrzasnęła laptop, wywołując głośny jęk Łyżki. — Mielicie całą przerwę obiadową na omówienie tej sprawy. Teraz opuście bufet albo wszyscy zostaniecie za karę po lekcjach.

— Zmaltretowała pani mój laptop — jęknął Łyżka.

— Słucham?

— Zmaltretowała pani baterię, czy jak to się tam nazywa.

— Podważasz mój autorytet, młody człowieku?

Łyżka otworzył usta, żeby powiedzieć coś jeszcze, ale kopnąłem go w kostkę, żeby się zamknął. Wstałem i pociągnąłem go za sobą. Wszyscy troje opuściliśmy bufet. Na korytarzu pospiesznie ustaliliśmy, jakie mamy teraz zajęcia. Ja miałem lekcję angielskiego. Łyżka zajęcia własne. Ema „wuef, na który i tak nie idę”.

Łyżka zaciągnął nas do magazynku woźnego na parterze. Znowu pochyliliśmy się nad laptopem. Łyżka nacisnął klawisz odtwarzania.

— Patrzcie — powiedział.

I patrzyliśmy.

Szafka Ashley. Łyżka puścił nagranie od właściwego momentu, od chwili, gdy szafka została otwarta. Patrzyliśmy w milczeniu, jak była opróżniana, cała jej zawartość wrzucana do plecaka.

Opadła mi szczęka.

— Wiedziałam! — wykrzyknęła Ema. — Ostrzegałam cię, prawda?

To nie Ashley opróżniła szafkę. Nie zrobił tego Antoine, Buddy Ray ani jego bramkarz Derrick. Osobą, która otworzyła szafkę i wyczyściła szafkę, był nie kto inny, jak Rachel Caldwell.

\* \* \*

W pierwszej chwili byłem zdziwiony, ale zdziwienie niemal natychmiast zamieniło się w gniew.

Byłem wściekły. Gorzej niż wściekły. Czułem się nie tylko zdradzony, czułem się jak skończony głupek.

Gniewamy się na tych, którzy nas krzywdzą lub oszukują, ale jeszcze bardziej irytują nas ludzie robiący z nas głupców.

W tym momencie czułem się jak frajer.

Rachel Caldwell potrzepotała przede mną rękami, a ja dałem się na to nabrać.

Łapcie za słownik, chłopcy i dziewczęta. Oferma. Ćwok. Frajer. Głupek. To ja!

Odtworzyłem w myślach każdy uśmiech Rachel, każde kokietyjne spojrzenie, każdy śmiech.

Udawane. Wszystko udawane. Jak dałem się na to nabrać?

Ema miała zadowoloną minę.

— Mówiłam ci, że nie można jej ufać.

Nic nie powiedziałem.

Łyżka poprawił okulary.

— Cokolwiek widzieliście na tym filmie, nie zmienia jednego zasadniczego faktu.

— Jakiego? — chciała wiedzieć Ema.

— Tego, że Rachel Caldwell to pierwszej klasy, powalająca, porażająca, wystrzałowa laska.

Ema przewróciła oczami.

Rozległ się ostatni dzwonek. Czas ruszać. Rozeszliśmy się. Łyżka i ja poszliśmy do naszych klas, a Ema... tam, dokąd się wybierała. Angielski miałem z panem Lampfem. Usiadłem z tyłu i otworzyłem zeszyt, ale nie więcej nie potrafię powiedzieć o tych zajęciach. Wciąż byłem wściekły. W końcu, po pewnym czasie, pozwoliłem, aby przez opary gniewu przedarło się oczywiste i ważniejsze pytanie: co Rachel Caldwell może mieć z tym wszystkim wspólnego?

Przeleciałem mnóstwo różnych scenariuszy, ale żaden nic miał sensu. Logika mnie zawiodła, więc znów pozwoliłem, by targał mną gniew. Teraz dobrze mi robił. Przypomni mi, że Rachel Caldwell jest w budynku, że mogę po prostu zapytać ją i dowiedzieć się prawdy.

Kiedy zadzwonił dzwonek, pospieszyłem do drzwi. Wiedziałem, że Rachel ma teraz matematykę z panią Cannon. Wiedziałem o tym, ponieważ... no, po prostu wiedziałem. Klasa pani Cannon znajdowała się niedaleko, w bocznym korytarzu. Często widywałem tam Rachel, gdy przechodziła z jednej sali do drugiej. No dobrze, patrzyłem na nią, i co z tego?

Poszedłem korytarzem i skręciłem w prawo.

Rachel tam była. Odwracała się właśnie tyłem do mnie, a jej włosy wydawały się poruszać w zwolnionym tempie, jak na reklamie szamponu. Pognałem za nią, przedzierając się przez tłum uczniów. Już miała skręcić za róg, kiedy ją dogoniłem. Położyłem rękę na jej ramieniu, może trochę zbyt brutalnie. Odwróciła się zaskoczona, ale gdy zobaczyła, że to ja, na jej twarzy pojawił się cudowny, zapierający dech uśmiech.

— Hej, Mickey! — powiedziała, jakby uszczęśliwił ją mój widok.

Ktoś powinien dać tej dziewczynie Oscara.

— Gdzie jest Ashley?

Uśmiech znikł jak starty gąbką. Próbowała przywołać go z powrotem, ale nie potrafiła.

— O co ci chodzi?

— Otworzyłaś jej szafkę i zabrałaś wszystko, co tani było. Dlaczego?

— Nie wiem, o czym mówisz.

Ludzie, dlaczego nie przejrzałem jej wcześniej? Nie umie nawet przekonująco kłamać.

— Widziałem cię.

— To niemożliwe.

— Na nagraniu z kamery ochrony. Widziałem, jak otwierasz i opróżniasz szafkę Ashley.

Zerknęła w prawo, a potem w lewo.

— Muszę iść na zajęcia.

Zamierzała odejść. Kierując się bardziej instynktem niż rozsądkiem, złapałem ją za rękę i zatrzymałem.

— Dlaczego mnie okłamałaś?

— Puść mnie.

— Gdzie jest Ashley?

— Mickey, to boli!

Puściłem ją. Zaczęła rozcierać miejsce, które ściszałem, koło łokcia. Ludzie przechodzili obok nas i szeptali.

— Przepraszam — wymamrotałem.

— Muszę iść na zajęcia.

Zaczęła odchodzić.

— Ja tego tak nie zostawię, Rachel.

Przystanąła i znów na mnie spojrzała.

— Mogę to wyjaśnić.

— Słucham.

— Spotkaj się ze mną po szkole. Sam. Bez Emy i Łyzki. Opowiem ci wszystko.

A potem odeszła.

Reszta szkolnego dnia mijała powoli. Wciąż spoglądałem na zegar i wydawało mi się, że jego minutowa wskazówka porusza się jak w syropie. Usiłowałem zrozumieć, w jaki sposób Rachel jest w to zamieszana, ale nic nie przychodziło mi do głowy.

Do końca zajęć pozostało tylko pięć minut — pięć minut, po których mógłbym znów spotkać się z Rachel i wysłuchać jej wyjaśnień — gdy zapiszczał interkom w pracowni fizycznej pana Berlina. Podniósł słuchawkę, posłuchał, a potem powiedział:

— Mickey Bolitar? Masz zgłosić się do gabinetu pana Grady’ego.

Klasa zareagowała zbiorowym „ooo”.

Jeszcze nie poznałem pana Grady’ego, ale wiedziałem, kto to jest. Po pierwsze i najważniejsze, pan Grady był trenerem szkolnej drużyny koszykarskiej. Człowiekiem, którego miałem nadzieję wkrótce bardzo dobrze poznać. Jednak powodem tego chóralnego „ooo” było jego stanowisko wicedyrektora odpowiedzialnego za dyscyplinę w szkole — krótko mówiąc, to on trzymał uczniów w ryzach.

Pozbierałem swoje rzeczy i ruszyłem do jego gabinetu. Nie denerwowałem się. Choć może zabrzmiało nieskromnie, byłem przekonany, że pan Grady chce powitać mnie w szkolnych murach. Owszem, usilnie starałem się utrzymać w tajemnicy to, że gram, ale wzięwszy pod uwagę mój wzrost, pokrewieństwo z Myronem i plotkarstwo facetów grających towarzysko w Newark, byłoby dziwne, gdyby pan Grady o mnie nie słyszał.

Miałem nadzieję, że to było powodem wezwania mnie do jego gabinetu.

A może nie?

Czy zrobiłem coś złego? Raczej nie. Pomyślałem o tym, jak złapałem Rachel na korytarzu. Załóżmy, że ktoś to widział. Nie, to nie mogło być powodem. Co świadek tego zdarzenia mógłby zrobić? Pójść do gabinetu Grady’ego i mu powiedzieć? I co potem? Pan Grady skontaktowałby się z Rachel, a ona powiedziałaby, że nic się nie stało.

A może poskarżyłaby się na mnie? Dotarłem do drzwi gabinetu i zapukałem.

— Wejść.

Otworzyłem drzwi. Pan Grady siedział za biurkiem i spoglądał na mnie znad okularów do czytania. Był bez marynarki. Miał na sobie koszulę z krótkimi rękawami, która zapewne kilka lat temu była w jego rozmiarze, ale teraz ścisnęła jego szyję jak opaska uciskowa. Wstał i podciągnął spodnie. Miały oliwkowy kolor. Mocno przerzedzone włosy zaczesane do góry oblepiały mu czaszkę.

— Mickey Bolitar?

— Tak.

— Siadaj, synu.

Zerknąłem na zegar wiszący za jego plecami. Naprawdę nie miałem teraz czasu na pogaduszki. Za dwie minuty kończyły się zajęcia — i za dwie minuty zamierzałem znowu przycisnąć Rachel. Zauważył moje wahanie i znów kazał mi usiąść, tym razem bardziej stanowczo.

— Grasz w kosza? — zapytał.

Aha. A więc miałem rację.

— Tak.

— Twój wujek był niezły.

— Tak słyszałem.

Grady skinął głową. Splótł dłonie na brzuchu. Chciałem przyspieszyć tę rozmowę, ale nie wiedziałem, co powiedzieć.

— Kiedy są kwalifikacje? — zapytałem, żeby nie milczeć.

— Za dwa tygodnie. Do reprezentacji szkoły, czyli moich juniorów i seniorów, odbędą się w poniedziałek. Do rezerwy, czyli uczniów pierwszych i drugich klas, we wtorek. — Spojrzał mi w oczy i dodał: — Nie powołuję uczniów drugich klas do reprezentacji, chyba że w wyjątkowych wypadkach. W rzeczy samej, przez dwanaście lat mojej pracy jako trenera jeszcze nie miałem ucznia drugiej klasy w reprezentacji szkoły, a ponieważ mam z czego wybierać...

Nie dokończył zdania. Nie musiał. Dawno temu nauczyłem się, że nie należy opowiadać o tym, jak się gra — twoja gra powinna mówić sama za siebie. Dlatego tylko kiwnąłem głową i nic nie powiedziałem.

Rozległ się ostatni dzwonek. Zacząłem wstawać, sędzią, że mogę już iść, ale pan Grady jeszcze nie ukończył.

— Nie po to cię wezwałem. Chcę powiedzieć, że nie chodzi o koszykówkę.

Czekał na moją reakcję, więc musiałem zareagować.

— O?

— Powiadomiono mnie, że wdałeś się w jakieś rękoczynny z innym uczniem. — Widocznie miałem zdziwioną minę, ponieważ wyjaśnił: — Z Troyem Taylorem. Na szkolnym parkingu.

O rany. Zastanawiałem się, czy powiedzieć, że to on zaczął i musiałem się bronić, ale rozpoczynanie znajomości z trenerem drużyny koszykówki od oskarżania jej kapitana wydawało się nierozsądne. Wolałem milczeć.

— Chcesz mi coś o tym powiedzieć?

— To nie było nic wielkiego. Nieporozumienie. Wyjaśniliśmy to sobie.

— Rozumiem. — Usiadł i zaczął bawić się długopisem. — Nie wiem, gdzie przedtem chodziłeś do szkoły, Mickey, ale w tej szkole mamy zasadę: żadnych bójek. Jeśli tkniesz innego ucznia, zostajesz zawieszony i możesz zostać wydalony ze szkoły. Czy wyrażam się jasno?

— Tak, proszę pana.

Nie zdołałem się powstrzymać. Spojrzałem na zegar. Grady to zauważył.

— Spieszysz się dokądś, synu?

— Mam się z kimś spotkać po szkole.

— Nie dzisiaj.

— Słucham?

— Tym razem potraktuję cię łagodnie. Zostaniesz w szkole po lekcjach. Dziś.

— To nie może być dzisiaj — jęknąłem.

— Dlaczego?

— Mam po szkole naprawdę ważne spotkanie.

— Mieszkaś teraz u wujka, zgadza się?

— Tak.

Pan Grady podniósł słuchawkę telefonu — był duży, ciężki i wyglądał jak jeden z tych aparatów z czarnobiałych filmów puszcanych na kablówce.

— Może podasz mi jego numer. Zadzwońię i wyjaśnię, dlaczego się spóźnisz. Jeśli powie, że to pilna sprawa i nic możesz zostać dzisiaj w szkole, to w porządku, przelożymy to na jutro.

W panice zacząłem kłapać dziobem:

— Troy zabrał laptop mojemu koledze. Potem złapał mnie za koszulę. Ja tylko się broniłem.

Grady uniósł brew.

— Naprawdę chcesz to tak rozegrać, synu?

Nie. Uspokoilem się. Nie tędy droga. Zapytałem, czy mogę wysłać krótką wiadomość tekstową, zanim zacznę odsiadywać karę. Grady powiedział, że tak. Wysłałem Rachel SMS, że wyjdę za godzinę i czy zechciałyby na mnie poczekać?

Nie odpowiedziała.

Jeszcze nigdy nie siedziałem w szkole za karę, ale przecież dotychczas nie chodziłem do amerykańskiego liceum. Nie wiedziałem, czego oczekiwać, ale właściwie była to godzina potwornych nudów. Siedzi się z innymi uczniami w sali do nauki jazdy. Bez telefonu, elektronicznych gadżetów, książek, niczego. Większość dzieciaków opiera głowy o ławki i śpi. Ja szukałem wzorów na kafelkowanej podłodze. Potem zacząłem czytać wszystkie plakaty ostrzegające przed jazdą po pijanemu, pisaniem SMS-ów podczas jazdy, przekraczaniem dozwolonej szybkości i różnymi innymi rzeczami.

Pomyślałem o ojcu, o naszym wypadku samochodowym i o tym, czy kierowca tej terenówki był pijany, pisał SMS lub przekroczył dozwoloną szybkość. Myślałem o sanitariuszu o blond włosach i zielonych oczach oraz o tym, jak wyraz jego twarzy powiedział mi, że moje życie już nigdy nie będzie takie jak dawniej.

Kiedy minęła godzina — najdłuższa w moim życiu — złapałem komórkę i sprawdziłem wiadomości tekstowe.

Nie było SMS-a od Rachel.

Czując się odrzucony, wyszedłem ze szkoły frontowymi drzwiami... a ona tam była. Podszedłem do niej szybko.

— Dziękuję, że zaczekałaś.

Rachel skinęła głową i nic nie powiedziała. Wyglądała na rozkojarzoną, niepewną.

— Miałaś mi coś wyjaśnić — zacząłem.

— Powiedziałeś, że widziałeś mnie na nagraniu z kamery ochrony, tak?

Teraz zrozumiałem. Nie była rozkojarzona. Była przestraszona.

— Tak.

— Jakim cudem? Chcę powiedzieć, jak zdobyłeś to nagranie?

Pokręciłem głową. Nie ufałem jej na tyle, aby powiedzieć o roli Łyżki.

— To nie jest ważne.

— Dla mnie jest. Czy jeszcze ktoś o tym wie?

— A co za różnica?

— Dlaczego przeglądałaś nagrania z kamer?

— Mówiłem ci. Próbuję ustalić, co się stało z Ashley. Dlaczego opróżniłaś jej szafkę?

— A jak myślisz?

— Nie mam pojęcia. Mówiłaś mi, że prawie jej nie znałaś.

— Bo nie znałam.

Rozłożyłem ręce.

— A jednak poszłaś i wyjęłaś wszystko z jej szafki.

Rachel odwróciła wzrok i pokręciła głową.

— Ty nic nie rozumiesz.

— Masz rację. Nie rozumiem. Więc mi wyjaśnij. A robiąc to, może wytłumaczysz mi, dlaczego udawałaś, że chcesz się ze mną zaprzyjaźnić?

— Ashley mnie o to prosiła.

— Ashley prosiła cię, żebyś została moją przyjaciółką?

Rachel westchnęła, jakbym w żaden sposób nie był w stanie tego pojąć.

— Chciała, żebym cię pilnowała. Chciała mieć pewność, że nic ci się nie stało.

— Nie stało? — Miałem mętlik w głowie. — O czym ty mówisz?

— Ashley nie chciała, żeby stała ci się krzywda. Nic chciała cię w to mieszać.

— W co mieszać?

— Nie mogę ci powiedzieć. Ona mówiła, że nie powinnam.

Moje serce zaczęło bić szybciej.

— Zaczekaj, chwileczkę, Ashley tak powiedziała?

— Tak.

— Więc wiesz, gdzie ona jest?

Nie odpowiedziała.

— Rachel?

Powoli odwróciła głowę w moją stronę. Nasze spojrzenia się spotkały. Wiedziałem, że powinienem już to wiedzieć, ale jeśli to tylko gra i Rachel mną manipuluje... Nie. Mówią, że oczy nie kłamią. Zobaczyłem w nich coś.

Sposób, w jaki na mnie patrzyła, świadczył o tym, że nie udawała.

— Tak — powiedziała w końcu. — Wiem, gdzie jest Ashley.

— Gdzie?

— Chodź — powiedziała Rachel, w końcu zrywając kontakt wzrokowy. — Pokażę ci.

Przez jakiś czas szliśmy w wygodnym milczeniu. Próbowałem przeczekać w nadziei, że Rachel udzieli mi jakichś informacji, ale się nie doczekałem.

— Dokąd idziemy? — spytałem w końcu.

— Do mojego domu.

— I Ashley tam jest?

Zrobiła minę mówiącą „może tak, a może nie”.

— Zobaczysz.

— Co to ma znaczyć? Co się stało?

— Pozwolę wyjaśnić to Ashley.

— Wolałbym usłyszeć to od ciebie.

— Jak już wcześniej mówiłam, nie mogę.

Znów przez jakiś czas szliśmy w milczeniu.

— Mickey?

Spojrzałem na nią.

— Wcale nie udawałam, że chcę się z tobą zaprzyjaźnić. Chcę powiedzieć, że Ashley naprawdę prosiła mnie, żebym cię pilnowała, i może dlatego pierwsza się do ciebie odezwałam, ale potem... — Zamilkła, wbijając oczy w chodnik, i dodała: — Nieważne.

Chciałem wziąć ją za rękę, zrobić coś, cokolwiek, jednak nie wiedziałem co. Zahuczał mój telefon komórkowy. To była wiadomość tekstowa od Emy: *gdzie jesteś?*

Pokazałem ją Rachel. Pokręciła głową.

— Nie odbieraj.

Skinąłem głową i schowałem komórkę. Okazała rezydencja Rachel — gdyż nie był to dom, ale rezydencja — zajmowała cały szczyt wzgórza. Na końcu podjazdu znajdowała się brama z elektronicznym zamkiem. Rachel wystukała kod na panelu i brama się otworzyła. Ruszyliśmy podjazdem.

— Czy twoi rodzice są w domu? — zapytałem.

Na jej ustach pojawił się uśmiech.

— Nie.

Ten uśmiech coś mówił, ale nie wiedziałem co.

— Czy Ashley tutaj jest?

— Tak.

— Gdzie?

— W domku dla gości na tyłach domu.

— Jak długo tu mieszka?

— Ponad tydzień.

— Twoi rodzice o tym wiedzą?

— Powiedzmy — i znów zobaczyłem ten uśmieszek, ale tym razem zauważyłem, że jest smutny — że moi rodzice rzadko tu bywają.

Wszystko tutaj świadczyło o dużych pieniądzach. Przeszliśmy za dom, mijając marmurowe patio i ziemny kort do tenisa. Obok basenu stał domek. Wskazałem go ruchem brody.

— Ashley tam jest? — zapytałem.

— Tak.

Przełknąłem ślinę i przyspieszyłem kroku. No i tak. Zaraz otrzymam odpowiedzi na wszystkie moje pytania. Doszliśmy do drzwi. Rachel trzymała w ręku klucz. Włożyła go do zamka i nacisnęła klamkę.

— Ashley? — powiedziała.



Żadnej odpowiedzi.

— Ashley?

Nadal nic. Weszliśmy do środka. Łóżko było pościelone. W pokoju panował porządek. Jednak nikogo nie było. Spojrzałem na Rachel. Zbladła i szeroko otworzyła oczy. Rozejrzałem się po pokoju i na stoliku przy łóżku zobaczyłem list. Wziąłem go. Rachel stanęła obok mnie i zaglądała mi przez ramię.

RACHEL!

PRZEPRASZAM, ŻE TAK UCIEKŁAM. NIE MOGĘ TEGO WYJAŚNIĆ, NIE WCIĄGAJĄC CIĘ W TO JESZCZE BARDZIEJ. BARDZO DZIĘKUJĘ, ŻE MNIE UKRYŁAŚ, ALE NIE MOGĘ UKRYWAĆ SIĘ W NIESKOŃCZONOŚĆ. NIE DZWOŃ NA POLICJĘ. TO JEST COŚ, CO MUSZĘ ZROBIĆ SAMA.

ASHLEY

— Nie rozumiem — wymamrotała Rachel. — Była przerażona.

Teraz byliśmy już w domu Rachel. Szybko upewniliśmy się, że tu również nie ma Ashley. Ani nikogo innego, ten wielki dom był cichy jak mauzoleum.

Opowiedz mi, co się stało — poprosiłem.

Trochę ponad tydzień temu odbywały się eliminacje dla zespołu cheerleaderek. W tym roku były tylko trzy wolne miejsca, a przyszło prawie pięćdziesiąt dziewcząt. Jedną z nich była Ashley.

— Chciała zostać cheerleaderką? — zdziwiłem się.

Rachel skinęła głową.

— I jak jej poszło?

— Niedobrze. Nowe dziewczęta wybierałyśmy we trzy: Cathy, Brittany i ja. Uważałam, że jest dobra i ma talent, ale jej program był, no cóż... dziwny.

— Pod jakim względem?

— To stara szkoła. Z klasycznym programem dla cheerleaderek, opartym głównie na figurach gimnastycznych. Większość dziewcząt wykonywała znane ćwiczenia, akrobacje lub skoki, pokazując, że mogą pomóc w formowaniu piramidy. Takie rzeczy. Natomiast Ashley tańczyła. Moim zdaniem była bardzo dobra, obiecująca, ale pozostałe dziewczyny uważały...

— Co uważały?

— Uznały, że jej program był nieco... — Urwała, szukając właściwego słowa albo bojąc się go użyć. — No cóż, był bardzo pikantny, nie szokujący, jednak to wystarczyło tamtym dwóm.

Nic nie powiedziałem. Pomyślałem o Plan B Go-Go Lounge i chciałem zamknąć oczy.

— Więc Ashley skończyła i... no cóż, czekała na aplauz. Ale nikt nie klaskał. Stała zdenerwowana, czekając na ocenę. A dziewczyny zaczęły jej dokuczać. Najpierw Cathy uśmiechnęła się drwiąco i spytała: „A gdzie rura?”. Potem zaczęły czepiać się jej ubioru, fryzury, wszystkiego.

— A co było nie tak z jej ubiorem i fryzurą?

— Jesteś facetem, więc nie zauważyłeś. Jej ubrania były używane.

Nie wierzyłem własnym uszom.

— I co z tego? Wyśmiewałyście ją z powodu tego, że chodzi w używanych rzeczach? Naprawdę jesteście takimi snobkami?

Rachel wyglądała na urażoną.

— My?

— Chciałem tylko...

— Nie jestem snobką. Nie obchodzi mnie, ile kto ma pieniędzy. Nie w tym rzecz.

— A w czym?

— Te ubrania nie były nawet z drugiej, ale z trzeciej lub czwartej ręki. To było udawanie. Jakby poszła do lumpeksu i wyszukała w nim rzeczy panienki z dobrego domu z lat osiemdziesiątych. No wiesz, sweterek z monogramem.

— Nadal nie rozumiem.

— To było tak — tłumaczyła Rachel — jakby próbowała udawać kogoś, kim nie była. Jakby nosiła przebranie. W każdym razie to było okrutne. Wszyscy zaczęli się z niej śmiać.

— Ty też się śmiałaś?

— Nie — odparła Rachel szybko. Potem wbiła wzrok w podłogę i dodała ciszej: — Jednak nie powstrzymałam ich. A powinnam. Chcę powiedzieć, że ona stała tam sama, przed wszystkimi. Nie знаła nas. Wyglądała tak bezbronne, a my śmiałyśmy się jej w twarz, aż w końcu uciekła.

Rachel zamilkła. Próbowałam sobie wyobrazić tę scenę i to, jak bardzo takie wyśmiewanie zraniło Ashley.

— Ładnie — mruknąłem, starając się, by zabrzmiało to sarkastycznie, ale nie złośliwie.

— Tak, wiem.

— I co było potem?

— Pobiegłam za nią. No wiesz, żeby przeprosić. Poszła Collins Drive, więc ruszyłam za nią. Popatrzyłam na Mountainside Road i tam, jakieś pięćdziesiąt metrów dalej, zobaczyłam ją idącą w stronę Northfield Avenue. Zawołałam, ale Ashley się nie zatrzymała. Nie wiem, czy nie słyszała, czy chciała mnie zignorować. — Zamilkła i przełknęła ślinę. — A wtedy zdarzyło się coś dziwnego.

— Co?

— Jakiś samochód zahamował przy niej z piskiem i zanim się zatrzymał, wyskoczył z niego jakiś wielki facet. Ashley chciała uciec, ale on już był przy niej. No wiesz, to była sekunda, może dwie. Złapał ją i przerzucił sobie przez ramię. Wrzasnęła. Ja też wrzasnęłam. I pobiegłam do nich co sił w nogach. Nawet się nie zastanawiałam, wiesz? Po prostu zaczęłam biec i krzyżeć. Ten wielki facet nie zwracał na mnie uwagi. Zaczął wpychać ją do samochodu, ale Ashley się opierała. Złapała rękami za krawędź drzwi i próbowała się wyrwać. Ten wielkolud wpychał ją, ale ona mocno się trzymała. Kierowca krzyknął „szybciej” i wielkolud zacisnął pięść. Zamachnął się, żeby ją uderzyć, ale ja byłam już blisko. Znowu wrzasnęłam, usiłując zwrócić jego uwagę. Wyjęłam komórkę i wycelowałam w niego. Krzyknęłam: „Zadzwoń na policję i wszystko to nagrywam! Puść ją!”.

— Zrobiłaś to?

— Co?

— Zadzwońska i nagrywałaś?

— Chciałabym, żeby tak było. Trzeba znaleźć klawisz aplikacji, nacisnąć go, a potem wybrać zapis... Nie było na to czasu. Zareagowałam instynktownie.

Mój telefon komórkowy znowu zahuczał. Zerknąłem na wyświetlacz. Znowu wiadomość od Emy: *gdzie jesteś??!* **WAŻNE**.

Nie miałem czasu odpisywać. Skinieniem głowy dałem Rachel znak, żeby mówiła dalej.

W każdym razie ten wielkolud odwrócił się do Mnie. Ashley to wykorzystała. Kopnęła go, aż się zatoczył. Wyrwała mu się i uciekła. Facet chciał ją gonić, ale zobaczył mnie z telefonem w ręku i chyba postanowił nie ryzykować. Wskoczył do samochodu. Zanim odjechali, kierowca zawołał groźnie: „Nie możesz wiecznie się ukrywać, Ash. Wiesz, że cię znajdę”. I już ich nie było.

— Zanotowałaś numer rejestracyjny samochodu?

Rachel skinęła głową.

— Zapamiętałam go, a potem podbiegłam do Ashley, upewnić się, że nic jej nie jest. Naprawdę chciałam zadzwonić na policję, ale Ashley położyła rękę na moim ramieniu i szepnęła: „Nie możesz wezwać policji”. Była bardzo przestraszona.

Rachel trzymała ręce na podołku. Zaczęła nerwowo obracać pierścionek na palcu wskazującym prawej ręki. Mój telefon znów zabuczał. Potem znówu. Nawet nie spojrzałem, kto dzwoni.

— Dlaczego nie chciała, żebyś zadzwoniła na policję?

— Powiedziała, że to jeszcze pogorszy sytuację. Błagała mnie, żebym nie dzwoniła, więc co miałam robić? Przyszliśmy tutaj, do mojego domu. Na początku Ashley nie chciała o tym mówić. Tylko płakała i się obwiniała. Mówiłam jej, że to nie jej wina, ale ona mnie nie słuchała. Włączyłam komputer i znalazłam numer telefonu Kentów. Powiedziałam: „Zawiadomimy twoich rodziców”, ale ona znów mnie powstrzymała. Powiedziała mi, że wcale nie nazywa się Kent. Po prostu wybrała ich jako mieszkańców Kasselton nie mających dzieci w wieku szkolnym. Potem udawała ich córkę, żeby zapisać się do szkoły.

— Można tak zrobić?

Rachel wzruszyła ramionami.

— Chyba tak.

— Więc Kentowie nic o niej nie wiedzieli?

— Tak myślę. Powiedziała, że pracowała w jakimś okropnym nocnym klubie i że wszyscy tam sądzili, iż jakiś straszny facet porwał ją i sprzedał za granicę. Podczas gdy w rzeczywistości stamtąd uciekła.

„Sprzedał”, pomyślałem, czując, jak zimny dreszcz przechodzi mi po krzyżu. Candy mówiła o tym, że za sprawą Antoine’a dziewczęta znikają zabrane przez Białą Śmierć. Widocznie właśnie to miała na myśli.

— Tak więc — ciągnęła Rachel — była tutaj, w Kasselton, ukrywając się przed swoją przeszłością, zanim zostanie wysłana do punktu docelowego.

— Punktu docelowego?

— Tak powiedziała. Jakby pobyt w Kasselton był tylko czasowy. Jednak podobało jej się tu. Powiedziała... powiedziała, że jeszcze nigdy nie była taka szczęśliwa. Chciała znaleźć jakiś sposób, żeby Kasselton stało się jej punktem docelowym, ale oni ją znaleźli. To, powiedziała, był jej błąd.

Kolejny sygnał. Zerknąłem na wyświetlacz. Taa, to Ema: muszę ci coś pokazać, obiecuję że nie będziesz zły.

— Ten facet w samochodzie, czy miał tatuaż na twarzy? — spytałem.

— Nie. Był wysoki, może twojego wzrostu, ale o wiele cięższy. I czarnoskóry.

Pomyślałem o Derricku, bramkarzu z Plan B Go-Go Lounge.

— Jak ją znaleźli?

— Ashley nie wiedziała, ale ja chyba wiem,

— Jak?

— Oboje jesteście nowymi uczniami, prawda?

— Prawda.

— Zatem braliście udział w tych upiornych zajęciach integracyjnych pani Owens.

Pamiętałem. Ludzie, ależ to była głupota!

— Co z tego?

— Codziennie przynoszą nam „Star Ledger”. Był w niej artykuł. Jedno ze zdjęć ukazywało jakiś bieg sztafetowy. I była na nim Ashley, bardzo dobrze widoczna.

„Star Ledger” to najpoczytniejsza gazeta w stanie i rozchodzi się w Newark. Teoria Rachel miała sens.

— No dobrze — powiedziałem — więc przyszłyście do twojego domu. Co zrobiłyście potem?

— Ashley musiała się ukryć i zastanowić nad sytuacją. Powiedziałam jej, że może zatrzymać się u mnie. — Rachel zobaczyła, że otwieram usta, więc podniosła rękę,

powstrzymując mnie. — Uprzedzając twoje następne pytanie: moi rodzice są rozwiedzeni. Matka mieszka na Florydzie, ojciec ma trzecią młodą żonę. Dużo podróżują.

— Masz jakieś rodzeństwo?

— Starszego brata. Studiuje. Mamy tu służbę, ale domek gościnny jest sprzątny tylko w czwartki.

— Więc tam ją umieściłaś?

— Tak. Ashley obawiała się, że ci faceci, którzy próbowali ją złapać, nadal będą szukali. Powiedziała, że są niestrudzeni i mogą dopaść jedyną zaprzyjaźnioną tu z nią osobę.

— Czyli mnie.

Skinęła głową.

— Poszłam i zabrałam z jej szafki ubrania oraz notatnik. Miała w nim zapisane twoje nazwisko i numer telefonu. Robiła notatki. Gdyby ci faceci je znaleźli, odkryliby, że się przyjaźnicie. Jednak nawet gdy to zrobiłam, Ashley nie była pewna, czy się do ciebie nie dobiorą.

— I dlatego poprosiła cię, żebyś miała mnie na oku?

— Tak.

— I zrobiłaś to. Zostałaś nawet moją partnerką na historii.

Rachel popatrzyła na przesadnie elegancki salon, jakby widziała go pierwszy raz. Wyglądał jak pomieszczenie w jakimś europejskim pałacu. Siedzieliśmy na twardej i niewygodnej kanapie.

— Dlaczego? — zapytałem.

— Co dlaczego?

— Ledwo ją znałaś. Nie była twoją przyjaciółką.

— To prawda.

— Poza tym to było niebezpieczne. Widzieli twoją twarz. Mogli cię odnaleźć.

— Chyba tak.

— A więc dlaczego jej pomogłaś?

Rachel zastanawiała się przez chwilę.

— Ponieważ miała kłopoty. Ponieważ nie pomogłam jej podczas kwalifikacji do zespołu cheerleaderek. Sama nie wiem. Chciałam jej pomóc. Po prostu wydawało mi się, że tak trzeba. Nie chcę, żeby to zabrzmiało zbyt pretensjonalne, ale tak było. Czułam się zobowiązana.

Nic nie powiedziałem. Wiedziałem, co miała na myśli. Moi rodzice przez całe życie czuli się zobowiązani. Gdybyście zapytali ich dlaczego, odpowiedzieliby podobnie jak Rachel.

Telefon znów zabuczał. Westchnąłem i wyjąłem go z kieszeni. Oczywiście kolejna wiadomość od Emy; chciałam pokazać ci ten obrazek osobiście ale go wysyłam. *Był tu od miesięcy.*

Do wiadomości była załączona fotografia. Kliknąłem. Przez moment nie wiedziałem, co to jest. Jakieś zbliżenie, w dodatku nieostre. Zobaczyłem, że to skóra. Popatrzyłem pod innym kątem, skupiłem wzrok i krew zastygła mi w żyłach.

To był niebiesko-zielony tatuaż. Teraz go rozpoznałem. Ten sam lekko rozmazany emblemat motyla ze ślepiami na skrzydłach.

*Czyj to tatuaż?* — wystukałem drżącymi palcami.

Chwila przerwy. Rachel patrzyła na mnie. Czekałem na następny SMS. Nie przyszedł od razu. Wreszcie, po całej minucie, jakby litery się ociągały, nadeszła wiadomość od Emy: *mój.*

Z podrobionym prawem jazdy w portfelu zabrałem Emę z jednej z ulic w pobliżu Kasselton Avenue. Zmieszana wsiadła do forda taurusa.

— Nic z tego nie rozumiem — powiedziałem.

— To był pomysł Agenta — wyjaśniła pospiesznie Ema.

Właśnie tam jechaliśmy — do salonu tatuażu, pogadać z Agentem.

— W lecie poszłam do Agenta, żeby zrobił mi tatuaż na plecach. Chciałam coś dużego i dramatycznego, więc stworzył ten skomplikowany wzór, z zawijasami i literami, a potem...

— Urwała. — Dziwnie na mnie patrzysz.

— Żartujesz, prawda?

Nie odpowiedziała.

— Oczywiście, że dziwnie na ciebie patrzę — powiedziałem ostrzej, niż zamierzałem. — Ten symbol był na starej fotografii w domu Nietoperzycy. I na nagrobku w jej ogrodzie. Ktoś nawet narysował go na tabliczce na grobie mojego ojca. Teraz nagle okazuje się, że jest wytatuowany na twoich plecach.

— Wiem. Ja też tego nie rozumiem. Widzisz, ten tatuaż jest dość duży i motyl to tylko niewielka jego część. Nawet na początku go tam nie było, ale Agent powiedział, że dodał go w przypływie twórczej weny.

Pokręciłem głową.

— Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym, kiedy zobaczyłaś go na nagrobku?

— Przecież uciekłeś, pamiętasz? I zostałeś aresztowany.

A wczoraj? U Baumgarta? Albo dzisiaj w szkole?

Ema nie odpowiedziała.

— No?

Przestań na mnie krzyczeć.

— Nie krzyczę. Ja tylko... — jak mogłaś to przede mną ukryć?

— A dlaczego ty nie powiedziałeś mi, że dziś w tajemnicy spotykasz się z panną Piękne Ciałko? Co? — Skrzyżowała ręce na piersi. — Ty nie mówisz mi wszystkiego, ja też nie mówię ci wszystkiego.

— Emo?

— Co?

— To bzdura i dobrze o tym wiesz. Dlaczego nie powiedziałaś mi o tatuażu?

Ema spojrzała przez przednią szybę. Dojeżdżaliśmy do salonu Agenta. Nie poganiałem jej. Nie miałem powodu naciskać, jeszcze nie, ale chciałem wiedzieć, co się dzieje. Włączyłem radio, ale Ema przekręciła gałkę, wyłączając je.

Zapadła w fotel.

— Bałam się, wiesz?

— Czego się bałaś?

Potrząsnęła głową i ściągnęła brwi. Miała srebrne pierścionki na wszystkich palcach, co nadawało jej nieco cygański wygląd.

— Jak na takiego bystrego faceta bywasz strasznie tępy.

— Hm. Może więc mi to wyjaśnisz?

— Na początku nie byłam pewna. Myślałam, że może ten znak na nagrobku tylko wyglądał jak mój tatuaż, ale nie był taki sam.

— Na początku? — powtórzyłem.

— Właśnie.

— A potem?

Zerknąłem na nią. Po jej policzku spływała łza.

— Wydaje ci się, że mam wielu przyjaciół?

Milczałem.

— Pomyślałam, że możesz się rozzłościć — szepnęła Kina. — Albo że będziesz mnie winił. Przeszanieś mi wierzyć i ufać. Pomyślałam... — odwróciła głowę i już nie widziałem jej twarzy — że nie będziesz chciał więcej się ze mną przyjaźnić.

Jej przepelniony żalem głos łamał mi serce.

— Emo? — powiedziałem, kiedy zatrzymaliśmy się na światłach.

— Co?

— Popatrz na mnie.

Zrobiła to. Miała łzy w oczach.

— Powierzyłbym ci moje życie — powiedziałem. — czy ci się to podoba, czy nie, jesteś najlepszą przyjaciółką, jaką kiedykolwiek miałem.

Nie zostało do powiedzenia nic więcej. Resztę drogi do salonu tatuażu przejechaliśmy w milczeniu.

\* \* \*

Kiedy tam przyjechaliśmy, w salonie Tatuaze na Poczekaniu był ruch. Pospieszaliśmy do fotela Agenta stojącego na tyłach, ale nikogo tam nie było. Stałem przy pustym fotelu, jakbym mógł zmaterializować go wzrokiem. Nie zdołałem.

— Mickey? — odezwała się Ema.

Popatrzyłem na nią. Wskazywała lustro na biurku Agenta. Podeszliśmy tam. I stanęliśmy, bojąc się poruszyć. Przyklejony do dolnego lewego rogu lustra widniał ten sam emblemat motyla.

— Hej, Emo! Czego sobie życzycie?

Odwróciłem się, słysząc ten głos. Nie, to nie był Agent.

Domyśliłem się, że facet jest tatuażystą albo stałym klientem. Każdy skrawek jego odsłoniętej skóry zdobiły wzory. Pomyślałem o tatuażach, o ich związku z całą tą sprawą, o tatuażu na plecach Emy i na twarzy Antoine'a i najgorszym z nich, numerze wytatuowanym w obozie koncentracyjnym Auschwitz młodej dziewczynie, Elizabeth Sobek.

— Hej, Ian — rzuciła Ema z udawaną nonszalancją. Czy wiesz, gdzie jest Agent?

— Nie ma go.

Ian spojrział na Emę. Potem na mnie. Popatrzyłem na niego beznamyślnie.

— Hm, tak, widzimy.

— Czy wiesz, gdzie on jest? — spytała Ema. — Albo kiedy wróci?

— Zrobił sobie wolne. Nie będzie go przez jakiś czas,

— Jak długo? — zapytałem. — Dzisiaj czy...

— Na pewno nie jutro. Nie w tym tygodniu. — Ian przyjrzał mi się uważnie, jakbym był koniem, którego zamierza kupić. — Ty pewnie jesteś Mickey.

Zaskoczył mnie.

— Czy ja pana znam? — zapytałem.

— Nie. Agent powiedział mi, że przyjdiesz.

Zerknąłem na Emę. Wzruszyła ramionami, dając mi do zrozumienia, że ona też tego nie rozumie.

— Tak powiedział?

Ian skinął głową.

— Prosił, żebym się tobą zajął, ale nie powiedział, gdzie mam ci zrobić tatuaż. Na ramieniu, udzie, plecach... gdzie chcesz?

Zrobiłem krok w jego kierunku.

— Nie jesteśmy umówieni.

— Och, wiem.

— Więc mówiąc, że się nas pan spodziewał...

— Agent nie mówił kiedy. Powiedział tylko, że przyjdiesz. A dokładnie, że wpadniesz. I powiedział, że kiedy tu przyjdiesz, mam się tobą zająć. Patrz, zostawił tu dla ciebie ten wzór.

Ruchem brody wskazał dolny lewy róg lustra — symbol, który widziałem w domu Nietoperzycy, na grobie mojego ojca i na plecach Emy.

— Podoba ci się? — zapytał Ian.

Zaniemówiłem na chwilę.

— Co to jest? — zapytałem i mój głos wydał mi się dziwnie zduszony.

Teraz Ian wyglądał na zdziwionego.

— Nie wiesz?

Pokręciłem głową.

— Agent ci nie powiedział?

— Nie.

Teraz Ian pokręcił głową.

— Człowieku, to dziwne. Dlaczego sądził, że bodziesz chciał to sobie wytatuować, jeśli nie wiesz, co tu takiego?

— Nie wiem — wybąkałem. — Ale może ty mi to wyjaśnisz?

Ian zastanawiał się przez chwilę. Czekaliśmy.

— To motyl — powiedział w końcu.

Powstrzymałem zniecierpliwione westchnienie.

— Taak, widzimy.

— A dokładniej, brązowy motyl *Tisiphone abeona*.

Przy ostatnim słowie poczułem pustkę w brzuchu. Przełknąłem ślinę, powtarzając je w myślach.

— Co powiedziałaś?

Widocznie w tonie mojego głosu usłyszał groźną nutę, ponieważ podniósł ręce, jakby chciał mnie powstrzymać.

— Hola, uspokój się, gościu.

Nabrałem powietrza.

— Jak nazwałeś tego motyla?

— Hej, powiedział mi to Agent. Cały czas o tym mówił.

— Proszę. — Staralem się panować nad głosem. — Powtórz mi jeszcze raz nazwę tego motyla.

— Brązowy motyl *Tisiphone abeona*.

Przełknąłem ślinę.

— *Abeona*?

— Tak — rzekł Ian, teraz już z uśmiechem. — Hej, słyszałeś o Abeonie?

Nie odpowiedziałem.

— Ja i Agent interesujemy się starożytnymi bogami i boginiami, ponieważ, no wiesz, ludzie chcą mieć ich wytatuowanych. Abeona była rzymską boginią. Wiesz od czego?

Stałem oszołomiony. Wróciłem myślami do pisemnej rezygnacji mojego ojca: *Wiem, że nikt tak naprawdę nie opuszcza Schroniska Abeona...*

— Nie jestem jej wielkim fanem — ciągnął Ian — ale widzicie, Abeona była kimś w rodzaju opiekuńczej bogini. Chroniła dzieci, kiedy opuszczały rodzinny dom, strzegąc ich podczas podróży. Takie rzeczy. Tyzyfone była jedną z Erynii, starożytnych greckich bóstw, wiecie? Karała zbrodnie, takie jak morderstwa, szczególnie kiedy dotyczyły dzieci. Znaie jej historię?

Pokręciłem głową, bojąc się odezwać.

— W porządku, widzicie, ojciec Tyzyfone, Alkmeon, musiał zostawić ją i jej brata Amfilocha u Kreona, który był królem Teb. Tyzyfone, już jako dziewczynka, była niezłą laską, więc zła żona Kreona sprzedała ją w niewolę. Nie miała pojęcia, że facet, który kupił Tyzyfone, tak naprawdę pracował dla Alkmeona, jej ojca. Widzicie? Ten ułożył sprytny plan, żeby uratować swoje dzieci.

— Skąd to wszystko wiesz? — spytałem.

— Och, człowieku, Agent wciąż o tym mówił. Dlatego uwielbiał tego motyla. Zdaje się, że żyje w Australii albo Nowej Zelandii, gdzieś tam, ale nadano mu imiona Tyzyfone i Abeony. Dlatego lubił używać go w swoich pracach. Widzicie te oczy na skrzydłach? Jakby cię obserwowały. Dla niego to symbol ratowania dzieci. Chodzi o to, żeby je bronić i chronić.

Chronić. Schronisko Abeona. W którym przez tyle lał pracował mój ojciec...

— Ianie — odezwała się Ema — czy wiesz, jak możemy skontaktować się z Agentem?

Ian się uśmiechnął.

— Powiedział, że o to zapytacie. Chciał, żebym jasno wam to wytłumaczył.

— No i?

— Nie. W żaden sposób nie możecie skontaktować się z Agentem. — Skinął na mnie. — I co powiesz, Mickey? Jesteś gotowy zrobić sobie tatuaż?

Zadzwoniła moja komórka. Spojrzałem i zobaczyłem, że to SMS od Rachel: *Mam ślad Ashley.*

— Nie teraz — powiedziałem, spiesząc do drzwi.

A może nigdy.



Mieliśmy się spotkać w domu Myrona, ale zmieniliśmy plany, kiedy porozmawiałem z nim przez komórkę.

— Gdzie jesteś? — spytał.

Nie spodobał mi się ton jego głosu.

— Z przyjaciółmi — odparłem.

— Prowadząc czyj samochód?

Oho. Ema mi się przyglądała. Bezgłośnie powiedziałem: „Kłopoty”.

— Wiem, że ojciec nauczył cię prowadzić — ciągnął Myron — jednak to niezgodne z prawem. Dobrze o tym wiesz.

— Jestem u koleżanki.

— Której?

— Rachel. Poznałeś ją wczoraj wieczorem.

— Nie mogłeś tam pójść?

— Hm, wiesz, ona nie umawiała się z dzieciakiem. Powiedziałem jej, że jestem starszy.

O rany, czy mogłem powiedzieć coś bardziej obciachowego?

— Skłamałeś?

— Nie, niezupełnie. Ja tylko pozwoliłem jej sądzić... Posłuchaj, powiem jej prawdę. Potem odprowadzę samochód i już więcej go nie wezmę.

— Mickey — rzekł Myron tym swoim głosem rodzica — czy wiesz, co będzie, jeśli komendant Taylor przyłapie cię za kierownicą?

Nie odpowiedziałem.

— Po prostu zostaw tam samochód i wróć do domu pieszo. Jakoś go ściągnę.

— Dobrze — powiedziałem. — Dziękuję. Mogę tu zostać jeszcze trochę?

— Tylko jeśli obiecasz, że powiesz jej prawdę. Nie powinienes jej okłamywać.

O rany.

— Masz absolutną rację — powiedziałem, dławiąc się tymi słowami. Chciałem mu powiedzieć, żeby się wypchał, ale jeszcze bardziej nie chciałem, żeby zaczął mnie szukać. — Przepraszam. Zaraz jej powiem. Cześć.

Kiedy się rozłączyłem, Ema zaczęła się śmiać.

— No co? — zapytałem.

— Twój wujek to kupił?

Uśmiechnąłem się mimo woli.

— To dla niego nowość.

— Tak mi się wydaje.

Zadzwoniliśmy do Rachel i zmieniliśmy miejsce spotkania na jej dom. Brama zamykająca podjazd otworzyła się w chwili, gdy do niej podjechałem. Widocznie Rachel obserwowała ulicę. Ema siedziała i nic nie mówiła. Nic wygłaszała żadnych uwag, kiedy podjeżdżaliśmy do rezydencji.

— Nadal nie wiem, gdzie mieszkasz — powiedziałem do niej.

— Mamy większe zmartwienia, nie sądzisz?

Miała rację. Kiedy dojechaliśmy do domu, Rachel już stała w drzwiach. Ema popatrzyła na nią z miną, której nie mogłem nazwać inaczej niż zrezygnowaną.

— Co jest? — zapytałem.

— Ona jest piękna, prawda?

Nie wiedziałem, co powiedzieć, więc nie powiedziałem nic. Nacisnąłem klamkę i wysiadłem z auta. Rachel uśmiechnęła się na mój widok. Ten uśmiech nieco przygasł, gdy

zobaczyła Emę. Oboje ruszyliśmy chodnikiem do drzwi. Rachel obserwowała Emę. Ema obserwowała Rachel. Nie wiedziałem, co robić.

— Ashley nie chciała, żeby ktoś o tym wiedział — zastrzegła Rachel.

— Wszystko w porządku — uspokoiłem ją. — Ema tkwi w tym od początku.

Rachel nie wyglądała na uszczęśliwioną moją odpowiedzią. Ema również. Próbowałem posunąć sprawy naprzód:

— Mówiłaś, że masz jakiś ślad Ashley?

Rachel spojrzała na mnie czujnie.

— Wszystko w porządku — powtórzyłem.

Westchnęła i wprowadziła nas do domu. Usiedliśmy w tym samym urządzonym z przepychem salonie, w którym Rachel i ja siedzieliśmy przed kilkoma godzinami.

— Ten laptop był w domku dla gości. Ashley sprawdzała na nim pocztę. Udało mi się wejść na jej konto.

— Jak? — spytałem.

Rachel miała niewyraźną minę.

— Mój ojciec rzadko bywa w domu, ale to nie oznacza, że nie chce mieć mnie na oku. W zeszłym roku umieścił rodzicielskie oprogramowanie szpiegujące we wszystkich komputerach w domu, żeby wiedzieć, co robię.

— Fuj. — Ema się skrzywiła.

— Wiem.

Ema pokręciła głową.

— Rodzice — westchnęła.

Widziałem, że napięcie między nimi nieco osłabło. Odrobinę. Może „osłabło” to niewłaściwe słowo. Raczej „zrelaxowało”. Ale wciąż było wyczuwalne.

— Chodzi o to, że mój ojciec nie zna się na komputerach. Po prostu kupił program w sieci, co świadczy o tym, że nie ma pojęcia o tych rzeczach. Zauważyłam, co się dzieje, i znalazłam jego hasła dostępu, więc teraz widzi to, co chcę, żeby widział, jeśli mnie rozumiecie. Nie żebym miała coś do ukrycia. W tym rzecz. Nie mam, ale... No, nieważne. — Rachel założyła za ucho niesforny kosmyk włosów. — W każdym razie chodzi o to, że chociaż Ashley skasowała historii, połączeń, mogłam zobaczyć, co robiła na tym komputerze.

— I? — naciskałem.

— Dzisiaj rano dostała ten e-mail.

Rachel podała mi wydruk. Wiadomość była krótka i rzeczowa:

*Ash —*

*Mam straszne kłopoty. On myśli, że cię ukryłam. Wiesz, jaki potrafi być. Wiesz, co może zrobić. Proszę, Ash. Proszę, wróć i pomóż mi.*

A potem, na dole, zobaczyłem podpis autorki tej wiadomości: „Candy”.

\* \* \*

— A więc — powiedziała Rachel — rzecz w tym, kim jest ta Candy?

— Ja wiem. — Znów poczułem lęk.

Za nic nie chciałem wracać do tego okropnego lokalu, ale jakoś wiedziałem, że w końcu będę musiał. Nie widziałem innego wyjścia. Nawet jeśli miało to oznaczać ponowne starcie z Buddym Rayem i jego olbrzymim bramkarzem. Nawet jeśli oznaczało to starcie z Antoine’em LeMaire’em. Nawet jeśli oznaczało to spotkanie z Białą Śmiercią.

Widziałem Nietoperzycę, która w jakiś sposób była powiązana z moim ojcem, a także ze Schroniskiem Abcona, bezgłośnie mówiącą do mnie: „Ratuj Ashley”.

Mój ojciec przez całe życie pracował dla tego schroniska. Być może teraz zrozumiałem, na czym naprawdę polegała jego praca. Nie wierzyłem w fatum. Nawet nie wierzyłem w powołanie czy szczytny cel. Jak to ujęła Rachel?

„Po prostu wydawało mi się, że tak trzeba”.

To było takie proste, a zarazem takie głębokie. Poczucie obowiązku. Nawet gdybym chciał się wykręcić, nie mogłem.

Musiałem ratować Ashley.

Rachel i Ema chodziły do tej samej szkoły przez prawie dziesięć lat i nigdy ze sobą nie rozmawiały. Pierwsza była piękną cheerleaderką, druga wyśmiewaną outsiderką. A ja, Mickey Bolitar, wreszcie znalazłem sposób, żeby je zjednoczyć.

Jaki?

Po prostu wypowiadając następujące zdanie:

— Muszę to zrobić sam.

Rachel i Ema stanęły ramię w ramię, krzyżując ręce na piersi.

— O nie — powiedziała Ema — nie zostawisz nas.

— My też idziemy — dodała Rachel.

— I nie mów nam, że to niebezpieczne — ostrzegła Ema.

— Jeśli jest niebezpieczne dla nas, to dla ciebie też — dorzuciła Rachel.

— Racja, więc nie wciskaj nam tych seksistowskich kawałków — prychnęła Ema.

— Właśnie. Nie jesteśmy małymi dziewczátkami potrzebującymi opieki wielkiego silnego mężczyzny — podsumowała Rachel.

Może było tego więcej — przyznam, że się wyłączyłem — ale i tak nie miałem szans. Wiedziałem, że będę musiał się poddać, więc po co odwlekać nieuniknione?

— No więc, jaki mamy plan? — zapytała Ema.

Spojrzałem na zegarek. Dwudziesta pierwsza.

— Nie wiem. Chyba pojedziemy do Plan B Go-Go Lounge i zobaczymy, czy uda nam się znaleźć Candy lub Ashley.

— Rozpoznają cię — zauważyła Rachel.

Miała rację.

— W porządku, więc zróbmy burzę mózgów i zobaczymy, co uda nam się wymyślić.

Moja komórka znów zadzwoniła. Popatrzyłem i zobaczyłem, że to wujek Myron. Odebrałem.

— Halo? — powiedziałem ostrożnie.

— Robi się późno. Czy powiedziałeś Rachel prawdę?

— Tak.

— Na pewno?

— Ona przy mnie siedzi. Mam jej dać telefon?

— Nie trzeba. Znalazłem jej adres w sieci. Jest ze mną moja współpracowniczka Esperanza. Jedziemy po ciebie i zabierzemy samochód.

Otworzyłem szeroko oczy. Ema i Rachel zauważyły to i przysunęły się do mnie. Odchyliłem aparat tak, żeby mogły słyszeć.

— Nie teraz. Ślęczymy nad wypracowaniem z historii.

— Chodźcie razem na zajęcia z historii? — zapytał Myron.

— Tak.

— Zatem oboje jesteście w drugiej klasie — stwierdził i wydało mi się, że w jego głosie słyszę drwiące rozbawienie. — Rachel musi wiedzieć, ile masz lat. Dlaczego miałyby sądzić, że uczeń drugiej klasy może prowadzić samochód?

Tu mnie miał.

— Zaczekaj chwilę, Myronie, mam drugi telefon.

Przełączyłem go na tryb oczekiwania i ruszyłem do drzwi.

— Co jest? — zapytała Rachel.

— Szybko, on wkrótce tu będzie i zabierze samochód. Musimy wyruszyć natychmiast.

Wszyscy pobiegliśmy do forda taurusa. Ja usiadłem za kierownicą, Rachel i Ema zawahały się, nie wiedząc, gdzie siadać, ale Rachel szybko przełamała impas. Otworzyła przednie drzwi po stronie pasażera.

— Usiądź tutaj, Emo — powiedziała.

Ema zrobiła, co jej kazała. Rachel zatrzasnęła drzwiczki i usiadła z tyłu.

Pojechałem długim podjazdem i skręciłem w lewo. Do tej pory Myron już się rozłączył i kilkakrotnie próbował znowu się do mnie dodzwonić. Nie odbierałem. Rachel się obejrzała.

— Czy twój wujek też jeździ fordem taurusem? — spytała.

— Tak.

— Hm, to właśnie podjeżdża do bramy.

Mocniej wdepnąłem pedał gazu, szybko skręciłem w lewo, a potem w prawo, lawirując po krętych uliczkach miasteczka, aż upewniłem się, że nikt za nami nie jedzie, potem pojechałem główną ulicą do Newark.

Po dwudziestu minutach — i kilku uwagach Rachel oraz Emy, że najwyraźniej zablądziłem — znalazłem miejsce do parkowania kawałek od Plan B Go-Go Lounge. Doskonale widziałem stamtąd frontowe drzwi lokalu, ale to niespecjalnie mnie cieszyło.

Nie podoba mi się to — mruknąłem.

— To jedyny sposób — odparła Rachel. — Przecież wiesz.

— Nic nam nie się nie stanie — dodała Ema.

Pokręciłem głową. Rachel i Ema wbijały mi do głowy oczywisty fakt: nie mogę wrócić do tego klubu. Znają mnie tam. Poturbowałem bramkarza Derricka, który — dzięki Bogu — nie stał teraz przy drzwiach. Rachel wymyśliła prosty plan: wejdą tam z Ema, udając, że szukają pracy. W ten sposób będą mogły rozejrzeć się i może zobaczyć Ashley lub Candy, którą im opisałem.

— Mógłbym tam wejść w przebraniu — podsunąłem. — Nie poznałoby mnie.

Rachel i Ema wyśmiały ten pomysł.

— Niby w jakim? — kpiła Rachel. — Z przyklejonymi wąsami? W blond peruce? A jeśli poproszą cię o dowód tożsamości i zobaczą twoje zdjęcie?

Na to nie znalazłem odpowiedzi.

— Już to omawialiśmy — przypomniała Ema.

— Nadal mi się to nie podoba.

— Trudno — ucięła Rachel. — Posłuchaj, Ema będzie miała przez cały czas włączoną komórkę. — Ma o wiele lepszy zasięg niż ja: ja miałem jedną kreskę, ona pięć. — Będziesz wszystko słyszał. To publiczne miejsce. Co mogą nam zrobić? Ponadto mamy umówione hasło, no nie?

— Żółty — powiedziałem.

— Właśnie. Powiemy „żółty”, jeśli czujemy, że tracimy grunt pod nogami.

— Powinniśmy to przemyśleć — powiedziałem.

— Już to zrobiliśmy — odparła Ema i zanim zdążyłem powiedzieć coś jeszcze, wysiadły i poszły w kierunku klubu. Zadzwoiła moja komórka. Zablokowałem rozmowy przychodzące od Myrona, więc wiedziałem, że to nie on. Spojrzałem i zobaczyłem, że to Ema. Odebrałem.

— Halo?

— Dobrze mnie słyszysz? — zapytała.

— Tak.

— Wyłącz mikrofon, żeby czegoś nie usłyszeli — poleciła.

Zrobiłem to. Patrzyłem, jak podchodzą do drzwi. Rachel miała na sobie obcisłe dżinsy, Ema, jak zawsze, była w czarnym rynsztunku. Wiedziałem, że Rachel bez trudu wejdzie do środka. Byłem pewny, że powitają ją tam z otwartymi ramionami. Najbardziej obawiałem się tego, że mogą ją powitać zbyt entuzjastycznie. Ema zauważyła, że może mieć problemy z

przekonaniem bramkarzy, iż szuka pracy jako tancerka, na co Rachel ściągnęła brwi i powiedziała: „Nonsens, wyglądasz super”.

Gdyby powiedział to ktoś inny, zabrzmiałoby to sztucznie i protekcyjnie. W ustach Rachel... no cóż, nawet Ema to kupiła.

Patrzyłem na dwóch bramkarzy przy drzwiach. Obaj byli znacznie mniej postawni od mojego znajomego z wczoraj, tego, który próbował porwać Ashley z ulicy i który przytrzymał mnie, dopóki nie uderzyłem go głową w nos. Zastanawiałem się, czy mu go złamałem, ale nie spędzało mi to snu z powiek.

Bramkarze zauważyli Rachel i Emę zmierzające do drzwi. Nie sędzę, żeby wiele kobiet przychodziło tu w charakterze gości, szczególnie bez męskiej eskorty. Rachel i Ema przystanęły przy drzwiach. Przez telefon słyszałem rozmowę.

— Halo, moje panie, co mogę dla was zrobić? — zapytał bramkarz po prawej.

— Chciałybyśmy zobaczyć się z kimś w sprawie pracy — odrzekła Rachel.

— Jakiego rodzaju pracy?

— Tancerek, kelnerek, jakiegokolwiek.

— Szef będzie zachwycony — odezwał się bramkarz po lewej. — Ale... — wskazał Emę — nie nią.

Miałem ochotę dać mu w dziób. Bramkarz po prawej szturchnął go.

— Facet, to było nieuprzejme.

— Co?

— Tak — przyznała Rachel. — To było nieuprzejme.

— Ja uważam, że ona jest ładna. — Bramkarz z prawej uśmiechnął się do Emy. — Masz słodką buzię, mała.

— Dziękuję — mruknęła Ema.

— I założę się, że umiesz się ruszać na parkiecie, mam rację?

— Jak burza — powiedziała Ema, gdy obie wchodziły do klubu. — Kiedy potrząsnę tym, co mam, zderzają się światy.

Siedząc w samochodzie, uśmiechałem się, myśląc: Boże, uwielbiam tę dziewczynę, gdy szyba po stronie kierowcy się rozprysnęła. Posypał się na mnie grad okruszków szkła. Ledwo zdążyłem zareagować, gdy dwie ręce złapały mnie za kołnierz i wyciągnęły przez okno. Resztki szkła rozerwały mi ubranie, kalecząc ciało.

To był bramkarz Derrick. Miał na nosie biały plaster. Wyglądał na rozwścieczonego.

— No, no, no, patrzcie, kto tu wrócił się przywitać.

Cisnął mną przez ulicę. Uderzyłem głową o bok jakiegoś samochodu, wgniatając blachę. Próbowałem zebrać siły, ule byłem półprzytomny. Wystarczyłby mi moment, żebym złapał oddech, ale Derrick nie dał mi na to szans.

Kopnął mnie w twarz.

Próbowałem przetoczyć się na bok, ale już mnie dopadł. Uderzył mnie w szczękę, aż zadzwoniły mi zęby. Potem oberwałem kolaniem w zębra, a kolejny cios, który spadł na mnie nie wiadomo skąd, prawie mnie ogłuszył. Oczy zaczęły mi uciekać w głąb czaszki, gdy znów mnie walnął. I pochłonęła mnie ciemność.

\* \* \*

Kiedy się ocknąłem, Derrick ciągnął mnie w głąb zaułka. Jedną ręką chwycił mnie za kołnierz, w drugiej trzymał komórkę.

Poczułem ból, od którego łzy napłynęły mi do oczu. Najpierw pomyślałem o Rachel i Emie. Teraz nie mają wsparcia. Czy o tym wiedzą? Wątpiłem w to. Gdyby widziały, jak Derrick mnie zaatakował, krzyczałyby albo próbowały coś zrobić. Nie, weszły do klubu. Są tam same. Nikt już nie słyszy tego, co się tam dzieje.

Derrick rozmawiał przez telefon.

— Przyprawdę go, Buddy Ray — powiedział.

— Nie, nie ma po co. — Usłyszałem płynący z telefonu łagodny głos Buddy'ego Raya. —

Odzyskaliśmy Ashley.

— To co mam z nim zrobić?

— Gdzie jesteś?

— W zaułku na tyłach.

— Jacyś świadkowie?

— Nie — odparł Derrick.

— No to się go pozbądź — polecił Buddy Ray.

Pozbądź?

Strach może być jak chluśnięcie w twarz zimną wodą. Rozważałem następny ruch. Mogłem jeszcze przez kilka sekund udawać nieprzytomnego i próbować go zaskoczyć. Derrick nagle się zatrzymał. Puścił mnie, jakbym był workiem z praniem. Nie otwierałem oczu, udając nieprzytomnego.

— Otwórz oczy, mały.

Gdy tego nie zrobiłem, Derrick czubkiem buta kopnął mnie w żebra. Poczułem przeszywający ból w klatce piersiowej. Gwałtownie otworzyłem oczy. Zobaczyłem, że spoglądam prosto w otwór lufy rewolweru.

Nie miałem wyboru.

Próbowałem wyrwać mu broń, ale był na to przygotowany. Kopnął mnie z półobrotu w pierś, popierając kopnięcie całym ciężarem ciała. Moje serce przestało bić, u przynajmniej takie miałem wrażenie. Jakby wszystkie moje narządy wewnętrzne — serce, płuca, wszystko — przestały działać. Upadłem na ziemię, nie mogąc ruszyć ręką. Po kolejnym kopnięciu w głowę przestałem cokolwiek widzieć. Przed oczami wirowały mi jasne plamy. Nie ruszałem się. Chyba nawet nie oddychałem. Po prostu leżałem, powoli odpływając w ciemność.

Aż usłyszałem huk wystrzału.

A więc tak wygląda śmierć.

Tęskniłem za rodzicami. Pamiętałem noc sprzed dwóch lat, gdy mieszkaliśmy wśród Beduinów z plemienia Al-Hajaya na surowej pustyni w Jordanii. Spaliśmy w namiotach z kozich skór, które chroniły nas przed ekstremalnymi temperaturami tego bezkresnego pustkowia. Pewnego ranka budziłem się powoli, słysząc w pobliżu pobekiwania kóz, i mrugając, zobaczyłem patrzących na mnie rodziców. Mama i tata stali razem, oboje mieli na ustach te nieporadne uśmiechy rodziców no wiecie, z zamglonymi oczami, niepewnymi minami, krępujące jak diabli — a teraz oddałbym wszystko, żeby znów je zobaczyć. Tak wyraźnie pamiętałem tamtą chwilę, i zastanawiałem się, czy — jeśli naprawdę umieram znów zobaczę ten nieporadny uśmiech ojca, kiedy otworzę oczy?

Chwileczkę. Jeśli nie żyję, to dlaczego wciąż czuję ból po ciosach, które zadał mi Derrick? Głowa bolała mnie lak, jakby ktoś wbił w nią młot pneumatyczny i zostawił go tam ustawiony na najwyższych obrotach. Czy tak można się czuć po śmierci? Wątpiłem w to.

Powoli otworzyłem oczy. I istotnie zobaczyłem twarz. Jednak nie należała do mojego ojca. Była to twarz Derricka.

Jego oczy były szeroko otwarte i nieruchome, wpatrzone w pustkę. Z eleganckiego, idealnie równego otworu po kuli na środku jego czoła sączyła się krew. Nie było wątpliwości, Derrick nie żył.

Starłem się nie wpaść w panikę. Nawet nie drgnąłem. Nic poruszając głową, omiotłem wzrokiem otoczenie.

Martwy Derrick i ja leżeliśmy w jakiejś furgonetce.

— Miło widzieć, że się ocknąłeś, Mickey.

Spojrzałem nad Derrickiem na mężczyznę, który to powiedział. Pierwsze, co zauważyłem, to tatuaż na jego twarzy.

— Poznajesz mnie? — zapytał.

— Ty jesteś Antoine LeMaire.

Coś przemknęło po jego twarzy — może cień wątpliwości — ale uśmiechnął się do mnie.

— We własnej osobie.

Usiłowałem walczyć z bólem, obmyślić następny ruch. Może skoczyć do tylnych drzwi furgonetki? A jeśli są zamknięte? Zastanawiałem się, co robić, gdy Antoine rzekł:

— Gdybym chciał twojej śmierci, pozwoliłbym, żeby Derrick cię zabił.

— Ty —jęknąłem, próbując usiąść — ty go zabiłeś?

— Tak.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. „Dziękuję” wydawało się niezbyt odpowiednie. Przypomniałem sobie, co Candy mówiła o Antoine i tej furgonetce.

— Ktoś mi powiedział — zacząłem — że kiedy ludzie wsiadają do tej furgonetki, znikają na zawsze.

Antoine się uśmiechnął. Miał ładny uśmiech i proste zęby, białe jak z reklamy pasty do zębów. Mógł być Murzynem o jasnej skórze albo ciemnoskórym Latynosem.

— Cóż, to chyba w większości prawda. — Wskazał nieruchome ciało Derricka. — Szczególnie w jego przypadku.

— A w moim?

— Nie, Mickey. A przynajmniej mam nadzieję, że nie.

— Gdzie jest Ashley? — zapytałem.

— Nie wiem. Ja też jej szukałem, pamiętasz?

— Po to, żeby ją sprzedać?

— Ach. — Antoine znów się uśmiechnął. — Słyszałeś plotki.



- Chcesz mi powiedzieć, że to nieprawda?
- Nie poznajesz mnie, prawda, Mickey?
- Widziałem cię na filmie z kamery ochrony.
- Nie o to mi chodzi.

Zawahałem się. Było w nim coś znajomego, ale im bardziej starałem się to uchwycić, tym bardziej mi się wymykało.

— A skąd?

Westchnął, podwinął rękaw koszuli i pokazał mi przedramię. Zmrużyłem oczy i mój świat, już chwiejący nic w posadach, znowu się zatrząsł. Zacząłem kręcić głową, znów zupełnie zagubiony, ale to tam było. Symbol motyla.

- Ty... jesteś jednym z nich?
- Chyba powinienes powiedzieć: „Jednym z nas”.
- Nie rozumiem.
- Myślę, że rozumiesz, Mickey.

I nagle pojąłem, że miał rację. Niespodziewanie wszystkie kawałki układanki znalazły się na swoich miejscach. Schronisko Abeona. Abeona była boginią chroniącą dzieci. Od Elizabeth Sobek w latach czterdziestych, poprzez pracę mojego ojca aż do chwili obecnej z Ashley, właśnie to robili — ratowali, bronili i chronili młodych ludzi.

— Buddy Ray jest złym człowiekiem — powiedziałem.

Skinął głową.

— Każę dziewczętom tańczyć w swoim klubie, a potem... no cóż... robi się gorzej.

— Znacznie gorzej — rzekł Antoine. — Nie masz pojęcia, jak jest zdeprawowany. Matka Ashley... jej życie nie było dobre. Skończyła tutaj, tańcząc, nie tylko dla Buddy’ego Raya. Ashley była jedyną ważną osobą w jej życiu. Chroniła córkę najlepiej jak umiała i próbowała zapewnić jej lepsze życie.

— Ale?

— Ale umarła. Takie kobiety jak ona... nie żyją długo A kiedy umarła, Ashley nie miała nikogo. Buddy Ray powiedział jej, że jest mu winna pieniądze, że musi spłacić długi.

— A co z ojcem Ashley?

— Nie знаła go. To nie miałyby znaczenia. Buddy Ray uważa dziewczyny za swoją własność. Posługuje się groźbami i przemocą. Więzi je. Jeśli nie uciekną, kończą jak matka Ashley. Jeśli jednak Buddy złapie je na próbie ucieczki...

Nie dokończył.

Zaschło mi w ustach, ale nagle wszystko stało się jasne.

— Dlatego ty je ratujesz — powiedziałem. — Udajesz, że porywasz takie dziewczyny jak Ashley i je sprzedajesz. Jednak w rzeczywistości robisz coś wręcz przeciwnego, próbujesz je uratować.

Antoine nie odpowiedział. Nie musiał.

— Umieszczasz je w innym środowisku, tak jak zrobiłeś z Ashley. Najpierw gdzieś w pobliżu, a potem znacznie dalej, na stałe. Jednak coś poszło nie tak. Zdjęcie Ashley pojawiło się w gazecie. Buddy Ray lub któryś z jego ludzi je zobaczył.

— To jedna teoria. Masz inną? — zapytałem.

— Któryś z nauczycieli w twojej szkole może pracować dla Buddy’ego Raya.

— Kto?

Nic odpowiedział. Usiłowałem poskładać to wszystko do kupy.

— Nawet Ashley nie wie, jaką odgrywasz rolę, prawda?

— Nie wie. Zabraliśmy ją, ale nie wyjaśniliśmy wszystkiego. Daliśmy jej nową tożsamość i powiedzieliśmy, co będzie dalej. Potem radziła sobie sama.

— Dlatego kiedy uciekła, nie wiedzieliście, gdzie jest? Też jej szukaliście.

— Zgadza się.

— Próbowałeś przeszukać jej szafkę, ale była pusta. Wtedy pobiłeś doktora Kenta, żeby dowiedzieć się, co wie.

— Nie, to zrobili Buddy Ray i Derrick. Sądziło się, że skoro posługiwała się jego nazwiskiem, Kent może coś wiedzieć. Przybyłem tam w porę, żeby go uratować. Kiedy jego żona wróciła do domu, zobaczyła już tylko mnie. Dlatego podała policji mój rysopis.

Antoine zamilkł i przyglądał mi się przez chwilę.

— Dobrze się czujesz, Mickey?

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

— Chyba.

— Ponieważ masz coś do zrobienia.

— Ja?

— Ja nie mogę uratować Ashley. Zniszczyłbym moją przykrywkę. Ty musisz to zrobić. Jeśli zadzwonisz na policję, Buddy Ray poderżnie jej gardło i postara się, żeby nigdy nie znaleziono ciała. Jeśli pójdziesz z tym do twojego wujka Myrona...

— Czekał, skąd znasz mojego wujka?

— Nie znam. Jednak nie możesz zwrócić się do niego o pomoc. Był jakiś powód, dla którego twój ojciec nigdy nie powiedział mu o Schronisku Abeona.

Głośno wciągnąłem powietrze, kiedy wspomniał o moim ojcu.

— Znałeś mojego ojca, prawda?

Antoine LeMaire odetchnął głęboko, po czym powoli wypuścił powietrze.

— Ciebie też. Kiedy byłeś bardzo mały. Znałeś mnie jako Juana.

Rozdziawiłem usta.

— Mój tata napisał do ciebie list z rezygnacją.

— Zgadza się.

— Chciał odejść ze Schroniska Abeona.

Juan umknął spojrzeniem w bok.

— Tak. Dla ciebie.

Dla mnie. Ojciec dokonał tego wyboru ze względu na mnie, i jak się to skończyło? Umarł. Człowiek, którego kochałem jak nikogo innego... umarł przeze mnie. Chciał oszczędzić mi niedogodności koczowniczego życia. Dlaczego wrócił do Stanów i zginął.

A co z matką? Ona musi znać prawdę — że jej mąż zginął przez syna. Nic dziwnego, że ode mnie uciekała. Nic dziwnego, że wybierała strzykawkę.

Poczułem przeszywający, nieznośny ból, w porównaniu z którym ciosy Derricka były jak klepięcie w ramię. Spojrzałem na Juana.

— Nietoperzyca powiedziała, że mój ojciec żyje — wyszeptalem z oczami zachodzącymi mgłą. — Jednak on umarł, prawda?

Głos Juana był zbyt łagodny.

— Nie wiem, Mickey.

Kiwnąłem głową, nie mogąc wykrztusić słowa.

— Chcesz nam pomóc?

Zamrugalem, powstrzymując łzy, i napotkałem jego spojrzenie. Zastanawiałem się, co zrobiłby mój ojciec, ale może to nie było już istotne.

— Tak — powiedziałem. — Tak, chcę pomóc.

Byłem w zaułku, przy tych samych bocznych drzwiach, przez które wyprowadziła mnie Candy. Przyciskałem do ucha komórkę. Rachel i Ema grały na zwłokę, powoli wypełniając formularze podania o pracę, ale kończyły im się wymówki.

— Och, cholercia — powiedziała Rachel głosem słodkiej idiotki. — Znów źle napisałam moje nazwisko. Mogę dostać drugi formularz?

— Jasne, słodka — rzucił szorstki męski głos. — Może tym razem użyjesz ołówka? Żebyś mogła ścierać błędy gumką.

— Hej, doskonały pomysł! — pisnęła Rachel.

— A co z tobą? — spytał szorstki głos.

— Nie, nie, ja nie potrzebuję — powiedziała Ema. — Umiem się podpisywać, od kiedy skończyłam dwanaście lat.

Usłyszałem inny głos, kobiecy i dojrzały, stanowczy:

— W porządku, zapomnij o formularzach. Czas na pokaz.

Teraz usłyszałem drwiący śmiech obecnych w pomieszczeniu mężczyzn. Nie spodobał mi się. Nawet bardzo. Wyciągnąłem rękę, żeby otworzyć drzwi.

Nie miały klamki ani żadnego uchwyty. Widocznie można je było otworzyć tylko od środka.

— Taak — rzekł inny facet. — Czas zobaczyć, jak tańczycie, dziewczyny. Ty pierwsza, Bambi.

— Ja? — spytała Rachel.

Próbowałem uchwycić palcami krawędź drzwi w nadziei, że uda mi się je uchylić. Nic z tego.

— Dość ociągania się. — Ten głos był jak trzask zamykanych wrót. — Już.

O rany.

— Uspokój się, Max — powiedziała stanowczo kobieta. — W porządku, Bambi. Naprawdę. Myślę jednak, że powinnaś nam teraz pokazać, jak tańczysz.

— Hm — mruknęła Ema. — Tu jest trochę za żółto. Żółty kolor. Hasło.

Nie wiedziałem, co robić. Jasne, rozmawialiśmy o hasła ale nie o tym, co robić, jeśli Rachel lub Ema naprawdę je wypowiedzą. Muszę je stamtąd wyciągnąć, to oczywiste, ale jak? Gdybym zadzwonił na policję, cóż, Juan/Antoine ostrzegł mnie, do czego to może doprowadzić. Wejść frontowymi drzwiami? Czy to coś da? Czy nie sprowokuje Buddy'ego Raya?

Znów zacząłem szarpać drzwi. Nie ustępowały.

— Jejku — pisnęła Rachel. — Jasne, pewnie, zacznijmy pokaz. Jednak najpierw muszę upudrować nos.

Zastygłem. Nosek?

Jeden z facetów powiedział to na głos:

— Nosek?

— Ojejku. Upudrować nos. Czyli pójść tam, dokąd chodzą dziewczynki. Chyba wiesz, głuptasie.

— Albo jak nasz kolega Buck — dodała Ema, najwyraźniej kierując to do mnie — musimy zrobić siku.

— Och — sapnął męski głos.

— Przebieralnia jest na lewo — rzekł drugi. — Skoro już tam będziesz, to możesz się przebrać w jeden z... hm, kostiumów, Bambi.

— Ty też, Śniada.

Śniada i Bambi. Ależ pomysłowe.

Czekałem przy drzwiach, nie wiedząc, co robić. Usłyszałem jakieś szmery i inne odgłosy. Może dziewczyny znajdą jakiś sposób, żeby zostać same i porozmawiać tu mną.

Po kilku sekundach usłyszałem głos Emy:

— Mickey?

— Gdzie jesteście?

— W przebieralni. Sądząc po tym, co widzę, powinni się nazywać rozbieralnią. Jeszcze nie znalazłyśmy Candy. Wciąż siedzisz w samochodzie?

— Nie. — Nie było czasu na szczegółowe opisywanie mojego spotkania z Antoine'em/Juanem. — Jestem na zewnątrz przy wyjściu awaryjnym. Zapytajcie którąś z dziewcząt, gdzie ono jest, i wyjdźcie stamtąd.

— W porządku. — W tle usłyszałem rozmowę. Potem znowu odezwała się Ema: — Chyba wiemy jak...

Umilkła.

— Halo?

Nic.

— Halo?

Potem znowu usłyszałem głos Emy:

— Chyba znalazłam Candy.

— Nieważne. To robi się zbyt niebezpieczne. Musicie stamtąd wyjść.

— Zaczekaj chwilę — powiedziała Ema. — Och, i wyłącz mikrofon.

Miałem zamiar zadać jej więcej pytań, ale jeśli chciała, żebym wyłączył mikrofon, musiała mieć dobry powód.

Znów usłyszałem głosy, ale nie mogłem zrozumieć ani słowa. Stałem w bocznej uliczce, niecierpliwie przestępując z nogi na nogę. Usiłowałem coś wymyślić, ale nic nie przychodziło mi do głowy.

Musiałem czekać, obojętnie jak bezradny się przez to czułem.

Ema już się nie odzywała. Rachel też. Słyszałem tylko głosy w tle. Nie wiedziałem, co o tym sądzić. A jeśli coś im się stało? Jeżeli nie mogą mówić? Czy mam stać, nic nie robiąc... jak długo? Pięć minut? Dziesięć? Godzinę? Przypomniałem sobie minę Buddy'ego Raya i przyjemność, jaką sprawiało mu bicie mnie. Pomyślałem o lęku w oczach Candy, kiedy mijaliśmy drzwi do lochu.

Jak mogłem pozwolić, żeby poszły tam same?

Czas płynął. Nie wiedziałem, jak długo tam stałem. Może dziesięć minut, ale zapewne dwie lub trzy. A potem, kiedy myślałem, że wyjdę z siebie z niepokoju, drzwi się otworzyły.

Zobaczyłem Emę.

— Wejdz — rzuciła szybko.

— Co? Nie. To wy wyjdźcie.

Odsunęła się i zobaczyłem stojące za nią Rachel i Candy.

— Wejdz — powtórzyła Ema.

Nie było czasu na spory. Nagle znów znalazłem się w niebieskim pokoju z poduszkami na podłodze. Ciężkie drzwi przeciwpożarowe zamknęły się za mną. Spojrzałem na Emę i Rachel, które pokazały mi, że wszystko w porządku. Odwróciłem się do Candy. Wyglądała teraz inaczej, chociaż nie potrafiłem powiedzieć, na czym polegała zmiana. Była jakby szczuplejsza, bardziej spięta, bledsza. Jej twarz wykrzywiał lekki grymas. Dolna warga drżała.

— Gdzie jest Ashley? — zapytałem.

Candy nieprzekonująco wzruszyła ramionami.

— Dlaczego miałabym wiedzieć?

— Ponieważ wysłałaś do niej e-mail.

Candy zerknęła w lewo, a potem w prawo.

— Hm, nie wiem, o czym mówisz.  
Jednak wiedziała. Teraz nie było co do tego wątpliwości.  
— Wysłałaś jej e-mail, że masz kłopoty. Dlatego tu wróciła, prawda?  
Candy nie odpowiedziała. Wargę zaczęła jej drżeć jeszcze bardziej. Położyłem ręce na jej ramionach i zacząłem ją potrząsać.  
— Powiedz mi, gdzie ona jest.  
Candy się rozplakała.  
— Gdzie jest Ashley? — zapytałem nieco głośniejszym głosem.  
— Mickey... — odezwała się Rachel.  
Spojrzałem na nią. Pokręciła głową, a ja kiwnąłem. Miała rację. Byłem zbyt brutalny. Ema przysunęła się, odgradzając mnie od Candy. Rachel objęła Candy i gładziła jej włosy.  
— Wysłałaś Ashley e-mail, że masz kłopoty — przypomniała uspokajająco.  
Candy skinęła głową.  
— Jakiego rodzaju kłopoty?  
Candy tylko pokręciła głową.  
— Nie chciałam jej skrzywdzić.  
Kiedy to usłyszałem, ścisnęło mi się serce.  
— Wiem — łagodnie powiedziała Rachel. — W porządku. Tylko powiedz nam, co się stało.  
— Ashley była moją najlepszą przyjaciółką — szlochła Candy.  
Ema spojrzała na zegarek, a potem na mnie. Wiedziałem, o czym myśli. „Chłopcom” niedługo skończy się cierpliwość. Musimy się pospieszyć. Ema podeszła do drzwi i stanęła na straży.  
— Musisz nam powiedzieć, co się stało, Candy — nalegała Rachel.  
Candy kiwnęła głową i odsunęła się od niej. Otarła łzy rękawem.  
— Zawsze mówiliśmy, Ashley i ja, że wyrwiemy się stąd razem. Wiecie? Miałyśmy plany. Chciałyśmy uciec do Kalifornii. Zostawić to wszystko. To były tylko marzenia. Chcę powiedzieć, że obie wiedziałyśmy, że Buddy Ray nigdy nie pozwoli nam odejść. Jednak... — Spojrzała błagalnie na Rachel. — Ashley uciekła. Rozumiecie? Myślałam, że dopadł ją Antoine. Jednak ona uciekła. I nie zabrała mnie ze sobą.  
— Zostawiła cię — stwierdziła Rachel, starając się, żeby zabrzmiało to współczująco.  
— Przysięgała, że nigdy tego nie zrobi. — Candy znów zaczęła płakać. — On... — Wskazała mnie ruchem głowy. — On powiedział, że Ashley ma się dobrze i chodzi do jakiejś szkoły dla bogatych dzieci. Jak mogła mi to zrobić?  
— Dlatego ją zdradziłaś? — domyśliłem się.  
Przeszyła mnie wzrokiem.  
— Nie miałam wyboru. Buddy Ray wiedział, że ci pomogłam. Powiedział, że jeśli nie pomogę mu ściągnąć jej z powrotem, to mnie zabije. — Łzy znów popłynęły jej z oczu. — Jak? Jak Ashley mogła mnie tak zostawić  
— Nie zrobiła tego — zapewniłem, nie chcąc wdawać się w szczegóły prawdziwej tożsamości Antoine’a czy Schroniska Abeona. — Została zabrana niespodziewanie. Gdyby się z tobą skontaktowała, zaryzykowałyaby, że wszystko straci.  
— Więc Ashley nie...  
— Nie opuściła cię, nie. A teraz, jeśli wiesz, gdzie ona jest...  
Spojrzałem na Emę. Nadal pilnowała drzwi. Odwróciłem się do Candy. Była załamana.  
— Nie ma nadziei — jęknęła.  
Przeszedł mnie zimny dreszcz.  
— Co się stało?  
— Jesteście tylko grupką dzieciaków, nie możecie pokonać Buddy’ego Raya. Czy wiecie, co robi, jeśli się dowie, że z wami rozmawiałam?

Candy pospiesznie podwinęła rękaw bluzki. Popatrzyliśmy na to, co nam pokazała. W pierwszej chwili nie pojęliśmy. Potem Rachel cicho krzyknęła.

Na ręce Candy były dwa świeże ślady po oparzeniu papierosem.

— Jest ich więcej. Innych nie będę wam pokazywała.

— O mój Boże — wybąkała Rachel.

Wywracało mi się w żołądku.

— I on ma Ashley? Gdzie oni są?

Candy pokręciła głową.

— Proszę, powiedz.

A wtedy Candy zrobiła coś, co naprawdę mnie zmroziło. Powoli podniosła głowę i spojrzała na drugi koniec pokoju. Powiodłem wzrokiem za jej spojrzeniem i zobaczyłem, że Candy patrzy na drzwi.

Drzwi, które prowadziły do lochu. Nagle usłyszeliśmy zbliżające się głosy. Ema się odwróciła.

— Mickey, schowaj się! — rzuciła szeptem.

Nie czekałem. Zanurkowałem za stertę poduszek mi moment przed tym, nim trzej mężczyźni i kobieta — zapewne ta, której stanowczy głos słyszałem przez telefon — wyszli zza rogu i weszli do pokoju, odpychając Emę.

— Tu jesteś, Bambi — powiedziała kobieta. Miała fryzurę jak pszczeli ul i okulary w kształcie kocich oczu. — Wszystko gotowe, moja droga?

Leżąc za poduszką, usiłowałem rozpląszyć się na podłodze.

— Gdzie byłeś? — zapytał mężczyzna o szorstkim głosie.

— Jejku — pisnęła Rachel — mierzyłam stroje, głuptasie.

— No to dlaczego masz na sobie to samo ubranie?

— Hm, nic na mnie nie pasowało.

Ulokowałem się za poduszkami tak, żeby obserwować pokój. Wszedł następny mężczyzna. Stał jak wryty.

— O — sapnął, mierzając wzrokiem Rachel — nie żartowaliście, mówiąc o niej.

Oprócz Pszczeliego Ula w pokoju znajdowało się teraz czterech mężczyzn. Żaden z nich nie był Buddym Rayem. Co robić? Myślałem o Ashley, o sweterku z monogramem i perełkach, i jak bardzo starała się uciec od tego życia. Myślałem o tym, jak patrzyła na mnie z nadzieją, oraz o tym, że teraz może być za tymi drzwiami, w tym lochu. Sama z Buddym Rayem.

— W porządku, tak też jest dobrze — powiedziała Pszczeli Ul. — Możemy zrobić próbę tu i teraz.

— Teraz? — powtórzyła Rachel.

— Jasne, dlaczego nie?

Pszczeli Ul wzięła Rachel za rękę, a czterej mężczyźni opadli na poduszki. Ten o szorstkim głosie usiadł blisko mojej kryjówki. Jego plecy znalazły się niecały metr od mojej głowy. Wstrzymałem oddech, bojąc się poruszyć.

— Candy, co ty tu robisz? — zapytał mężczyzna siedzący obok mnie.

— Kto, ja? — wymamrotała Candy. — Nic.

— No to wyjdź, dobrze? I zamknij za sobą drzwi.

— Tak, Max. Natychmiast.

Candy pospiesznie wyszła i zgodnie z poleceniem zamknęła drzwi.

— W porządku, Bambi — rzekła Pszczeli Ul. — Wejdź na podium i pokaż nam, co masz.

— Teraz?

— Teraz.

Rachel powoli weszła na podium. Stała i się nie ruszała.

— No, Bambi?

— Hm, zwykle lubię, gdy gra muzyka.

— Możemy ci zaśpiewać, jeśli chcesz — rzekł Max i w jego głosie usłyszałem gniewny ton. — Jednak zaczynam się strasznie niecierpliwić.

Pomyślałem o tym, żeby sięgnąć po telefon, ale nawet nieznaczny ruch mógłby zdradzić moją obecność. Próbowałem powoli odczołgać się dalej od poduszki i siedzącego na niej Maxa, żeby...

Żeby co? Co mogłem zrobić?

— Czy ja też mogę iść się upudrować? — spytała Ema. Max machnął przyzwalająco ręką. Zastanawiałem się, co zamierza, zostawiając Rachel samą, ale domyśliłem się, że doszła do tego samego wniosku co ja. Nie mamy szans. Wyjdzie z tego pokoju i zadzwoni po policję. Pamiętałem, że Juan przestrzegał mnie przed tym, ale co innego mogliśmy zrobić?

Spojrzałem na drzwi pożarowe, a potem na te prowadzące do lochu.

— Tańcz! — krzyknął Max.

I Rachel zaczęła tańczyć. Na scenie była rura. Rachel nie korzystała z niej. Była piękną dziewczyną o oszalamiającej urodzie, anielskiej buzi i ciele, na którego widok ruch uliczny nie tylko zwalniał, ale zupełnie zamierał.

Jednak tańczyła okropnie.

Jak niezdarzna kuzynka na bar micwie.

Pszczeli Ul przycisnęła rękę do piersi i jęknęła. Mężczyźni przez moment z przerażeniem spoglądali na scenę, po czym zaczęli pokrzykiwać.

— Co to ma być, do licha?

— Tańcz, do cholery.

— Ruszaj się!

— Chwyć się rury.

— O, to żalosne.

— Chwila, czy to ma być elektryzujące?

Zacząłem wypełzać zza pufy, centymetr po centymetrze, gdy Max zeszytniał.

— Zatrzymaj się na moment — rzucił.

Jakby wyczuł moją obecność. Pospieszenie schowałem się za leżącą parę metrów dalej poduchą. Max powoli odwrócił głowę. Byłem teraz niewidoczny, nie wystawiałem głowy. Bałem się nawet oddychać.

— O co chodzi, Max?

— Wydawało mi się, że coś słyszę.

— Co?

Max wstał. Ruszył w kierunku poduchy, za którą się schowałem. Pozostali faceci też wstali. Zaczęli iść w moja stronę.

— Dobrze — powiedziała Rachel. — Zdejmę górę.

To zwróciło ich uwagę. Odwrócili się do niej. Pospieszenie zmieniłem pozycję, chowając się za poduszkami leżącymi przy drzwiach do lochu. Wszyscy wpatrywali się w Rachel. Zaczęła tańczyć, okropnie nieudolnie naśladując Johna Travoltę z tego starego filmu. Pszczeli Ul znów jęknęła. W tym momencie drzwi pokoju otworzyły się gwałtownie i wpadła Ema. Była z nią Candy.

— Suka! — wrzasnęła Ema na Rachel. — Ukradłaś mi chłopaka!

— Nie! — krzyknęła Candy. — On był mój!

A Rachel, załapawszy szybciej ode mnie, o co chodzi, odkrzyknęła:

— Chcesz coś ode mnie? To chodź!

Ema podbiegła do Rachel i wskoczyła na podium, Rzuciła się na nią. Candy poszła w jej ślady i skoczyła na nie obie. Wszystkie trzy zaczęły się szamotać, wrzeszcząc i krzycząc. Przez moment Max i pozostali nie wiedzieli, co robić. Przybiegły inne dziewczyny,

dołączając do walczących. Cała grupa przetoczyła się bliżej drzwi pożarowych. Domyśliłem się, że Rachel i Ema zamierzają przez nie uciec.

Emo, jesteś genialna!

Teraz nikt nie zwracał uwagi na sterty poduszek. Ruszyłem, kryjąc się za nimi i przesuając do drzwi lochu. Złapałem klamkę, nacisnąłem ją. Szybko pchnąłem drzwi i zniknąłem w zalegających za nimi ciemnościach.



Kiedy mój wzrok oswoił się z mrokiem, zobaczyłem schody wiodące w dół.

Najwyraźniej ten loch był piwnicą budynku.

Zamknąłem za sobą drzwi i zacząłem schodzić. Kiedy dotarłem na dół, stanąłem jak wryty. Podłoga była usłana niedopałkami papierosów — pomyślałem o przedramieniu biednej Candy i zadrżałem — ale nie to sprawiło, że zatrzymałem się wstrząśnięty.

Na środku pomieszczenia o ścianach z cementowych bloczków zobaczyłem Ashley. Była przywiązana do krzesła.

Siedziała tyłem do mnie, z rękami związanymi na plecach. Już miałem do niej podejść, kiedy usłyszałem głos

— Myślałem, że zostałaś porwana, Ashley.

To był Buddy Ray.

Cofnąłem się w głąb ciemnej klatki schodowej, pozostając niewidoczny. Przykucnąłem i ostrożnie wyjrzałem. Buddy Ray siedział w kącie pomieszczenia na wielkiej skrzynce na narzędzia zamkniętej na kłódkę. Uśmiechnął się do Ashley i pokręcił głową. Nie mogłem nie zauważyć, że pali papierosa.

A w ręku trzyma nóż.

— Teraz wiem, że uciekaś ode mnie — ciągnął Buddy Ray z udawanym rozżaleniem. — Myślisz, że jak się z tym czuję?

— Puść mnie — wykrztusiła Ashley.

— Uciekaś, więc teraz musisz dostać nauczkę — powiedział Buddy Ray tym swoim niesamowitym głosem. Wstał i podszedł do niej. — Muszę być pewny, zupełnie pewny, że już nigdy ode mnie nie uciekniesz.

Trwałem skulony w ciemności, zastanawiając się, co robić. Byłem za daleko, żeby na niego skoczyć. Miał nóż i mógł wezwać pomoc.

— To nic ci nie da — powiedziała Ashley dziwnie spokojnie.

Buddy Ray przechylił głowę.

— Nie?

— Nie. Ponieważ obojętnie, jak bardzo mnie zranisz, obojętnie, co mi zrobisz, znowu ucieknę.

— A ja znowu cię znajdę.

— To znów ucieknę. Nawet jeśli utniesz mi nogi tym nożem. Zawsze będę uciekała. To nie jest moje miejsce.

Buddy Ray zaśmiał się, kręcąc głową.

— Mylisz się, moja droga. Co, może myślisz, że twoje miejsce jest w tej szczęśliwej szkółce, gdzie możesz nosić sweterek i trzymać się za rączki ze swoim przystojnym nowym chłopakiem? Jak zareagowałby ten twój nowy chłopak, gdyby znał prawdę o tobie?

Ta ostatnia uwaga była celna. Zobaczyłem, że Ashley zeszytywniała. Chciałem krzyknąć, że to nie miałyby znaczenia, że nie obchodzi mnie, jakie było wcześniej jej życie.

Buddy Ray rozłożył ręce.

— Tu jest twoje miejsce.

Ashley podniosła głowę i spojrzała mu w oczy,

— Nie.

— Nic nie rozumiesz, prawda? — Buddy Ray wskazał skrzynkę na narzędzia. — Czy wiesz, co znajduje się w tej skrzyni?

— Nieważne — powiedziała, starając się nie tracić odwagi.

— Och, ważne. — Buddy Ray pokazał jej nóż, który trzymał w ręku. — Teraz udajesz twardą. — Nachylił się do niej tak, że jego wargi znalazły się tuż przy jej uchu.

Napiąłem mięśnie, szykując się, by dopaść go i spróbować... Sam nie wiem, zrobić coś, gdyby ją tknął. Zamiast tego zniżył głos do szeptu.

— Jednak obiecuję ci, Ashley, przysięgam na wszystko, co święte, że kiedy otworzę tę skrzynię i skończę z tobą, będziesz mnie błagała, żebym pozwolił ci tu zostać i pracować dla mnie.

Ruszył do skrzynki.

W ustach tak mi zaschło, że nie mogłem przełknąć śliny. Teraz albo nigdy. Był odwrócony do mnie plecami. Już miałem wyskoczyć z kryjówki i rzucić się na niego, gdy drzwi za moimi plecami, te, przez które przed chwilą wszedłem, zaczęły się otwierać. Wbiegłem na górę i schowałem się za nimi, w jedynym miejscu, gdzie mogłem się ukryć.

Ktoś wszedł.

— Szefie?

Nic nie widziałem. Drzwi prawie mnie dotykały. Gdyby wchodzący otworzył je odrobinę szerzej, uderzyłyby mnie w twarz.

— Co? — warknął Buddy Ray. — Jestem zajęty.

— Mamy problem.

Słyszałem dochodzący zza jego pleców zgielk.

— Czy Derrick nie może się tym zająć?

— Nikt nie wie, gdzie on jest.

Usłyszałem westchnienie Buddy'ego Raya.

— Wrócę niedługo, księżniczko — obiecał.

Ashley nie odpowiedziała.

Usłyszałem, jak Buddy wbiega po schodach. Zamknąłem oczy, wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu mając nadzieję, że mnie nie zauważy. Nie zauważył. Wybiegi i zatrzasnął drzwi.

Zostałem sam z Ashley i nie zamierzałem siedzieć tu i zastanawiać się, co robić. To było proste: uwolnić Ashley i wydostać ją stąd. Nie miałem pojęcia, jak długo potrwa nieobecność Buddy'ego Raya. Może zaledwie kilka sekund.

Zbiegłem po schodach do lochu. Ashley odwróciła głowę i głośno westchnęła na mój widok.

— Mickey?

— Musimy cię stąd wydostać.

— Jak mnie znalazłeś?

— Teraz nie ma na to czasu.

Ashley zaczęła płakać. Podbiegłem do jej krzesła, przyklęknałem na jedno kolano i zamierzałem ją rozwiązać. Na filmach trwa to zaledwie kilka sekund, prawda? Jakby ktoś wiązał ofiarę w taki sposób, w jaki zawiązuje się sznurowadła. Jednak w prawdziwym życiu jest inaczej. Zupełnie inaczej.

Buddy Ray nie związał jej sznurem. Użył plastikowych kajdanek, mocno zaciskając je na jej przegubach.

Nie miałem pojęcia, co robić. Rozejrzałem się, szukając czegoś do ich przecięcia, ale niczego takiego nie było.

— Mickey?

— Trzymaj się, usiłuję znaleźć jakiś sposób, żeby cię uwolnić.

— Nie zdołasz — powiedziała przygnębiona.

Nie słuchałem jej.

— Poruszaj rękami — poleciłem.

Spróbowałem zsunąć palcami plastikowe więzy. Nie ustąpiły ani o centymetr.

— Nie ma czasu. Musisz się ratować.

— Nie.

— Mickey, on tu wróci lada chwila. Proszę, idź. Tylko trochę mnie poturbuje. Nie będzie chciał uszkodzić towaru.

Wciąż szarpałem plastikowe pęta. Na próżno. Podbiegłem do skrzynki na narzędzia. Kopnąłem kłódkę, ale nie puściła. Szukałem łomu lub czegokolwiek, ale w piwnicy niczego takiego nie było.

Do diabła!

Kopnąłem jeszcze raz. W ten sposób nie zdołałem zerwać kłódki. Wyjąłem komórkę. Dość tego. Czas zaryzykować i zadzwonić po policję.

— Nie! — krzyknęła Ashley. — Jeśli zobaczy radiowóz, zacznie zabijać ludzi.

To nie miało znaczenia. W tym betonowym pomieszczeniu nie miałem zasięgu.

I co teraz?

Tik-tak, tik-tak. Jak długo jeszcze go nie będzie?

— Proszę, Mickey, posłuchaj mnie, dobrze? Nie ma czasu. Musisz iść. Jeśli cię skrzywdzi, jeśli coś ci się stanie, nigdy sobie tego nie wybaczę.

Znów podbiegłem do niej i ująłem jej twarz w dłoń. Ashley spojrzała na mnie błagalnie pięknymi oczami.

— Nie zostawię cię — powiedziałem. — Słyszysz? Nie zostawię cię z tym potworem.

Tik-tak, tik-tak.

Chwileczkę. Te plastikowe kajdanki są za mocne, żeby je rozerwać. Kłódka za mocna, żeby ją rozbić. A co z drewnianym krzesłem?

— Trzymaj się — powiedziałem.

— Co?

Kopnąłem nogę krzesła. Nic. Kopnąłem jeszcze raz. Zaczęła trzeszczeć. Kopnąłem znowu. Noga pękła. Ashley wciąż była związana, ale może teraz zdoła uwolnić się z więzów. Jeśli tylko się pospieszymy...

Nagle zobaczyłem, że drzwi zaczynają się otwierać.

Koniec gry.

Wiedziałem, co się stanie. Buddy Ray mnie zobaczy. Ma nóż. Zawoła innych. Max i pozostali bramkarze dołączą do niego jako posiłki.

Nie mamy szans.

W żaden sposób nie wyjdziemy z tego żywi.

Dlatego nie zastanawiałem się, jakie mamy szanse. Zamiast tego opuściłem głowę i pomknąłem do drzwi.

Nie widziałem innego wyjścia. Pobiegłem najszybciej jak mogłem. Nigdy nie grałem w rugby, ale ilekroć mieliśmy okazję, oglądaliśmy z ojcem mecze w telewizji satelitarnej. Ojciec uwielbiał Jetsów, którzy — jak mówił — nauczyli go znaczenia słowa „rozczarowanie”. Tak więc teraz zaatakowałem jak obrońca usiłujący przejść ćwierćbeka. Nie wiedziałem, czy zdążę. Raczej w to wątpiłem. Jednak włożyłem w to wszystkie siły.

Buddy Ray wszedł do piwnicy. Odwrócił się i mnie zobaczył.

— Co do... — zaczął.

Tylko tyle zdążył powiedzieć.

Wpadłem na niego z impetem. Oplotłem go rękami, przyciskając głowę do jego piersi. Obaj wlecieliśmy do niebieskiego pokoju. Nieco uniosłem głowę, tak że znalazła się tuż pod jego brodą. Kiedy upadliśmy, czubek mojej czaszki zderzył się z jego dolną szczęką. Dosłownie poczułem, jak pękają mi zęby.

Wciąż trochę kręciło mi się w głowie po ataku Derricka, a teraz poczułem tak potworny ból, że przestraszyłem się, iż zaraz stracę przytomność. Jednak było warto. Z ust Buddy'ego

Raya płynęła krew. Adrenalina dodała mi sił. Zaciśnięciem pięści i rąbnąłem go w usta. Wybiłem mu kilka już obłuzowanych zębów.

Zamachnąłem się ponownie, ale nie zdążyłem uderzyć. Max, bramkarz, który wcześniej siedział tak blisko mnie, zaatakował. Kopnął mnie kolaniem w bok. Zobaczyłem wszystkie gwiazdy. Jakby ktoś wbił mi nóż w płuco. Szykował się do następnego kopnięcia, które by mnie wykończyło, lecz nagle zobaczyłem, że ktoś rąbnął go w głowę czymś, co jak dowiedziałem się później, było nogą od krzesła.

Ashley!

Max z łoskotem runął na podłogę jak ścięte drzewo. Miałem ochotę zawołać „leci!”, lecz nie było na to czasu. Przetoczyłem się na bok i spróbowałem wstać, ale moja głowa nie chciała o tym słyszeć. Podniosłem się zbył szybko i zaraz opadłem na kolana. Ashley spróbowała mi pomóc. Zatonęłem.

— Oprzyj się na mnie! — krzyknęła.

Nie chciałem. Chciałem, żeby stamtąd uciekła, wybiegli przez pożarowe drzwi, ale wiedziałem, że mnie nie posłucha. Więc oparłem się na niej. Zrobiliśmy krok w kierunku drzwi, gdy nagle poczułem w łydce tak okropny ból, jakiego nie doznałem jeszcze nigdy w życiu.

Buddy Ray mnie ugryzł!

Wrzasnąłem i wyrwałem nogę, pozostawiając w jego ustach kawałek skóry. Do pokoju wpadł następny bramkarz. I jeszcze jeden. Potem trzeci. Max wstał.

Szybko nas otoczyli. Ashley przysunęła się do mnie. Objąłem ją obronnym gestem. Jakby to mogło pomóc.

Buddy Ray chwiejnie stanął na nogi. Wyszczерzył w uśmiechu zakrwawione i połamane zęby.

— Pożałujesz, że żyjesz — wycodził.

Skuiliłem się, jakbym się poddawał. Jednak nie zamierzałem. Mając spuszczoną głowę, szepnąłem Ashley do ucha:

— Idź za mną.

Adrenalina to zabawna sprawa. Czytałem o matkach, które pod jej wpływem potrafiły podnieść samochód, żeby uwolnić swoje dzieci. Nie wiem, czy to prawda. Jednak wiem, że dzięki niej nie czułem bólu. Wiem, że może dodać sił, może odrobinę wydłużyć skok. Na przykład.

Rzuciłem się na Buddy'ego Raya.

Myślał, że znów zamierzam go zaatakować i przewrócić, więc uskoczył.

Właśnie tego chciałem.

Przebiegłem obok niego. Ashley za mną. Tak, mieliśmy tylko moment. Pozostali już się zbliżali. Jednak nie potrzebowałem dużo czasu. Tylko tyle, żeby zrobić kolejne dwa kroki.

Do pożarowych drzwi.

Otworzyłem je, uderzając w nie plecami, łapiąc Ashley i przepychając ją przez nie. Ja też wyskoczyłem na zewnątrz i spróbowałem zamknąć drzwi, ale tamci już przy nich byli. Próbowali wyjść. Pchałem z całych sił, ale nie mogłem ich powstrzymać. W żadnym razie.

Wtedy dołączyła do mnie Ema. I Rachel. I Candy.

I inne dziewczyny. Pchały drzwi, w dziesiątkę, a może w piętnastkę. Domknęły je i przytrzymały tak, że nikt nie zdołałby przez nie przejść.

— Uciekajcie! — zawołała do nas Candy. — Trzymamy je!

— Wszyscy uciekniemy — postanowiłem. — Ty też.

Jednak Candy tylko popatrzyła na mnie i pokręciła głową.

— To nie działa w taki sposób, Mickey.

— Co?

— Nie uratujesz nas wszystkich.

W jej słowach była dziwna prawda. Pomyślałem o Juanie, o tym, że postanowił ocalić Ashley, a nie Candy, ale teraz nie było czasu na takie rozmyślenia. Musieliśmy uciekać.

Usłyszałem w oddali syreny policyjnych radiowozów. To zamieszanie musiało zwrócić czyjąś uwagę. Będą tu za chwilę. Kilka dziewcząt rzuciło się do ucieczki. Napotkałem spojrzenie Rachel. Stała obok Ashley. Szukałem wzrokiem Emy, ale jej nie było.

— Uciekamy! — krzyknąłem do dziewczyn. — Wszyscy!

A wtedy usłyszałem głos, ten okropny i lekko sepleniący głos, który zmroził mnie jak żaden inny.

— Och, nie sędzę.

Nagle wszystko jakby zastygło. Nikt się nie poruszał. Jakby sam budynek i cały ten zaulek nagle wstrzymały oddech. Otrząsnąłem się z zaskoczenia. Puściłem drzwi i odwróciłem głowę w lewo.

Buddy Ray trzymał nóż przy szyi Emy.

Serce stanęło mi w gardle. Wycie syren się zbliżało.

— Puść ją! — warknąłem.

Buddy Ray tylko się uśmiechnął. Jeśli zaboląły go przy tyra połamane zęby, to nie dał tego po sobie poznać. Ten uśmiech nie wyrażał niczego. Nie było w nim rozbawienia, radości, satysfakcji. Był to najbardziej przerażający uśmiech, jaki widziałem w życiu.

— Policja już tu jedzie — odezwałem się. — Będzie dla ciebie lepiej, jeśli ją puścisz.

Buddy Ray zachichotał.

— A kto powiedział, że chcę, żeby było lepiej?

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Stałem za daleko, żeby go dopaść. Trzymał nóż przy szyi Emy. Ema zamknęła oczy. Po jej policzku spływały łzy.

— Proszę... — jęknęła.

— Zabrałeś coś, co należało do mnie — wycedził Buddy Ray, patrząc na mnie. — Teraz ja zabiorę coś, co należy do ciebie.

— Nie rób tego — powiedziałem, a mój głos był słaby i pełen poczucia klęski. — Jeśli chcesz się na kimś zemścić, to na mnie. — Podniosłem ręce i ruszyłem w jego stronę. — Weź mnie.

Zaryzykowałem kolejny krok. Byłem jeszcze co najmniej pięć metrów od niego. Spojrzeliśmy sobie w oczy, Buddy i ja, a wtedy, kiedy zająrzałem w te oczy, moje serce rozsypało się w proch.

Ema była zgubiona.

W jego oczach nie było odrobiny zdrowego rozsądku. Nic nie mogłem zrobić. Nieważne, że policja miała go zaraz zgarnąć. Przez chwilę byliśmy tylko my dwaj i doskonale wiedziałem, co zaraz zrobi.

Zamierzał zabić Emę.

Chciał ją zabić tylko po to, żeby patrzeć mi przy tym w twarz. Nie byłem w stanie go od tego odwieść. Nie mogłem go dopaść. Byłem tam, tak bliski zwycięstwa, więc zamierzał odebrać mi Emę.

Jakby Buddy Ray już wszystko wiedział. Straciłem ojca. Traciłem matkę. A teraz, kiedy wreszcie znalazłem prawdziwą przyjaciółkę, ją też miałem stracić.

Przysunął nóż bliżej szyi Emy. Próbowana się wyrwać, ale trzymał ją mocno.

— Powiedz „do widzenia” — polecił Buddy Ray.

A wtedy, kiedy wydawało się, że wszystko stracone, gdy spoglądaliśmy sobie z Buddym Rayem w oczy — bach, jakiś samochód wpadł na niego z impetem.

Opadła mi szczęka.

W jednej chwili Buddy Ray stał tam z nożem w ręku, i w następnej był rozplaszczony na masce niewielkiej furgonetki.

Wyglądała znajomo.

Już ją kiedyś widziałem.  
Nieduża furgonetka z wymalowanymi na boku dwoma skrzyżowanymi mopami.  
Gdy otoczyło nas wycie syren i radiowozy zaczęły hamować z piskiem, drzwi po stronie kierowcy otworzyły się i wysiadł z niej Łyżka.  
Poprawił okulary i spojrzał na mężczyznę nieruchomo leżącego na masce.  
— Ludzie — wysapał — naprawdę muszę nauczyć się prowadzić.

\* \* \*

Ema zadzwoniła do Łyżki, bo nie mogła połączyć się ze mną.  
— Pomyślałam, że może chociaż nas zabierze — wyjaśniła.  
Ścisnęłam ją długo. Rachel podeszła i przyłączyła się do nas. Łyżka też.  
Podjeżdżały kolejne radiowozy. Zobaczyłem ojca Tyrella. Wujek Myron też tam był. Teraz sobie przypomniałem, że w fordzie taurusie był zamontowany GPS. Myron zdołał odczytać współrzędne. Trochę za późno.  
Przyjechała karetka po Buddy'ego Raya. Żył, ale wszystkie dziewczyny zaczęły składać zeznania. Stanie przed sądem. Długo nie wyjdzie na wolność.  
Z Rachel po prawej i Emą po lewej popatrzyłem w głąb ulicy i zobaczyłem w oddali Ashley. Wsiadała do furgonetki Juana. Otworzył jej drzwi. Ashley obejrzała się, popatrzyła na mnie ostatni raz i się uśmiechnęła. Odpowiedziałem uśmiechem, ale bez cienia radości. Juan skinął mi głową. Ashley znikła w furgonetce, a kiedy to robiła, chyba oboje zrozumieliśmy, że już nigdy więcej się nie zobaczymy.  
A przynajmniej tak nam się wydawało.  
Spojrzałem na Rachel. Kiwnęła głową. Ema posłała mi uśmiech. Łyżka nie wiedział, co robić. Wymieniliśmy spojrzenia. Moi przyjaciele, pomyślałem. Jedyni prawdziwi przyjaciele, jakich kiedykolwiek miałem. A jednak w jakiś sposób wiedziałem, że jest w tym coś więcej, że jeszcze niejedną raz będziemy robili takie rzeczy.  
Byłem przytłoczony. Przysunęliśmy się do siebie, tworząc niemal obronny szyk.  
— Wiesz co? — odezwał się Łyżka.  
Przełknąłem ślinę.  
— No co. Łyżka?  
— Jerzy Waszyngton był bezpłodny.

Kilka godzin później, kiedy opatrzone mi pogryzioną nogę i policja była usatysfakcjonowana, wujek Myron zawiózł mnie do domu. Spodziewałem się ostrej reprimendy lub wykładu, ale mi odpuścił. Wyglądał na pogrążonego w myślach.

— Trochę ci się oberwało — stwierdził.

Kiwnąłem głową.

Mocniej ścisnął kierownicę.

— Czy po raz pierwszy zostałeś tak poturbowany?

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, więc powiedziałem prawdę:

— Tak.

— Rano będzie gorzej. O wiele gorzej. Mam w domu środki przeciwbólowe, które mogą ci pomóc.

— Dzięki.

Myron wszedł w zakręt, nie odrywając oczu od drogi.

— Wkrótce zaczną się eliminacje do drużyny koszykówki.

— Wiem.

Zapadła niezręczna cisza. Tym razem ja ją przerwałem:

— Którejś nocy słyszałem, jak rozmawiałeś na czacie z jakąś kobietą.

Myron odkasznął.

— Och...

— Kim ona jest?

— To moja narzeczona.

To mnie zaskoczyło.

— Mieszka daleko stąd — dodał. — Za oceanem.

— Miałeś do niej pojechać?

Myron nie odpowiedział.

— Ale zostałeś tutaj. Przeze mnie.

— Nie przejmuj się tym. Wszystko się ułoży.

Znów milczeliśmy.

— Mogę cię zapytać o coś jeszcze?

— Tak.

— Co to za sprawa między tobą a komendantem Taylorem?

Myron się uśmiechnął.

— Komendant Taylor to zwyczajny młot.

— Jego syn jest kapitanem drużyny koszykówki.

— On też był. Przed laty. Był seniorem, kiedy ja chodziłem do drugiej klasy.

Jak mówią, historia lubi się powtarzać.

— I co między wami zaszło?

Myron zastanawiał się chwilę, a potem pokręcił głową.

— Opowiem ci o tym innym razem. Teraz myślę, że czas zająć się twoimi obrażeniami.

\* \* \*

Myron miał rację.

Kiedy obudziłem się następnego dnia, całe moje ciało wrzeszczało z bólu. Minęło dziesięć minut, zanim zdołałem usiąść i wstać z łóżka. Łupało mnie w skroniach. I w głowie. Żebra bolały mnie tak, że każdy oddech był nową i bolesną przygodą.

Na nocnym stoliku przy moim łóżku leżały dwie tabletki. Połknąłem je. Pomogło. Myron zabrał zapasowego forda taurusa do warsztatu, żeby wstawili rozbitą przez Derricka szybę. To oznaczało, że będę musiał poruszać się na piechotę. Domyślałem się, że policja nadal szuka Derricka. Nie zamierzałem im mówić, żeby nie tracili czasu.

Po paru godzinach dotarłem do ośrodka rehabilitacyjnego Coddington. Christine Shippee przywitała mnie, stojąc z rękami skrzyżowanymi na piersi.

— Mówiłam ci, że jeszcze nie możesz zobaczyć się z matką.

Przemyślałem wszystko. Myślałem o Schronisku Abeona i pracy, jaką najwyraźniej wykonywali moi rodzice. Myślałem o liście mojego ojca do Juana, o tym, jak chciał dać mi szansę na prowadzenie normalnego życia. Myślałem o powrocie do Stanów Zjednoczonych, o jeździe do San Diego i wypadku. Myślałem o kierowcy ambulansu, blondynie o zielonych oczach. Myślałem o tym, jak wyraz jego twarzy powiedział mi, że moje życie się skończyło, o tym, jak w tamtym momencie pojąłem, iż nawet on, ten obcy o jasnych włosach i zielonych oczach, znał moją przyszłość lepiej niż ja.

Myślałem o minie mojej matki, kiedy usłyszała, że tata nie żyje, i o tym, że ona też wtedy umarła. Rozmyślałem o tym, jak próbowałem jej pomóc — a chyba przyzwalałem — utrzymując przy życiu. Jak rozpaczliwie trzymała się mnie, jedynego syna, kłamiąc i manipulując. Myślałem o spaghetti i klopsikach, których nie zrobiła.

I o chlebie czosnkowym.

— Mickey? — odezwała się Christine. — Nic ci nie jest?

— Po prostu niech pani powie, że ją kocham. Że jestem tu i zawsze tu będę, że będę ją codziennie odwiedzał i nigdy jej nie opuszczę. Proszę jej to powiedzieć.

— W porządku — łagodnie odrzekła Christine. — Powiem.

Wtedy odwróciłem się i odszedłem.

Kiedy dotarłem do końca podjazdu, czekał na mnie czarny samochód z tablicą rejestracyjną A30432. Nawet się nie zdziwiłem. Łysy mężczyzna wysiadł drzwiami od strony pasażera. Jak zwykle był w czarnym garniturze i ciemnych okularach.

Otworzył tylne drzwi.

Wsiadłem bez słowa.



Nie widziałem kierowcy. Przyciemniona szyba oddzielała przednią i tylną część kabiny. Po pięciu minutach jazdy samochód zaczął podskakiwać na leśnej drodze. Spojrzałem. Przed nami zobaczyłem garaż Nietoperzycy. Tak jak tamtego dnia, kiedy byłem tutaj z Emą, łysy wysiadł i otworzył drzwi garażu. Wjechaliśmy do środka. Łysy otworzył drzwiczki samochodu.

— Idź za mną — polecił.

Wnętrze garażu wyglądało, no cóż, jak wnętrze garażu. Nic szczególnego. Łysy pochylił się i podniósł klapę w podłodze. Zaczął schodzić po drabinie. Ja za nim. Podążaliśmy tunelem, prawdopodobnie w kierunku domu Nietoperzycy.

Pomyślałem, że to wyjaśnia sączące się z piwnicy światło, które widziałem.

— Co tam jest? — spytałem, kiedy minęliśmy drzwi.

Pokręcił głową i szedł dalej. Kiedy dotarliśmy do następnych drzwi, zatrzymał się.

— Dalej nie idę — oznajmił.

— Co to ma znaczyć?

— To, że porozmawiasz z nią w cztery oczy. Z nią.

Wrócił do garażu, zostawiając mnie samego. Znow zaczęło łupać mnie w głowie. Widocznie środki przeciwbólowe przestały działać. Otworzyłem drzwi i znalazłem się w salonie Nietoperzycy.

Niewiele się tu zmieniło. Dominującym kolorem nadal był brąz. Okna wciąż przesłaniała warstwa brudu i deski. Stojący zegar nie chodził. Znow spojrzałem na stare zdjęcie hipisów, na którym po raz pierwszy zobaczyłem ten dziwny wzór motyla. Tym razem gramofon był włączony. HorsePower grali smutny utwór zatytułowany *Time Stands Still*. A na środku pokoju, w tej samej białej sukni, w której widziałem ją zaledwie kilka dni temu, stała Nietoperzyca.

Uśmiechnęła się do mnie.

— Dobrze się spisałeś, Mickey.

Nie byłem w nastroju do dalszej zabawy w kotka i myszkę.

— O rany, dzięki. Naprawdę. Chcę powiedzieć, że nie mam pojęcia, co zrobiłem i co się właściwie tu dzieje, ale dziękuję.

— Usiądź przy mnie.

— Nie, tu mi dobrze.

— Jesteś rozgniewany. Rozumiem to.

— Powiedziała pani, że mój ojciec żyje.

Usiadła na kanapie, która wyglądała, jakby przeznaczono ją do kasacji za rządów administracji Eisenhowera. Nietoperzyca miała zabawnie długie włosy, które opadały jej na plecy, niemal dotykając siedzenia mebla. Wzięła stary gruby album ze zdjęciami i położyła sobie na kolanach.

— No? — naciskałem.

— Usiądź, Mickey.

— Czy mój ojciec żyje?

— To nie jest proste pytanie.

— Ależ jest. Albo żyje, albo umarł. Jak jest?

— Żyje — powiedziała z uśmiechem, który budził wątpliwości co do jej zdrowych zmysłów — w tobie.

Jeszcze nigdy nie miałem ochoty zdzielić staruszki, ale ludzie, teraz naprawdę chciałem to zrobić.

— We mnie?

— Tak.

— Och, proszę, co to ma być, nowa wersja *Króla Lwa*? To miała pani na myśli, mówiąc, że on żyje?

— Miałam na myśli dokładnie to, co powiedziałam.

— Mówiła pani, że mój ojciec żyje. Teraz wciska mi pani jakiś metafizyczny kit, że żyje we mnie.

Odwróciłem głowę, powstrzymując łzy. Byłem zdruzgotany. Czułem się głupio. Jakaś stuknięta stara baba bredzi coś, co przecież nie może być prawdą, ja chwytam się jej słów jak tonący brzytwy. Ludzie, chyba zidiociałem!

— A więc nie żyje — powiedziałem.

— Ludzie umierają, Mickey.

— Doskonała odpowiedź — prychnąłem tak sarkastycznie, jak mogłem.

— Nic z tego, co robimy, nie jest proste. Chcesz usłyszeć „tak” lub „nie”. Jednak nie ma „tak” albo „nie”. Nic nie jest czarne albo białe. Wszystko jest szare.

— Jest życie albo śmierć — mruknąłem.

Uśmiechnęła się.

— Dlaczego jesteś tego taki pewny?

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

— Ratujemy, kogo możemy — tłumaczyła. — Nic zdołamy uratować wszystkich. Zło istnieje. Nie ma wzlotów bez upadków, prawej strony bez lewej ani dobra bez zła. Rozumiesz?

— Nie, właściwie nie.

— Twój ojciec przyszedł do tego domu, kiedy był w twoim wieku. To go zmieniło. Odnalazł swoje powołanie.

— Pracę dla was?

— Pracę z nami — poprawiła mnie.

— I co, zaczął pomagać Schronisku Abeona?

Nie odpowiedziała.

— Więc to wy uratowaliście Ashley?

— Nie. Ty to zrobiłeś.

Westchnąłem.

— Moglibyśmy przestać mówić zagadkami?

— Jest równowaga. Są wybory. Ratujemy niektórych, nie wszystkich, ponieważ tyle możemy zrobić. Zło pozostaje. Zawsze. Możesz z nim walczyć, ale nigdy do końca go nie pokonasz. Zadowolasz się małymi zwycięstwami. Jeśli przecenisz swoje siły, stracisz wszystko. Jednak liczy się każde życie. Jest takie stare powiedzenie: „Ten, kto ratuje jedno życie, ratuje cały świat”. Tak więc dokonujemy wyborów.

— Decydujecie o tym, kto zostanie uratowany, a kto nie?

— Tak — powiedziała Nietoperzyca. — Weź na przykład Candy.

Zaskoczyła mnie.

— Zna pani Candy?

Nie zamierzała odpowiedzieć.

— Gdybyś postanowił jej pomóc, prawdopodobnie jej sytuacja wcale nie zmieniłaby się na lepsze. Ona nie ma żadnych umiejętności, nie jest zbyt inteligentna i nigdy nie zdołałaby się odnaleźć w szkole czy w społeczeństwie. Zapewne znów wylądowałaby u Buddy’ego Raya lub kogoś podobnego.

— Tego nie może pani być pewna.

— Oczywiście, że nie ma takiej pewności. Jednak opierasz się na prawdopodobieństwie. Ratujesz tych, których możesz, i oplakujesz tych, których nie zdołasz uratować. Kiedy idziesz

za swoim powołaniem, serce łamie ci się każdego dnia. Naprawiasz świat po kawałeczku, a nie za jednym zamachem. Dokonujesz wyborów. Rozumiesz?

— Wyborów — powtórzyłem.

— Tak.

— Jak mój ojciec, kiedy postanowił opuścić Schronisko Abeona? Jak wtedy, kiedy nie chciał dla mnie takiego życia?

— Właśnie, on też dokonał wyboru. — Nietoperzyca spojrzała na mnie i przechyliła głowę. — I jak się to dla niego skończyło?

Nie odpowiedziałem.

— Z wyborem są związane konsekwencje — rzekła.

Nie wiedziałem, co na to powiedzieć. Popatrzyłem przez kuchenne okno na ogród.

— Ma pani nagrobek w ogrodzie.

Nietoperzyca milczała.

— Inicjały E.S. — ciągnąłem. — Czy tam jest pochowana Elizabeth Sobek?

— Lizzy — poprawiła mnie Nietoperzyca.

— Co?

— Na imię miała Lizzy. Wolą, żeby tak ją nazywano.

— Czy ona jest pochowana w pani ogrodzie?

— Usiądź, Mickey.

— Wolę postać. Czy Lizzy Sobek, dziewczyna, która uratowała tyle dzieci podczas Holocaustu, jest pochowana w pani ogrodzie, tak czy nie?

Teraz w jej głosie usłyszałem stalowe nuty.

— Siadaj, Mickey.

Nietoperzyca spojrzała na mnie, a ja zrobiłem to, o co prosiła. Z kanapy wzbil się kurz. Wyciągnęła lewą rękę i podciągnęła rękaw sukni. Tatuaz był wyblakły, ale nadal można go było odczytać:

A30432

Na moment odebrało mi mowę. Po chwili zdołałem wykrztusić:

— To pani?

Skinęła głową.

— Jestem Lizzy Sobek.

Siedziałem i milczałem, gdy otwierała album ze zdjęciami.

— Chcesz wiedzieć, jak to wszystko się zaczęło. Powiem ci. A wtedy może zrozumiesz swojego ojca.

Pokazała pierwsze zdjęcie w albumie. Była to stara czarno-biała fotografia czterech osób.

— To moja rodzina. Mój ojciec miał na imię Samuel, matka Esther. To jest mój starszy brat Emmanuel, pod muszką. Taki ładny chłopiec. Mądry i grzeczny. Miał jedenaście lat, kiedy zrobiono to zdjęcie. Ja miałam osiem. Wyglądam na szczęśliwą, nie sądzisz?

Wyglądała. Była pięknym dzieckiem.

— Wiesz, co było potem? — zapytała.

— Druga wojna światowa.

— Tak. Przez jakiś czas udało nam się przetrwać w łódzkim getcie. To w Polsce. Mój ojciec był cudownym człowiekiem. Wszyscy go lubili, ludzie Ignęli do niego. Twój ojciec, Mickey, był bardzo do niego podobny. Jednak teraz to nie jest istotne. Długo uciekaliśmy i ukrywaliśmy się. Nie będę wdawała się w szczegóły i opisywała okropności, w które — nawet po tylu latach — mnie, będącej ich świadkiem, trudno uwierzyć. Wystarczy powiedzieć, że w końcu ktoś nas wydał. Moją rodzinę złapali hitlerowcy. Wsadzono nas do transportu do Auschwitz.

Auschwitz. Na samo to słowo przeszedł mnie dreszcz. Odruchowo wziąłem ją za rękę, lecz Nietoperzyca zeszywniała.

— Proszę, pozwól mi to z siebie wyrzucić — powiedziała. — Nawet po tylu latach ciężko mi to przychodzi.

— Przepraszam.

Skinęła głową i odwróciła wzrok.

— Kiedy moja rodzina przybyła do Auschwitz, rozdzielili nas. Później dowiedziałam się, że matkę i brata natychmiast zabrano do komór gazowych. Po paru godzinach nie żyli. Ojca skierowano do obozu pracy. Mnie oszczędzono. Nadal nie wiem dlaczego.

Przewracała kartki albumu. Było tam więcej zdjęć jej rodziny, Esther i Emmanuela żyjących życiem, które zostało przerwane z powodów, których nikt nie potrafił zgłębić. Nie patrzyła na zdjęcia. Spoglądała przed siebie.

— Nie będę też wdawała się w szczegóły i opisywała, jak wyglądało życie w obozie koncentracyjnym. Przeskoczę sześć tygodni do dnia, gdy mój ojciec z kilkoma innymi robotnikami obezwładnili strażników. Osiemnastoosobowa grupa mężczyzn wydostała się na wolność. Ta wiadomość z szybkością błyskawicy rozeszła się po obozie. Byłam szczęśliwa, oczywiście, ale poczułam się jeszcze bardziej samotna. Tak bardzo się bałam. Tamtej nocy siedziałam i płakałam, aż zabrakło mi łez. Wstydziałam się. I wtedy, gdy tak leżałam i płakałam, ojciec przyszedł i mnie znalazł. Stał przy mojej pryczy i szepnął: „Nigdy bym cię nie zostawił, moja gołąbeczko”.

Nietoperzyca uśmiechnęła się na to wspomnienie.

— Uciekliśmy razem. Mój ojciec i ja. Dołączyliśmy do innych ludzi w lesie. Nie potrafię ci opowiedzieć, jak się wtedy czułam, Mickey. Jakie to uczucie być wolną. Jakbym przez długi czas była przytrzymywana pod wodą i w końcu wynurzyła się i zaczerpnęła powietrza. Bliskość ojca, szukanie sposobu, żeby przyłączyć się do ruchu oporu, to ostatnie wspaniałe chwile, jakie zapamiętałam. A potem...

Jej uśmiech zgasł. Czekałam, nie chcąc jej przerywać, i nie chcąc usłyszeć reszty tej opowieści. To było tak, jakby ktoś zgasił światło. W pokoju powiało chłodem.

— Potem on nas znalazł.

Odwróciła głowę i spojrzała na mnie.

— Kto?

— Rzeźnik z Łodzi — powiedziała chrapliwym szeptem. — Był z Waffen-SS.

Wstrzymałam oddech.

— Znalazł nas w lesie. Otoczył. Kazał nam wykopać dół i napełnić go wapnem. Potem ustawił nas nad nim rzędem. Staliśmy plecami do jego ludzi. Rzeźnik spojrzał na mojego ojca, a potem na mnie. Śmiał się. Ojciec błagał go, żeby mnie oszczędził. Rzeźnik przyglądał mi się przez długą chwilę. Nigdy nie zapomnę wyrazu jego twarzy. W końcu pokręcił głową. Pamiętam, jak ojciec odwrócił się i wziął mnie za rękę. Powiedział: „Nie bój się, moja gołąbeczko”. Potem Rzeźnik i jego ludzie zaczęli do nas strzelać, ale w ostatniej chwili ojciec zepchnął mnie do dołu i przesunął się w prawo, żeby zasłonić mnie przed kulami. Jego martwe ciało upadło na mnie. Zostałam tam całą noc, na mrozie, przygnieciona ciałem ojca. Nie wiem, ile minęło czasu. Noc przeszła w dzień. W końcu wyczołgałam się i uciekłam do lasu.

Zamilkła. Czekałam roztrzęsiony. Kiedy się nie odzywała, powiedziałam:

— Udało się pani uciec i zaczęła pani ratować dzieci?

Wyglądała na wyczerpaną.

— Pewnego dnia opowiem ci więcej.

Zamilkła.

— Nie rozumiem.

Odwróciła się i spojrzała na mnie.

— Mówiła pani, że ta historia opowie mi coś o moim ojcu. Nie wiem co.

— Chcę, żebyś zrozumiał.

— Co zrozumiał?

— Mojego ojca. On dokonał wyboru. Jego życie za moje. Musiałam spłacić dług. Musiałam żyć tak, żeby jego wybór okazał się słuszny.

Łzy stanęły mi w oczach.

— Przecież pani ojciec został zamordowany. Mój zginął w wypadku.

Spuściła wzrok i przez moment wydawało mi się, że pod nalotem starości widzę małą dziewczynkę.

— Kiedy wojna się skończyła, gdy świat uwierzył, że nie żyję, zaczęłam szukać Rzeźnika z Łodzi. Chciałam postawić go przed sądem za to, co zrobił. Skontaktowałam się z organizacjami poszukującymi byłych hitlerowców.

Nie wiedziałem, do czego ta kobieta zmierza, ale poczułem, że jeżą mi się włosy na głowie.

— Znalazła go pani?

Znów odwróciła wzrok, nie odpowiadając na moje pytanie.

— Widzisz, czasem widzę jego twarz. Widzę go na ulicy albo przez okno. Nawiedza mnie we śnie, nawet po tylu latach. Wciąż słyszę jego śmiech chwilę przed tym, nim zabił mojego ojca. Wciąż. Jednak najlepiej...

Urwała.

— Najlepiej co? — spytałem.

Odwróciła głowę i spojrzała mi w oczy.

— Najlepiej pamiętam to, jak popatrzył na mnie, kiedy mój ojciec prosił go, żeby mnie oszczędził. Jakby wiedział.

— Co wiedział?

— To, że moje życie, życie dziewczynki zwanej Lizzy Sobek, już się skończyło. To, że przeżyję, ale już nigdy nie będę taka jak przedtem. Dlatego go szukałam. Przez długie lata, a nawet dziesiątki lat. W końcu poznałam jego prawdziwe nazwisko i zdobyłam jego stare zdjęcie. Wszyscy poszukujący nazistów mówili mi, żebym się uspokoiła, nie martwiła się, że Rzeźnik nie żyje, że zginął podczas działań wojennych w zimie tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku.

I wtedy to się stało. Przewróciła kolejną kartkę i pokazała mi fotografię Rzeźnika w mundurze esesmana. Natychmiast zrozumiałem, że on nie zginął, że łowcy nazistów się mylili. Ponieważ już widziałem tego człowieka.

Miał jasne włosy i zielone oczy, a kiedy widziałem go ostatnio, zabierał mojego ojca do karetki.

## PODZIĘKOWANIA

Miałem frajdę, pisząc *Schronienie*, i nie potrafię wyrazić, jak przyjemnie jest mieć Was jako czytelników.

Dziękuję mojemu wspaniałemu zespołowi z wydawnictwa Penguin: Shancie Newlin, Emily Romero, Elyse Marshall, Erin Dempsey, Lisie DeGross, Courtney Wood, Gregowi Stadnykowi, Ryanowi Thomannowi, Jen Loji i Shaunie Fay — nie mówiąc o innych stałych bywalcach, takich jak Brian Tart, Ben Sevier i Christine Ball.

Muszę także podziękować uczniom Marii Cannon ze szkoły średniej imienia Jerzego Waszyngtona za pomoc przy opracowaniu okładki.

Moje dzieci i ich przyjaciele byli dla mnie ogromną inspiracją. Tak, podsłuchiwałem, więc może rozpoznał siebie na niektórych stronach tej powieści. Przepraszam!

Szczególne podziękowania składam mojej cudownej redaktorce Jen Besser oraz drogiemu przyjacielowi i nowemu wydawcy, Donowi Weisbergowi. I oczywiście mojej żonie Annie, która wiedziała, że w końcu nadszedł czas, by zabrać się do tej książki.

Mam nadzieję napisać więcej książek o Mickeyu Bolitarze i jego paczce. Aby pozostać z nami w kontakcie, odwiedzajcie stronę:

**MickeyBolitar.com**